

MARY WESTMACOTT
 CZYLI
 AGATHA CHRISTIE

SAMOTNA WIOSNA

PRZEŁOŻYŁA BOGUMIŁA MALARECKA
 TYTUŁ ORYGINAŁU ABSENT IN THE SPRING

Nie było mnie przy tobie wiosną..

W. Szekspir, sonet 98, przekład St. Barańczaka

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Joan Scudamore wpatrywała się zmrużonymi oczami w półmrok jadalni. Niewielka wada wzroku powodowała, że Joan Scudamore nie widziała dobrze na odległość.

Ależ to jest... nie, to niemożliwe... a jednak tak, to ona. Blanche Haggard.

Nadzwyczajne – spotkać szkolną przyjaciółkę, której się nie widziało od... od ładnych piętnastu lat, właśnie tu, na pustyni.

W pierwszej chwili ucieszyła się; była z natury osobą towarzyską i zawsze chętnie spotykała się z przyjaciółmi czy znajomymi.

Ale, ale, pomyślała, jakże ta biedaczka zmieniła się, jak się postarzała. A przecież nie może mieć więcej... niż ile? Czterdzieści osiem lat?

Odruchowo spojrzała w lustro, które szczęśliwym trafem wisiało tuż obok jej stolika. To, co w nim zobaczyła, wprawiło ją w jeszcze lepszy nastrój.

Doprawdy, świetnie się trzymam...

Oto miała przed sobą szczupłą kobietę w średnim wieku o osobliwie gładkiej twarzy, brązowych, ledwo dotkniętych siwizną włosach, sympatycznych, niebieskich oczach i pogodnym uśmiechu. Ta kobieta była ubrana w lekki, gustowny kostium i nosiła spoiych rozmiarów torebkę wypakowaną nieodzownymi w podróży drobiazgami.

Joan Scudamore podróżowała z Bagdadu do Londynu drogą lądową. Pierwszy etap podróży odbyła pociągiem. Najbliższą noc miała przespać w zajeździe kolejowym, a rano wyruszyć w dalszą drogę samochodem.

Przyczyną jej pośpiesznego wyjazdu z Anglii była niespodziewana choroba młodszej córki: Joan Scudamore doskonale zdawała sobie sprawę z niezaradności Williama (swojego zięcia); wiedziała, że w domu potrzebny jest ktoś, kto się o wszystko zatroszczy.

No cóż, kryzys minął. Wystarczyło, że wzięła sprawy w swoje ręce: dziecko, William, wracająca do zdrowia Barbara – zaplanowała wszystko po kolei i wszystkim sprawom nadała odpowiedni bieg. Dzięki Bogu, pomyślała, zawsze miałam głowę na karku.

William i Barbara byli pełni wdzięczności. Nalegali, by nie śpieszyła się z powrotem do domu, by została dłużej, lecz ona z uśmiechem na ustach, aczkolwiek z odrobiną żalu w sercu, odmówiła. Oczywiście przez wzgląd na Rodneya, biednego, poczciwego Rodneya, tkwiącego w Crayminster po uszy w pracy, bez nikogo (poza służbą), kto by dbał o jego wygody.

– Zresztą – powiedziała – i jakaż ona jest, ta służba?

– Twoja służba, mamó, jest zawsze perfekcyjna. Już ty potrafisz o to zadbać! – odparła Barbara.

Roześmiała się, niemniej uwaga córki sprawiła jej przyjemność. Ostatecznie każdy jest łasy na pochwały. Zastanawiała się tylko, czy to, że dom sprawnie funkcjonuje, a ona całkowicie mu się poświęca, nie jest zbyt oczywiste dla jej rodziny.

To jednak wcale nie oznaczało, że chciała w jakikolwiek sposób tę swoją rodzinę krytykować. Tony, Averil i Barbara byli wspaniałymi dziećmi, a ona i Rodney mogli być dumni z ich wychowania, a także z ich życiowych sukcesów.

Tony gdzieś w Rodezji uprawiał pomarańcze, Averil po chwilowym szaleństwie, które swego czasu spędzało jej rodzicom sen z powiek, ustatkowała się i została

żoną bogatego i czarującego maklera. Mąż Barbary miał dobrą posadę w Iraku, w Departamencie Robót Publicznych.

Cała trójka była i ładna, i zdrowa, i dobrze ułożona; można powiedzieć, że Joan i Rodneyowi naprawdę się poszczęściło. Jednakże ona (na swój prywatny użytek), raczej skłaniała się ku opinii, że szczęście szczęściem, ale było w tym wszystkim sporo ich, rodziców, zasługi. Ostatecznie dali swoim dzieciom nadzwyczaj staranne wychowanie i nie szczędząc trudu, dobierali odpowiednie nianie i guwernantki, a potem szkoły, i zawsze na pierwszym miejscu stawiali dobro i powodzenie dzieci.

Odwróciła wzrok od swego odbicia w lustrze. To całkiem miłe uczucie, pomyślała, zdawać sobie sprawę, że odniosło się sukces w tym, co się miało do zrobienia. Nigdy nie myślałam o własnej karierze lub o czymś w tym guście. Wystarczała mi pozycja żony i matki. Poślubiłam mężczyznę, którego kochałam, temu mężczyźnie powiodło się w pracy, choć prawdopodobnie jest w tym trochę mojej zasługi. Ile też może zdziałać czyjś zbawienny wpływ! Drogi, drogi Rodney!

Na samą myśl, że wkrótce go zobaczy, zrobiło jej się ciepło na duszy. Po raz pierwszy rozstała się z nim na dłużej. Jakże szczęśliwe i spokojne życie wiodą razem..

No cóż, pomyślała, określenie „spokojne” być może niezupełnie odpowiada rzeczywistości. Życie rodzinne nigdy nie jest tak do końca spokojne. Letnie wakacje, choroby zakaźne, odpadające lynny w zimie. Zresztą życie, w ogóle, to nic innego jak jeden ciąg drobnych dramatów. A Rodney zawsze pracował ciężko, być może ciężiej, niż pozwalało mu na to zdrowie. Choćby wtedy, sześć lat temu, kiedy był tak potwornie wyczerpany. On, wypadało jej przyznać ze skruchą, nie trzyma się tak dobrze jak ona. Przygarbił się, a w jego włosach pojawia się coraz więcej srebrnych nitok. Nie mówiąc już o tym jego zmęczonym, wiecznie przygaszonym spojrzeniu.

No cóż, życie jest życiem. Ale teraz, kiedy dzieci założyły swoje rodziny, kiedy kancelaria przynosi niezgorsze zyski, a nowy partner wniósł świeżą gotówkę, Rodney mógłby do wszystkiego podchodzić bardziej beztrudnie. On i ja moglibyśmy mieć więcej czasu dla siebie. Powinniśmy prowadzić bardziej otwarty dom i od czasu do czasu spędzić tydzień albo dwa w Londynie. Rodney, być może, mógłby grywać w golfa. Doprawdy, sama nie rozumiem, dlaczego do tej pory nie namówiłam go na golfa. Przecież sport to samo zdrowie, zwłaszcza dla kogoś, kto spędza całe dni za biurkiem.

Rozważywszy problem golfa, pani Scudamore ponownie spojrzała w kierunku kobiety, co do której była przekonana, że jest jej dawną przyjaciółką ze szkoły.

Blanche Haggard. Jakże ją uwielbiała, kiedy były razem w St Anne. No i nie ona jedna. Na punkcie Blanche szalały dosłownie wszystkie dziewczęta. Blanche Haggard była absolutnie przebojowa, zabawna i doprawdy, śliczna. Teraz, kiedy się patrzy na tę chudą, niespokojną, zaniedbaną, podstarzałą kobietę, wszystko wydaje się takie dziwne. No i ta jej suknia! Och, ona wygląda – strach powiedzieć – wygląda przynajmniej na sześćdziesiątkę..

Oczywiście, pomyślała, Blanche Haggard miała bardzo nieszczęśliwe życie.

Nagle ogarnęło ją zniecierpliwienie. Nieszczęśliwe, też mi coś! Ostatecznie sama była sobie winna. Kiedy się ma dwadzieścia jeden lat, cały świat u swych stóp, urodę, pozycję i całą tę resztę, nie rzuca się wszystkiego dla kogoś tak beznadziejnego jak ów mężczyzna. A Blanche to właśnie zrobiła. Blanche rzuciła wszystko dla weterynarza! Tak, ni mniej, ni więcej – dla weterynarza! Weterynarza, a co gorsza żonatego. Oczywiście, rodzina Blanche zachowała się z godną pochwałą stanowczością: zabrała ją w jeden z tych przyjemnych rejsów dookoła świata. Ale Blanche, gdzieś w Algierze czy Neapolu, wymknęła się rodzinie, wróciła do domu i zeszła się z nim na powrót. Naturalnie on stracił swoją praktykę i zaczął pić, a poza tym jego żona nie chciała dać mu rozwodu. Ostatecznie on i Blanche wyjechali z Crayminster i słuch o nich zaginął. Trzeba trafu, że któregoś dnia spotkały się obie w Londynie u Harrodsa, w dziale z obuwem, i z krótkiej, dyskretniej rozmowy (o to, by rozmowa była dyskretna, starała się Joan; Blanche nigdy i w żadnym magazynie nie zachowywała się dyskretnie) dowiedziała się, że Blanche jest teraz żoną kogoś, kto się nazywa Holliday, kto pracuje w ubezpieczeniach, lecz że jej się zdaje, iż on wkrótce z tej posady zrezygnuje, ponieważ chce napisać książkę o Warrenie Hastingsie* i

chce poświęcić temu swój cały czas, a nie jakieś nędzne resztki dnia, jakie by mu zostawały po powrocie z biura.

Na jej nieśmiałą uwagę, że pan Holliday ma niewątpliwie jakieś prywatne dochody, Blanche odparła beztrąsko, że skądże, ani centa! Joan powiedziała na to, że może w tej sytuacji nie powinien rzucać pracy, zanim się nie upewni, że książka odniesie sukces. Zapytała, czy wydawnictwo ją zamówiło? Dowiedziała się, że nie. Co więcej, Blanche, nawet nie sądziła, by książka miała powodzenie, bo chociaż Tom bardzo się do niej zapalił, to przecież brakowało mu w tym względzie doświadczenia. Wówczas Joan powiedziała dość ciepło, że w takim wypadku Blanche powinna zachować rozsądek i nie pozwolić na coś takiego, na co ta odpowiedziała zdziwionym spojrzeniem i czymś w rodzaju:

– Ależ on chce pisać, biedaczysko. On chce tego bardziej niż czegokolwiek.

– Zatem trzeba być mądrym za dwoje – padło z jej strony.

Blanche tylko się roześmiała i zauważyła, że kto jak kto, ale ona nigdy nie była dość mądra, nawet jeśli chodzi o samą siebie!

Niestety, pomyślała Joan, tak się składa, że to prawda. Rok później zobaczyła Blanche w restauracji w towarzystwie kobiety o wyzywającym wyglądzie i dwóch pozujących na artystów mężczyzn.

A potem, pięć lat później, Blanche listownie poprosiła ją o pożyczenie pięćdziesięciu funtów. Napisała, że jej mały synek musi być operowany. Joan wysłała jej zatem dwadzieścia pięć i miły list, w którym prosiła o dokładniejsze zrelacjonowanie tej przykłej historii. Odpowiedzią była kartka pocztowa z nabazgranym w pośpiechu jednym jedynym zdaniem: Brawo, Joan. Wiedziałam, że nie dasz mi zginąć – co na swój sposób było miłe, choć raczej niezbyt zadowolające. Po tym epizodzie zapadła cisza. I oto teraz, w bliskowschodnim zajeździe kolejowym, oświetlonym chybottliwym płomieniem skwierczących lamp naftowych, pośród zaduchu owadobójczych zjawia się tamta przyjaciółka sprzed lat, nieprawdopodobnie stara, o nieprawdopodobnie pospolitym wyglądzie i, jakby tego było mało, w podniszczonej garderobie.

Blanche skończyła obiad pierwsza i właśnie zmierzała ku drzwiom, kiedy podchwyciła spojrzenie kobiety. Stała jak wryta.

– Na Mojżesza, przecież to Joan! Przystawiła sobie krzesło i już po chwili gadały

jak najęte. Niebawem Blanche powiedziała:

– Świetnie się trzymasz, moja droga. Wyglądasz na trzydziestkę, nie więcej. Gdzie się uchowała? W chłodni?

– No, niezupełnie. Mieszkam w Crayminster.

– Urodzona, wychowana, poślubiona i pogrzebana w Crayminster – zauważyła Blanche.

– Sądzisz, że to źle? – zaśmiała się Joan.

Blanche potrząsnęła głową.

– Nie. Powiedziałabym, że całkiem dobrze. Co słychać u twoich dzieci? Miałaś ich kilkoro, prawda?

– Tak, troje. Syna i dwie córki. Syn jest w Rodezji. Córki wyszły za mąż. Jedna mieszka w Londynie, a druga aż w Bagdadzie. Właśnie byłam u niej w odwiedzinach. Nazywa się po mężu Wray, Barbara Wray.

– Widziałam ją. Miły dzieciak. Nie zdaje ci się, że dość młodo wyszła za mąż?

– Nie, nie sądzę – Joan odpowiedziała chłodno. – Wszyscy bardzo lubimy Williama, no i są ze sobą szczęśliwi.

– Tak, wygląda na to, że wszystko się między nimi ułożyło. Prawdopodobnie dzięki dziecku. Tak czy inaczej, jak się ma dziecko, trzeba się ustatkować. Co nie znaczy – dodała Blanche w zamyśleniu – że ja się kiedykolwiek ustatkowałam. Byłam bardzo przywiązana do moich córek, Len i Mary. A przecież kiedy pojawił się Johnnie Pelham, odeszłam z nim bez chwili zastanowienia.

Joan popatrzyła na nią z dezaprobatą.

– No wiesz, Blanche. Jak mogłaś?

– Chcesz powiedzieć, że postąpiłam niegodziwie, tak? Oczywiście zostawiłam je pod dobrą opieką. Tom je zawsze uwielbiał. Ożenił się z miłą dziewczyną, prawdziwą domatorką. Pasowała do niego o wiele bardziej niż ja. Karmiła go przyzwoicie, naprawiała mu bieliznę i tak dalej. Kochany Tom, kochany

pieszczoch. A wiesz? Jeszcze wiele lat potem przysyłał mi na Boże Narodzenie i na Wielkanoc kartki z życzeniami. To bardzo ładnie z jego strony, nie sądzisz?

Joan nie odpowiedziała. Była pełna sprzecznych myśli. Przede wszystkim nie mogła się nadziwić, że to coś, to, co miała przed sobą, mogło być Blanche Haggard, tamtą dobrze wychowaną, błyskotliwą dziewczyną, najlepszą uczennicą St Anne. To coś, czyli ta doprawdy niechlujna kobieta, tak bezwstydnie obnażająca wstrętne szczegóły ze swego życia, i to tak niezwykle prostackim językiem! A przecież to właśnie ona, Blanche Haggard, zdobyła w St Anne nagrodę za angielski!

Blanche podjęła poprzedni wątek.

– Zabawne, że ta mała Barbara Wray jest właśnie twoją córką, Joan. Choć to tylko pokazuje, jak ludzie się mylą. Wiesz, kiedy jakaś dziewczyna wychodzi za pierwszego chłopaka, który jej się nawinał, to zaraz każdy podejrzewa, że prawdopodobnie była bardzo nieszczęśliwa w domu i że był to jedyny sposób, aby z niego uciec.

– Śmieszne, doprawdy. Powiedz mi, kto wymyśla takie brednie?

– Nie mam pojęcia. Jeśli o mnie chodzi, jestem pewna jednego: tego mianowicie, że ty zawsze byłaś godną podziwu matką. Nie wyobrażam sobie, byś potrafiła się złościć albo byś była nieuprzejma, wobec kogokolwiek.

– To miło z twojej strony, Blanche. Cóż, zdaje mi się, że stworzyliśmy naszym dzieciom bardzo szczęśliwy dom i zrobiliśmy wszystko dla ich dobra. Myślę, że to bardzo ważne, by się żyło w przyjaźni z własnymi dziećmi.

– Bardzo ładnie, pod warunkiem, że się potrafi.

– Och, dlaczego nie? Rzecz polega jedynie na tym, by pamiętać własną młodość i umieć się postawić na miejscu dzieci. Rodney i ja zawsze staraliśmy się tak postępować.

– Rodney? Czekał, czekał... poślubiłaś jakiegoś prawnika, tak? No jasne, bywałam w tej ich kancelarii, kiedy Harry starał się rozwieść z tą swoją okropną żoną. Jestem przekonana, że rozmawialiśmy wówczas z twoim mężem, z Rodneyem Scudamore'em. Był niezwykle miły i uprzejmy i miał dla nas mnóstwo zrozumienia. Chcesz powiedzieć, że byłaś mu wierna przez te wszystkie lata? Żadnego skoku w bok?

– Żadne z nas nie miało żadnych skoków w bok – odparła Joan raczej chłodno. – Rodney i ja absolutnie sobie wystarczaliśmy.

– Oczywiście, ty zawsze byłaś zimna jak ryba. Natomiast twój mąż, jak mi się zdaje, potrafił robić do kobiet słodkie oczy!

– No wiesz, Blanche!

Joan aż poczerwieniała. Jej Rodney miałby robić do kobiet słodkie oczy! Coś podobnego!

I nagle, wbrew samej sobie, powzięła myśl, myśl szybką niby jedno mignięcie tamtego węża na zakurzonej drodze tuż przed samochodem, nie dawniej jak wczoraj; jedno mignięcie – zielony zygzak, który znikł, nim dobrze zdążyła go zobaczyć.

Ten zielony zygzak składał się z dwu słów, wyskakujących z dna pamięci i znów zapominanych.

Panna Randolph...

To prawda, te dwa słowa odeszły w niepamięć, nim zdążyła je sobie uświadomić. Blanche zrobiła skruszoną minę.

– Przepraszam, Joan. Lepiej chodźmy do drugiej sali na kawę. Wiesz, że zawsze miałam parszywe myśli.

– Ależ skąd – zaprotestowała Joan, i to szczerze.

Blanche wyglądała na rozbawioną.

– Jak to, czyżbyś nie pamiętała? Nie pamiętasz czasów, kiedy się wymykałam na spotkania z chłopcem od piekarza?

Joan zrobiła niewyraźną minę. Zapomniała o tamtej historii. Zresztą wówczas doszukiwała się w niej odwagi i... tak, i romantyzmu. No cóż, w gruncie rzeczy wszystko razem było wulgarne i nieprzyjemne.

Blanche, sadwiąc się w wiklinowym krześle i przywołując kelnera, śmiała się beztrząsco.

– Niewątpliwie byłam nad wiek rozwinięta. I to potwornie. Och, w porządku, zawsze działałam na własną zgubę. Zawsze za bardzo durzyłam się w mężczyznach. No i zawsze trafiałam jak kulą w płot! Fantastyczne, nieprawda? Najpierw Harry,

niezły nicpoń, tyle że niesamowicie przystojny. A potem Tom, typ mężczyzny, o którym się mówi, że prochu to on nie wynajdzie, choć na swój sposób i za nim szalałam. Johnnie Pelham – o tak, z tym bawiłam się całkiem niezłe, ale nie za długo. Gerald? Cóż, z Geralda, jak i z innych, też nie miałam wiele pociechy...

W tym momencie kelner przyniósł kawę, przerywając tym samym coś, co w uszach Joan brzmiało jak szczególnie niesmaczna wyliczanka. Skrzywiła się.

– Przepraszam, Joan, chyba cię zszokowałam. Moja dawna przyjaciółka nadal tak samo pruderyjna, mam rację, czyż nie?

– Powiedziałałabym, że zawsze stać mnie na tolerancję wobec bliźnich. – Joan zdobyła się na uпрzejmy uśmiech, po czym dodała dość niezręcznie: – Chcę tylko powiedzieć, że jest mi przykro.

– Czyżby z mojego powodu? To miło z twojej strony, kochanie, lecz proszę, daruj sobie współczucie. Przez te wszystkie lata świetnie się bawiłam.

Nie mogła się powstrzymać od obrzucenia byłej przyjaciółki choćby ukradkowym spojrzeniem. Doprawdy, czyżby ta nie miała pojęcia o swoim godnym ubolewania wyglądzie? Te niestarannie pokryte henną włosy, ten poplamiony, przeładowany tanimi błyskotkami strój, ta wynędzniała, pomarszczona twarz – twarz starej, wypacykowanej kobiety, kobiety podejrzanego konduity!

– Tak, masz rację, Joan – powiedziała Blanche, a ton jej głosu spoważniał. – Ty swoje życie obróciłaś w sukces. Jeśli chodzi o mnie, ja, no cóż, ja swoje pogmatwałam. Ja upadłam, ty... nie, ty się nawet nie wspięłaś, ty po prostu wciąż trwasz na swoim miejscu jak typowa dziewczyna z St Anne, taka, która odpowiednio wychodzi za mąż i z której dawna szkoła zawsze może być dumna!

Tak, pomyślała Joan, St Anne, nasza dawna szkoła, to niezły temat do rozmowy.

– To były piękne czasy, prawda? – zapytała ochoczo, jednak Blanche skwitowała to pytanie wzruszeniem ramion.

– Bo ja wiem? Takie sobie. Czasami się nudziłam. To wszystko było takie kołtuńskie, takie niesamowicie zdrowe od samych korzeni. Za wszelką cenę chciałam się stamtąd wyrwać, chciałam poznać świat. Zgoda – wykrzywiła śmiesznie usta – poznałam go. I to jak!

– A co właściwie robisz w tym zajeździe? Wracasz do Anglii razem z jutrzejszym konwojem?

Pomyślała, że w końcu musiała ją o to zapytać. Doprawdy nie życzyłaby sobie mieć za towarzyszkę podróży kogoś takiego jak Blanche Haggard. Co innego przypadkowe spotkanie z dawną przyjaciółką, a co innego wspólna podróż przez całą Europę. No i jak długo można wspominać dawne czasy?

Blanche uśmiechnęła się szeroko.

– Nie, wybieram się w drugą stronę. Do Bagdadu. Do męża.

– Do męża?

Czyżby Blanche mogła mieć kogoś tak godnego szacunku jak mąż...?

– Tak. Jest inżynierem na kolei. Nazywa się Donovan.

– Donovan? – Joan potrząsnęła głową. – Nie przypominam sobie, bym poznała kogoś o takim nazwisku.

Blanche zaśmiała się.

– Nie wątpię, moja droga. Chyba nie należy do twojej sfery. Tak czy inaczej, pije jak szewc. Za to serce ma na dłoni. I choć cię to może zaskoczy, świata poza mną nie widzi.

– Tak powinno być – Joan zgodziła się równie lojalnie, co łaskawie.

– Niech żyje Joan i niech żyją pozory! Przecież widać na twojej twarzy, jak dziękujesz Bogu, że jadę w przeciwną stronę. Obawiasz się, że w ciągu pięciu dni podróży mogłabym złamać twego chrześcijańskiego ducha. Tylko nie próbuj zaprzeczać. Wiem, kim się stałam. Prostacki umysł, pospolity wygląd... tak właśnie o mnie myślisz. W porządku, jednak bywają gorsze rzeczy.

Joan pomyślała, że chyba jednak nie. Zdawało jej się, że upadek Blanche to wystarczająca tragedia jak na kobietę.

Blanche mówiła dalej.

– Obyś miała udaną podróż, choć, szczerze mówiąc, wątpię. Wygląda na to, że zaczyna się pora deszczowa. Jeśli tak, możesz utknąć gdzieś na długo, bez żadnej łączności ze światem.

– Mam nadzieję, że tak się nie stanie. Straciłabym rezerwacje na pociągi.

– Och, rezerwacje... Podróż przez pustynię rzadko kiedy pasuje do jakichkolwiek rozkładów. Najtrudniej bywa z przeprawami przez wadi, cała reszta to fraszka. Oczywiście szoferzy zawsze zabierają w drogę mnóstwo jedzenia i wody, tyle że to trochę nudne utknąć gdzieś, gdzie nie ma się nic do roboty poza myśleniem.

Joan uśmiechnęła się.

– Czyżby? A może raczej przyjemna odmiana? Wiesz, jak to jest, nigdy się nie ma czasu na prawdziwy odpoczynek. Nie raz i nie dwa chciałam mieć choćby jeden taki tydzień, podczas którego nic bym nie robiła.

– No popatrz, a mnie się zdawało, że spełnienie takiego życzenia to dla ciebie drobnostka.

– Och, nie, moja droga. Jestem bardzo zajęta kobietą. Na mój skromny sposób, to jasne. Jestem sekretarką w Krajowym Stowarzyszeniu Ogrodników i należę do zarządu naszego lokalnego szpitala, a do tego biorę aktywny udział w życiu politycznym. A Instytut? A skautki? Do tego prowadzenie domu, Rodney, składanie wizyt, przyjmowanie gości. Zaplecze towarzyskie to jeden z czynników decydujących o karierze prawnika, jestem nieodmiennie tego samego zdania. Czym się jeszcze zajmuję? Oczywiście ogrodem. Uwielbiam mój ogród i lubię sama w nim grzebać. Czy wiesz, Blanche, że rzadko kiedy, poza, być może, kwadrans przed kolacją, mam chwilę wolnego czasu na odpoczynek? A czytanie? Zawsze staram się dotrzeć do najnowszych publikacji.

– Zdaje się, że nieźle sobie ze wszystkim radzisz – mruknęła Blanche, wodząc spojrzeniem po gładkiej twarzy dawnej przyjaciółki.

– Lepiej się zużyć niż zardzewieć, jak to się mówi. Choć przyznaję, zawsze miałam cudowne zdrowie. Doprawdy, mam za co dziękować Bogu. Niemniej uważam, że byłoby wspaniale mieć jakiś dzień, a może i dwa, wyłącznie na myślenie.

– O czym, mianowicie? – zapytała Blanche. – To znaczy, o czym ty byś myślała?

Joan zaśmiała się. Jej śmiech był podobny do brzmienia delikatnych dzwoneczków.

– Och, o tym i o owym, o różnych rzeczach.

– Pewnie, zawsze można policzyć swoje grzechy i grzeszki! – Blanche też się zaśmiała, choć zdecydowanie głośniej.

– Tak, istotnie – zgodziła się Joan, choć z pewną powściągliwością.

Blanche zmierzyła ją ostrym spojrzeniem.

– Tylko że tobie nie zajęłoby to zbyt wiele czasu! – Zmarszczyła brwi i ciągnęła dalej, szorstko: – Z konieczności musiałabyś myśleć o swoich sukcesach; Wydaje się, że życie głaskało cię po głowie! Hm, jak na mój gust, to raczej nudne zajęcie. Ciekawa jestem... – zastanowiła się chwilę – ciekawa jestem, czy rozmyślając dzień za dniem wyłącznie o sobie, można by dowiedzieć się czegoś, czego się dotychczas o sobie nie wiedziało...

– Sądzisz, że tak?

– Sądzę, że tak. Że każdemu mogłoby się to zdarzyć... – Blanche otrząsnęła się. – Ja osobiście wolałabym nie próbować.

– Naturalnie – powiedziała Joan – niektórzy ludzie mają skłonności do kontemplacji, choć nie wiem, skąd im się to bierze. Jeśli o mnie idzie, wszelki mistycyzm jest mi raczej obcy. Obawiam się, że nie jestem wystarczająco religijna. Zresztą tego rodzaju sprawy zawsze zdawały mi się czymś dość ekstremalnym, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– No cóż, zdecydowanie prościej – powiedziała Blanche – jest posłużyć się najkrótszą ze znanych modlitw. – I w odpowiedzi na pytające spojrzenie Joan dorzuciła gwałtownie: – „Boże, bądź miłościw mnie grzesznej”. Tak, to załatwia wszystko.

Joan odczuła lekkie skrępowanie.

– Tak – rzekła. – Tak, z pewnością załatwia.

Blanche wybuchnęła śmiechem.

– Kłopot z tobą, Joan, polega na tym, że nie jesteś grzesznica, a to zwalnia cię z tego rodzaju modlitwy. Co innego ja. Ja chyba nieustannie robię j wszystko to, czego robić nie powinnam.

Joan milczała, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Och, w porządku – ciągnęła Blanche. – Świat jest taki, jaki jest. Odchodzisz, kiedy powinnaś trwać przy kimś, i bierzesz się do czegoś, co lepiej byłoby zostawić w spokoju; raz życie zdaje ci się tak piękne, że aż trudno w to

uwierzyć, a chwilę później grzęzniesz w piekle niedoli i cierpienia! Kiedy wszystko dobrze się układa, zdaje ci się, że tak będzie zawsze, a to nieprawda; kiedy idziesz na dno, myślisz, że to już koniec, a potem znów chwytasz oddech. Samo życie, moja droga.

To było tak całkowicie obce pojęciu, jakie Joan miała o życiu, albo raczej o życiu, jakie znała, że nie stać ją było na żadną rozsądną odpowiedź.

Blanche poderwała się od stolika.

– Prawie zasypiasz, Joan. Ja też. No a jutro wcześniej ruszamy. Miło mi było cię spotkać.

Dwie kobiety połączył na chwilę uścisk dłoni. Blanche powiedziała pośpiesznie i niezdarnie, z nieoczekiwaną szorstką tkliwością w głosie:

– Nie martw się o Barbarę. W końcu wszystko jakoś się ułoży, jestem tego pewna. Bill Wray to porządny gość, sama wiesz, a poza tym jest dziecko i cała ta reszta. Ona najzwyczajniej w świecie była bardzo młoda, kiedy tu przyjechała, a życie, jakie się tutaj prowadzi, czasami uderza dziewczętom do głowy.

Joan osłupiała. Powiedziała ostro:

– Nie wiem, co masz na myśli. Blanche spojrzała na nią z podziwem.

– Oto snobizm w pełnej krasie! Nigdy niczego nie zauważać. Doprawdy, Joan, nie zmieniłaś się ani trochę. A przy okazji, jestem ci winna dwadzieścia pięć funtów. Zapomniałam o tym na śmierć.

– Och, daj sobie spokój.

– Jasne. – Blanche zaśmiała się. – Prawdopodobnie miałam szczerzy zamiar oddać ci je, ale ostatecznie ktoś, kto pożycza pieniądze dobrym znajomym, chyba nie liczy na ich zwrot. Stąd też nie martwiłam się zbytnio. Jesteś wspaniałomyślna, Joan; tamte pieniądze były dla mnie wybawieniem.

– O ile pamiętam, jedno z dzieci miało być poddane operacji, tak?

– Ach, w końcu okazało się, że operacja nie jest konieczna. I w ten oto sposób część pieniędzy przepiliśmy, a za resztę Tom kupił sobie żaluzjowe biurko. Od dawna miał na nie oko.

Joan poruszona nagłym wspomnieniem zapytała:

– Czy napisał tę swoją książkę o Warrenie Hastingsie?

Blanche rozpromieniła się.

– Że też pamiętasz o tym! Tak, rzeczywiście, napisał całe morze słów.

– Wydał to?

– Skądże! Ale nie koniec na tym. Po Hastingsie Tom przymierzył się do Beniamina Franklina. To było jeszcze gorsze. Miał dziwne upodobania, nieprawda? Chcę powiedzieć, że obaj jego bohaterzy byli strasznymi nudziarzami. Gdybym ja pisała czyjaś biografię, wzięłabym się za kogoś z ikra, za Kleopatę czy za Casanovę. No cóż, to kwestia zainteresowań. A co do Toma, ten po napisaniu obu książek na nowo znalazł sobie posadę w biurze, choć już nie tak dobrą jak poprzednia. Niemniej cieszę się, że dostał tę swoją zabawkę. To bardzo ważne, by ludzie robili to, na co mają ochotę, nie sądzisz?

– To zależy od okoliczności – powiedziała Joan. – Zawsze są jakieś względy, z którymi trzeba się liczyć.

– A czy ty nie robiłaś tego, co chciałaś? – Ja? – zapytała Joan zaskoczona.

– Tak, ty. Chciałaś wyjść za Rodneya Scudamore'a, tak czy nie? Odpowiem za ciebie: tak. Chciałaś mieć dzieci. I wygodny dom. – Zaśmiała się i dodała. – I żyć długo i szczęśliwie, amen.

– Nie bądź śmieszna – zawtórowała jej Joan, myśląc przy tym, że rozmowa wreszcie przybiera lżejszy ton. – Sama wiem, jak mi się poszczęściło. – Następnie, obawiając się, że jej ostatnia uwaga nie była zbyt taktowna (zważywszy na zrujnowane, pechowe życie Blanche), dokończyła czym prędzej: – Naprawdę muszę już iść. Dobranoc. Cudownie, że znów się spotkałyśmy.

Uścisnęła ciepło dłoń Blanche (chyba nikt się tu po niej nie spodziewa jakichś pocałunków?), lekko wbiegła po schodach i udała się do swojej sypialni.

Biedna Blanche, myślała już rozebrana, układając w należyтым porządku kolejne części garderoby i przygotowując na rano świeżą parę pończoch. Biedna Blanche. To wszystko naprawdę jest zbyt tragiczne.

Wśliznęła się w piżamę i zaczęła szcztokować włosy.

Biedna Blanche. Żeby wyglądać aż tak okropnie i pospolicie.

Już miała się położyć, kiedy jeszcze przystanąła niezdecydowana.

Oczywiście skłamałaby, mówiąc, że ktoś tu modli się każdego wieczoru. Prawda jest taka, że ten ktoś w ogóle się nie modli, i to od dawna. I nawet nie za często bywa w kościele. Co wcale nie znaczy, że ten ktoś jest osobą niewierzącą.

Nagle poczuła, że powinna uklęknąć przy tym dość niewygodnie wyglądającym łóżku (och, cóż to za obrzydliwe płócienne prześcieradło; dobrze, że chociaż ma ze sobą własną miękką poduszkę), uklęknąć – żeby nazwać rzecz po imieniu – jak dziecko, jak jakieś małe dziecko.

Och, co też mi przychodzi do głowy, pomyślała odrobinę zawstydzona. Prędko wskoczyła do łóżka i naciągnęła na siebie prześcieradło i koc. Sięgnęła po książkę, którą wcześniej położyła na nocnej szafce, po Pamiętniki lady Catherine Dysart. Jej zdaniem był to niezwykle zajmujący i bardzo dowcipny opis środkowego okresu epoki wiktoriańskiej. Przeczytała parę linijek, po czym stwierdziła, że nie potrafi się skoncentrować. Jestem zmęczona, pomyślała. Odłożyła książkę i zgasła lampę. Znowu naszła ją myśl o modlitwie. Co takiego miałyby oznaczać tamte skandaliczne słowa Blanche, jakoby miała być zwolniona z modlitwy? Doprawdy, co też Blanche miała na myśli?

Joan naprędce ułożyła własną modlitwę. Modlitwę zlepioną z oderwanych słów.

Boże... dzięki ci... biedna Blanche... dzięki ci, że nie jestem taka jak ona... wielkie dzięki... za wszystkie twoje łaski... zwłaszcza za to, że nie jestem taka jak Blanche... biedna Blanche... to doprawdy straszne. Oczywiście sama sobie winna... straszne... prawdziwy szok... dzięki Bogu... ja jestem inna... biedna Blanche...

Joan zasnęła.

ROZDZIAŁ DRUGI

Następnego ranka, kiedy Joan Scudamore opuszczała zajazd, padało; siąpił drobny, przyjemny deszczyk, który jakoś nie pasował do tej części świata.

Joan była jedyną podróżną, udającą się na zachód – dość nietypowe zdarzenie – jakkolwiek o tej porze roku nigdy nie było zbyt dużego ruchu. A poza tym w poprzedni piątek odjechał bardzo liczny konwój.

Czekała na nią obszerna, turystyczna limuzyna z europejskim szoferem i jego miejscowym zmiennikiem. W szarym świetle poranka, kierownik zajazdu porykiwał na schodach na ładującą bagaże arabską obsługę i jednocześnie życzył mademoiselle (tak nazywał wszystkie bez wyjątku goszczące u niego kobiety) przyjemnej i bezpiecznej podróży. Następnie, kłaniając się dostojnie, wręczył odjeżdżającej mały tekturowy pojemnik z lunchem.

Szofer krzyknął wesoło:

– Żegnaj, Satan. Zobaczymy się jutro wieczorem albo raczej w przyszłym tygodniu.

Samochód ruszył. Potoczył się krętymi uliczkami orientalnego miasteczka z jego zaskakującą, wręcz groteskową jak na takie miejsce zachodnią architekturą. Klakson trąbił, osiołki schodziły z drogi, dzieci rozbiegały się na boki. Niebawem, pokonując zachodnią bramę, wydostali się na szeroką, brukowaną i wyboistą drogę, sprawiającą wrażenie wystarczająco solidnej, by można nią było dojechać aż na krańce świata.

Niestety, urwała się niespodziewanie po niespełna dwu kilometrach i zastąpił ją nieregularny, pustynny trakt.

Celem ich podróży była miejscowość o nazwie Tell Abu Hamid, gdzie znajdowała się końcowa stacja kolei tureckich.

Joan wiedziała, że przy dobrej pogodzie można było tam dotrzeć po mniej więcej siedmiu godzinach jazdy. Wiedziała, że w Tell Abu Hamid będzie na nią czekał pociąg, który przyjeżdża ze Stambułu rano, a w drogę powrotną ruszał o wpół do dziewiątej wieczorem. Wiedziała, że w Tell Abu Hamid znajduje się zajazd, w którym można odpocząć i coś zjeść. Wiedziała wreszcie, że konwoje, jeden jadący ze wschodu, a drugi na wschód, na ogół mijają się w połowie pustynnego traktu.

Tymczasem ów trakt okazał się bardzo nierówny, co oczywiście odbijało się na komforcie jazdy. Samochód kołysał się i podskakiwał, a wraz z nim podskakiwała na siedzeniu Joan.

Szofer zawołał do tyłu, że właśnie przejeżdżają przez paskudny odcinek traktu, lecz że on chce go pokonać jak najprędzej, bo trzeba sobie zostawić czas

na przeprawę przez wadi. Poza tym wyraził nadzieję, że jego pasażerka czuje się dobrze.

Zamilkł, za to od czasu do czasu popatrywał niespokojnie na niebo.

Tymczasem deszcz zaczął coraz mocniej i samochód co rusz wpadał w poślizg i kołysał się z boku na bok, co przyprawiało Joan o mdłości.

Do wadi, doliny wypełnionej wodą, dotarli około jedenastej. Pokonali ją jednak szczęśliwie, po niewielkich kłopotach z podjazdem pod drugi brzeg. Mniej więcej dwa kilometry dalej wjechali na miękki grunt i samochód ugrzązł.

Joan narzuciła na siebie nieprzemakalny płaszcz, wysiadła i zjadając lunch, przyglądała się ciekawie, jak idą w ruch łopaty, lewarki i deski (wiezione w samochodzie na taką właśnie okoliczność). Po krótkim czasie mina jej zrzędnęła, bo choć obaj mężczyźni pracowali w pocie czoła, kląć przy tym ile wlezie, to koła wciąż odpowiadały gniewnym buksowaniem, a cały ludzki wysiłek szedł na marne. Anglik jednak, jakby czytał w jej myślach, zapewnił ją, że wychodził z o wiele gorszej opresji, i że to, co ich spotkało, to zaledwie drobnostka. Miał rację: samochód w końcu poderwał się z przeraźliwym rykiem i skoczył do przodu na twardszy grunt.

Trochę dalej spotkali dwa samochody, jadące w przeciwnym kierunku i na środku pustyni odbyło się coś w rodzaju narady szoferów.

Pasażerami, jadącymi w stronę Bagdadu, byli dwaj Anglicy o wyglądzie handlowców, młody francuski oficer, starszy Amerykanin i kobieta z małym dzieckiem.

W dalszej drodze grzęźli jeszcze dwa razy i dwa razy kierowcy wyciągali z bagażnika lewarki i łopaty. Kiedy po raz kolejny dojechali do wadi, okazało się, że korytem płynie wartki strumień wody. Na domiar złego zapadał zmierzch.

– Czy pociąg czeka na spóźnialskich? – zapytała niespokojnie Joan.

– Tak – uspokoił ją szofer – zawsze czeka, choć tylko do wpół do dziesiątej. Na godzinę straty może sobie pozwolić, nadrobi ją po drodze. Proszę się nie martwić, od tego miejsca pojedziemy prędzej. Droga jest tutaj lepsza.

Z przeprawą, jak się można było spodziewać, nie poszło łatwo: drugi brzeg wadi okazał się istnym grzęzawiskiem i samochód stanął na twardym gruncie, kiedy było już ciemno. Dalsza droga istotnie nie nastęrczała żadnych trudności, lecz kiedy dotarli do Tell Abu Hamid, zegarki wskazywały dziesiątą piętnaście. Pociąg do Stambułu odjechał.

Joan była tak skonana, że na dobrą sprawę mało ją to obeszło. Jakoś dokuśtykała do jadalni, w której stały stoły na krzyżakach, ale tam jedynie wypić herbatę, po czym udała się wprost do słabo oświetlonego, ponurego pokoju z trzema żelaznymi łózkami. Po paru niezbędnych czynnościach padła na jedno z nich jak kłoda i natychmiast zasnęła.

Obudziła się następnego ranka, jak zwykle trzeźwa i gotowa do działania. Usiadła w łóżku, spojrzała na zegarek: wpół do dziesiątej. Wstała, ubrała się i poszła do jadalni. Natychmiast wyrósł przed nią Hindus. Jego głowę zdobił artystycznie udrapowany turban. Zamówiła śniadanie, przespacerowała się do drzwi i wyjrzała na zewnątrz.

No cóż, skonstatowała, krzywiąc usta w komicznym grymasie, jak widać znalazłam się dokładnie w samym środku niczego. A poza tym wygląda na to, że tym razem stracę na podróż dwa razy więcej czasu.

Do Bagdadu przyleciała z Kairu. Ta droga, powrotna, była dla niej nowa. Bagdad od Londynu dzieliło według planu siedem dni podróży: trzy w pociągu z Londynu do Stambułu, dwa kolejne – w pociągu do Aleppo, noc do końcowej stacji Tell Abu Hamid, potem dzień jazdy samochodem, noc w zajeździe, dalej samochodem aż do Kirkuku i wreszcie pociągiem do Bagdadu.

Po wczorajszym deszczu nie było ani śladu. Bezchmurne niebo jaśniało błękitem, a wszystko wokół miało złocistobrazową barwę piaszczystego pyłu. Tuż przy zajeździe, za ogrodzeniem z licznych zwojów drutu kolczastego, znajdowało się wysypisko puszek po konserwach i niewielki skrawek pustej przestrzeni, po której dreptało kilka chudych kur. Chmamy much żerowały na świeżo wyrzuconych puszkach, a coś, co wyglądało jak kupka brudnych łachmanów, nagle się podniosło i okazało arabskim chłopcem.

Trochę dalej, za kolejnymi zwojami kolczastego drutu stał przysadzisty budynek, prawdopodobnie stacja kolejowa, a obok niego coś, co kojarzyło się Joan

ze studnią artezyjską lub z jakimś dużym zbiornikiem wody. Na horyzoncie, od północy, majaczył łańcuch odległych wzgórz.

I to wszystko. Żadnych słupów granicznych, żadnych domów, żadnej roślinności, żadnych śladów ludzkiego życia.

Stacja, tory kolejowe, trochę kur, których liczba zdawała się nieproporcjonalnie mała w stosunku do zwojów strzegącego je drutu – to wszystko. Nic poza tym.

Doprawdy, pomyślała Joan, to bardzo zabawne. Że też musiałam utknąć w tak osobliwym miejscu.

Wyszedł hinduski służący i powiedział, że śniadanie jest gotowe.

Joan wróciła do budynku, gdzie przywitała ją niezbyt pociągająca, acz charakterystyczna dla przydrożnych zajazdów atmosfera: półmrok, zapach baraniego tłuszczu, nafty i środków owadobójczych.

Jej śniadanie składało się z kawy i mleka (puszkowanego oczywiście), pełnego talerza jajecznicy, kilku małych twardych grzanek, miseczki dżemu i podejrzenie wyglądającego kompotu z suszonych śliwek.

Joan zjadła wszystko, i to z apetytem. Znowu pojawił się Hindus. Zapytał, na którą godzinę życzyłyby sobie lunch. Odpowiedziała, że na dość wczesną, po czym oboje zgodzili się, że wpół do drugiej to doprawdy bardzo odpowiednia pora.

Pociągi, jak jej powiedziano w Bagdadzie, kursowały trzy razy w tygodniu: w poniedziałki, środy i piątki. Był wtorek, a zatem nie mogła wyjechać stąd wcześniej, niż nazajutrz, i to wieczorem. Zapytała służącego, czy faktycznie tak będzie.

– Tak, memsahib. Memsahib spóźnić się na pociąg wczoraj wieczorem. Niefortunnie. Trakt bardzo zły, deszcz padać i padać całą noc. To znaczy żadne samochody nie jeździć do Mosulu ani z Mosulu przez kilka dni.

– Mam nadzieję, że pociągi kursują zgodnie z rozkładem.

Joan nie była zainteresowana traktem do Mosulu.

– O tak, pociąg przyjechać jutro rano. Wracać jutro wieczorem.

Joan skinęła głową. Zapytała o samochód, który ją tu przywiózł.

– Odjechać wcześniej rano. Szofer mieć nadzieję zdażyć. Ale ja myśleć, że nie. Ja myśleć, że on tkwić na drodze kilka dni.

Joan, szczerze mówiąc, szoferem też nie była zainteresowana, choć to „tkwić na drodze kilka dni” zdało jej się wielce prawdopodobne.

Służący udzielał dalszych informacji.

– Stacja, memsahib. Tu być stacja.

– Tak właśnie myślę – powiedziała. – Turecka stacja. Stacja w Turcji. Turecka kolej.

Tamta strona drutu. Graniczny drut.

Joan popatrzyła z respektem na granicę i pomyślała, że granice są czymś bardzo dziwnym.

– Lunch wpół do drugiej, memsahib. Wpół do drugiej – powiedział Hindus, z uszczęśliwioną miną i zniknął. Kilka minut później Joan usłyszała, jak gdzieś na zapleczu krzyczy piskliwym, złym głosem i jak prawie natychmiast do jego krzyku dostraja się krzyk dwu arabskich, równie piskliwych i równie złych głosów.

Wygląda na to, że tego typu zajazdami chyba zawsze zarządzają Hindusi, pomyślała dość zdziwiona. Ciekawe, dlaczego. Może dlatego, że wiedza, jak postępować z Europejczykami. Och, nieważne, co mnie to wszystko obchodzi.

Co mogłabym z sobą zrobić tego ranka? Mogłabym dalej czytać zabawne Pamiętniki lady Catherine Dysart. Mogłabym napisać kilka listów. Wysłałabym je po drodze, w Aleppo. Przecież mam ze sobą blok listowy i kilka kopert.

Zawahała się na progu budynku. W środku było tak mroczno, no i te wszystkie zapachy... A może by trochę pospacerować?

Udała się do swojego pokoju i włożyła na głowę gruby, pilśniowy kapelusz z szerokim rondem. Oczywiście nie dlatego, by przebywanie na słońcu o tej porze roku mogło grozić jakimkolwiek niebezpieczeństwem, raczej zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że nigdy dość ostrożności. Założyła ciemne okulary i wsunęła do torebki blok listowy i wieczne pióro.

Tak wyposażona wyszła na dwór, minęła wysypisko puszek i na wszelki wypadek ruszyła w przeciwnym do stacji kolejowej kierunku. Nigdy nie wiadomo, pomyślała,

do jakich komplikacji i to międzynarodowych, może doprowadzić choćby mimowolna próba przekroczenia granicy.

Pomyślała też, że udaje się na bardzo dziwny spacer, spacer donikąd.

W samej rzeczy, taki spacer to dość oryginalny i interesujący pomysł.

Cóż, kiedy się spaceruje po wydmach, po wrzosowiskach, po plaży, po ulicy, zawsze ma się coś na celu. Wspiąć się na wzgórze... dojść do tamtej kępy drzew... do tamtej łąki wrzosu... tą ścieżką do tamtego gospodarstwa... szosą do sąsiedniego miasta, brzegiem morza do następnej zatoczki.

Ale tutaj to co innego. Tutaj nie wiadomo, dokąd iść i po co. Wychodzi się z zajazdu – i to wszystko. Po prawej stronie, po lewej, z przodu, nie widać nic poza nagim, szarobrazowym horyzontem.

Nie śpieszyła się, szła wolno. Powietrze było przyjemne, gorące, lecz nie za gorące. Termometr, pomyślała, wskazuje zapewne siedemdziesiąt stopni. No a przy tym taki łagodny, bardzo łagodny wietrzyk...

Szła mniej więcej przez dziesięć minut, nim spojrzała za siebie.

Zajazd, mimo swego obskurnego otoczenia, z daleka zdecydowanie zyskiwał na wyglądzie, a stojąca za nim stacja przypominała mały kopiec usypany z kamieni.

Joan uśmiechnęła się i podążyła dalej. Doprawdy, nic tylko oddychać tutejszym powietrzem; takie rześkie i takie czyste, nie skażone obecnością człowieka czy jakąkolwiek cywilizacją. Niebo nad głową, piasek pod nogami i nic poza tym. Oto prawdziwa przygoda! Oto najbardziej pożądana przerwa w codziennej monotonii! Może to i dobrze, że spóźniłam się na pociąg. Dwadzieścia cztery godziny absolutnej ciszy i spokoju jeszcze nikomu nie zaszkodziły. No a poza tym, pomyślała, nie muszę się śpieszyć do domu. Kiedy znajdę się w Stambule, zatelegrafuję do Rodneya i wyjaśnię mu przyczynę spóźnienia.

Kochany stary Rodney! Ciekawe, co też w tej chwili porabia. Ciekawe? Ależ skąd, przecież wiadomo, że siedzi w kancelarii adwokackiej Alderman, Scudamore & Witney, w całkiem miłym pokoju na pierwszym piętrze, z widokiem na Market Square. Przeprowadził się do niego po śmierci starego Witneya. Lubi go, to jasne, przecież pamięta, jak kiedyś, w dzień targowy, weszła tam znienacka, a on stał sobie spokojnie przy oknie i spoglądał na targ i na zwierzęta, które właśnie pędzono.

– Całkiem sporo krótkorogiego – mruknął jakby do siebie. (Być może nie chodziło o krótkorogie, Joan nie знаła się na hodowli, lecz tak czy inaczej, chodziło o bydło.)

– Co do nowego bojlera – powiedziała – to uważam, że Galbraith chce z nas zedrzeć. Może powinnam dowiedzieć się, ile wzięłoby Chamberlain. Co ty na to?

Pamięta też, że Rodney odwrócił się powoli, powoli zdjął okulary, powoli przetrął oczy i patrząc na nią niewidzącymi oczami, wymówił słowo „bojler” z lekkim zdziwieniem, jak gdyby nigdy nie słyszał o takim urządzeniu, a następnie, doprawdy raczej bez sensu, powiedział:

– Hoddesdon, jak widzę, sprzedaje tego młodego byka. A to znaczy, że jest pod kreską.

Pomyślała wówczas, że to bardzo ładnie ze strony Rodneya, iż interesuje się tym staruszką Hoddesdonem z Lower Mead, któremu, o czym każdy wiedział, wiodło się coraz gorzej, lecz na jej gust Rodney powinien uważniej słuchać tego, co ma mu do powiedzenia własna żona. Ostatecznie od kogo jak od kogo, ale od prawnika ludzie mają prawo oczekiwać odrobiny uwagi i zainteresowania. Jeśli Rodney będzie wodził po klientach błędnym, nieprzytomnym wzrokiem, straci ich co do jednego.

To dlatego rzuciła niecierpliwie:

– Przestań bujać w obłokach, Rodneyu. Mówię o bojlerze do centralnego ogrzewania.

A on odparł, że oczywiście należy rozważyć obie oferty, lecz że teraz wszystko drożeje i że trzeba się do tego przyzwyczaić. A potem spojrzał na piętrzące się na biurku dokumenty, ona zaś stwierdziła, że nie będzie mu się dłużej naprzykrzać, bo na jej oko czeka go dużo pracy.

Rodney uśmiechnął się i powiedział, że to prawda oraz że i tak stracił sporo czasu, obserwując targ.

– To dlatego lubię ten pokój – dorzucił. – Wiesz, zawsze czekam na piątki. Wsłuchaj się w te odgłosy, proszę.

Podniósł dłoń, a ona, posłuszna jego słowom, nadstawiła uszu: zza okna dochodziło meczenie owiec i porykiwanie bydła – doprawdy, masa nieprzyjemnego hałasu, lecz Rodney, dość zabawne, zdawał się to lubić. Stał tam, przy oknie, z głową lekko przekrzywioną, i uśmiechał się...

Och, dzisiaj nie jest dzień targowy. Dzisiaj Rodney zapewne tkwi za biurkiem i nic nie odrywa go od pracy. A tamte moje obawy, jakoby przez swe nieprzytomne spojrzenie miał stracić jakichś klientów, były całkiem bezpodstawne. Rodney swoją popularnością bił na głowę współników, no i lubiło go całe miasto, co samo w sobie było połową sukcesu w praktyce prowincjonalnego adwokata.

Ale i tak, pomyślała Joan z dumą, gdyby nie ja, zaprzepaściłby wszystko!

Jej myśli pobiegły do dnia, kiedy Rodney powiedział jej o ofercie wujka.

Chodziło o trochę staroświecki, lecz za to świetnie prosperujący rodzinny interes. Rozumiało się sarno przez się, że Rodney wejdzie weń po odbyciu aplikacji adwokackiej. Lecz oferta wujka Hardego, mówiąca o partnerstwie i to na doskonałych warunkach, była niczym innym jak uśmiechem losu.

Joan najpierw wyraziła zadowolenie i pogratulowała Rodneyowi, a dopiero potem zauważyła, że on chyba niezupełnie podziela jej entuzjazm. Faktycznie, zaraz padły te nieprawdopodobne słowa:

– Jeśli się zgodzę...

– Ależ Rodney! – zawołała skonsternowana.

Do dziś pamięta, jak bardzo wtedy pobladł na twarzy i jak drżały mu ręce, w których trzymał kawałek torfu. No i to dziwne błaganie w jego ciemnych oczach. No cóż, do tamtego dnia nie zdawała sobie sprawy, że Rodney jest nerwowy.

– Nienawidzę pracy za biurkiem. Nienawidzę – powiedział.

– Och wiem, kochanie – zapewniła go ze współczuciem. – To przeraźliwie jednostajna i ciężka praca, co ja mówię, to harówka, i do tego nudna. Lecz co innego partnerstwo. Chcę powiedzieć, że kiedy staniesz się współnikiem, będziesz tym wszystkim po prostu zainteresowany.

– Wszystkim, to znaczy kontraktami, dzierżawami, nieruchomościami, umowami, podczas gdy dotychczas...

Posypały się kolejne, całkiem absurdalne prawnicze terminy. Rodney uśmiechał się, lecz jej to nie zmyliło. Ona i tak widziała w jego oczach smutek i błaganie. Rodney błagał ją, a ona tak bardzo kochała Rodneya!

– Ale przecież od dawna było wiadomo, że będziesz pracował w kancelarii wujka Harry'ego.

– To prawda, było. Natomiast skąd mogłem wiedzieć, że to praca absolutnie nie dla mnie, że jest wbrew mojej naturze?

– No dobrze, tylko... tylko powiedz mi, co w takim razie zamierzasz robić?

– Chcę prowadzić gospodarstwo – wyrzucił z siebie gwałtownie, bez namysłu. – Little Mead idzie na sprzedaż. Posiadłość jest w złym stanie, Horley ją zaniedbał, lecz dzięki temu można nabyć ją tanio, a zauważ, to dobra ziemia...

Kreślił plany, posługiwał się technicznymi terminami, upajał się. Ona się całkiem pogubiła. Nie wiedziała nic ani o pszenicy, ani o jęczmieniu, ani o płodozmianach, ani o rasowym bydło, ani o mleczarniach.

W końcu jęknęła, przerażonym głosem:

– Little Mead... Przecież to tuż pod Asheldown, to odludzie.

– To dobra ziemia, Joan, i dobrze położona...

Upajał się dalej. Ona nie miała pojęcia, że Rodney potrafi się aż tak entuzjasmować, aż tyle mówić i aż tak żarliwie.

– Ależ kochanie – powiedziała powątpiewająco – czy z tego da się wyżyć? – Wyżyć? Oczywiście. No, przynajmniej wyżyć.

– To właśnie mam na myśli. Ludzie zawsze mówią, że gospodarka nie przynosi dochodu.

– Bo nie przynosi. Chyba że jest się piekielnym szczęściarzem albo obraca się dużym kapitałem. – W takim razie to nie jest praktyczne.

– Ależ jest, Joan, jest. Pamiętaj, że mam trochę własnych pieniędzy, a jeśli gospodarstwo zarobi na sobie, a ponadto przyniesie choćby odrobinę zysku, wyjdziemy na swoje. Tylko pomyśl, jak cudownie by się nam żyło. Życie na wsi to coś wspaniałego!

– Nie wierzę, byś choć trochę znał się na ziemi. – Jak to! Przecież mój dziadek ze strony matki, z Devonshire, był wielkim właścicielem ziemskim. Jako

dzieci, spędzaliśmy u niego wszystkie wakacje. Nigdzie nie było mi tak dobrze jak tam.

No cóż, pomyślała, powiedzenie, że mężczyzna to duże dziecko, nie mija się z prawdą...

– Przypuszczam – zgodziła się uprzejmie. – Lecz co innego życie, a co innego wakacje. Musimy myśleć o przyszłości, Rodneyu. Mamy Tony'ego. (Tony w tym czasie liczył sobie jedenaście miesięcy). A myślę, że to dopiero początek...

Rzucił jej pytające spojrzenie, a ona uśmiechnęła się i skinęła głową.

– W takim razie, Joan, nad czym tu się zastanawiać. Wiesz to dobre miejsce dla dzieci. Zdrowe. Miałyby tam świeże jaja i mleko i miałyby gdzie poszaleć, i w porę nauczyłyby się dbać o zwierzęta.

– To prawda, mój drogi, lecz co z resztą? Co z nauką? Nasze dzieci powinny chodzić do dobrych szkół. A to kosztuje. A buty i ubrania, a dentyści, a lekarze? Nie zapominaj też o dobieraniu właściwych przyjaciół... Nie możesz robić jedynie tego, na co sam masz ochotę. Powinieneś myśleć o dzieciach, jeśli sprowadziłeś je na świat. W końcu masz względem nich jakieś obowiązki.

– Byłyby szczęśliwe... – obstawał przy swoim Rodney, choć w jego głosie zabrzmiała niepewna nuta.

– To niepraktyczne, Rodneyu, naprawdę niepraktyczne. Co innego adwokatura. Jako wspólnik wujka Hany'ego możesz po pewnym czasie zarabiać dwa tysiące funtów rocznie.

– Z łatwością, jak myślę. Wujek Harry zarabia więcej.

– No widzisz! Widzisz! Nie możesz zaprzepaścić takiej szansy. Byłbyś szaleńcem!

Jej głos brzmiał zdecydowanie i kategorycznie. Zdawała sobie sprawę, że musi być stanowcza. Jeśli Rodney nie potrafi zrozumieć, co dla niego najlepsze, ona musi wziąć odpowiedzialność na swoje barki. Ten pomysł z wiejskim gospodarstwem był równie miły, jak głupi i śmieszny, a Rodney zachowywał się niby mały chłopiec. Ona czuła się po matczynemu silna i pewna siebie.

– Nie sądź, że cię nie rozumiem albo ci nie współczuję, mój drogi. To nie tak. Lecz ty po prostu bujasz w obłokach.

Przerwał jej, aby powiedzieć, że gospodarowanie na wsi jest według niego jak najbardziej konkretnym zajęciem, a nie chodzeniem z głową w chmurach.

– Tak, lecz to nie ma znaczenia. Nie dla nas. Tutaj masz wspaniały rodzinny interes z pierwszorzędnymi „widokami na przyszłość, a także wspaniałomyślną propozycję ze strony twojego wujka...

– Och, wiem. Wujek w swojej wspaniałomyślności posunął się o wiele dalej, niżbym kiedykolwiek się spodziewał.

– To prawda. A ty nie możesz, po prostu nie możesz odrzucić tego, co ci proponuje! Żałowałbyś swojej decyzji przez całe życie. Zapewne byś się obwiniał, że nie skorzystałeś z jego oferty.

– Cholerna kancelaria! – mruknął.

– Och, Rodneyu, ty wcale nie nienawidzisz jej aż tak bardzo, jak ci się zdaje.

– Nienawidzę. Wiem, co mówię. Przesiedziałem w czymś takim pięć lat, pamiętaj.

– Tym razem będzie inaczej. Co innego aplikant, a co innego wspólnik. W końcu zaczną cię interesować i praca, i ludzie, z którymi będziesz miał do czynienia. Zobaczysz, Rodneyu, na pewno będziesz szczęśliwy.

Wtedy na nią popatrzył długo i smutno. W jego spojrzeniu była miłość i rozpacz, i coś, co wyglądało na nikły płomyczek nadziei...

– Skąd wiesz, że będę? – zapytał.

– Będziesz, ja ci to mówię – rzuciła wesoło, jakby chcąc dodać mu odwagi.

Rodney westchnął i powiedział szorstkim głosem: – W porządku. Postawiłaś na swoim.

W ten oto sposób, pomyślała Joan, o włos uniknęliśmy niebezpieczeństwa. Jakie to szczęście dla Rodneya, że przynajmniej ja stałam twardo na ziemi i nie pozwoliłam mu zaprzepaścić kariery dla szaleńczej idei! Gdyby nie kobiety, myślała dalej, mężczyznom nieraz zdarzałoby się sporo namieszać w swoim życiu.

Kobiety to stabilność, to poczucie rzeczywistości... Tak, Rodney ma szczęście, że to ja jestem jego żoną.

Zerknęła na zegarek. Wpół do jedenastej. Bez sensu byłoby iść dalej, zwłaszcza (uśmiechnęła się), że nie ma dokąd.

Spojrzała przez ramię. Coś takiego! Zajazd ledwo majaczył w oddali; wtopił się w szarość pustyni do tego stopnia, że z trudem go wypatrzyła. Powinnam być ostrożniejsza, pomyślała. Mogłam się zgubić.

Zgubić? Śmieszne... no, może nie całkiem śmieszne. Tamte wzgórza na horyzoncie – przecież prawie ich nie widać, tak zlały się w jedno z chmurami. A stacja? Stacja po prostu znikła, jakby jej nigdy nie było.

Joan rozejrzała się uważnie dookoła: nic i niczego. I nikogo.

Wdzięcznym ruchem opadła na ziemię, otworzyła torebkę, wyjęła blok listowy i wieczne pióro. Miała do napisania kilka listów. Zabawnie byłoby przelać na papier swoje odczucia.

Do kogo mogłaby napisać? Do Lionela Westa? Do Janet Annesmore? Do Dorothei? Nie, raczej do Janet.

Odkręciła nasadkę wiecznego pióra i nie namyślając się, zaczęła pisać swoim potoczystym stylem:

Najdroższa Janet,

Nigdy byś nie zgadła, gdzie piszę ten list! W samym sercu pustyni. Utknęłam tutaj, spóźniwszy się na pociąg, który kursuje tylko trzy razy w tygodniu.

Jest tu zajazd, który prowadzi Hindus, jest kilka kur, kilku (bo chyba więcej niż jeden) osobliwie wyglądających Arabów i ja. Nie mam z kim rozmawiać i nie mam co robić. Ale nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo mnie to cieszy.

Pustynia jest cudowna, jest niewiarygodnie świeża. A cisza... Cóż, żeby zrozumieć, co znaczy cisza, trzeba jej doświadczyć. Wiesz, to jest tak, jakbym po raz pierwszy od lat mogła usłyszeć własne myśli!

Człowiek na co dzień jest strasznie zagoniony, żyje w ciągłym pośpiechu... Prawdopodobnie tak już musi być, lecz doprawdy warto od czasu do czasu zrobić sobie małą przerwę na myślenie i na regenerację sił.

Jestem tutaj zaledwie pół dnia, a już czuję się o wiele lepiej. Żadnych ludzi. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo pragnę od nich uciec. Świadomość tego, że na setki mil wokół (poza piaskiem i słońcem) nie ma niczego i nikogo, bardzo koi nerwy...

Pióro Joan płynęło dalej, gładko i równo...

ROZDZIAŁ TRZECI

Joan przestała pisać i spojrzała na zegarek.

Kwadrans po dwunastej.

Leżały przed nią trzy listy. W piórze zostało niewiele atramentu. Kończył się także blok listowy. Dość irytujące, pomyślała. Są jeszcze inni, do których mogłabym napisać.

Aczkolwiek, zadumała się, takie pisanie listu za listem jest na swój sposób zajęciem nieco jednostajnym... Słońce i piasek, piasek i słońce i jak to miło mieć wreszcie czas na odpoczynek i na myślenie! Wszystko to prawda, tylko że można się zmęczyć, próbując o tym słońcu i piasku, o odpoczywaniu i myśleniu pisać za każdym razem trochę inaczej.

Ziewnęła. To słońce naprawdę ją usypia. Po lunchu położy się i trochę prześpi.

Podniosła się i powędrowała powoli z powrotem, do zajazdu.

Ciekawe, pomyślała, co też w tej chwili porabia Blanche. Niewątpliwie do tej pory już zdążyła dojechać do Bagdadu i spotkać się z mężem. Ów mąż, sądząc z opisu, był raczej nieciekawym człowiekiem. Biedna Blanche – to straszne upaść tak nisko. Wszystkiemu winien Harry Marston, ów młody, szalenie przystojny weterynarz... Zamiast na niego, powinna natrafić na kogoś tak miłego jak Rodney.

Bo czyż sama nie przyznała, że Rodney jest czarujący?

Tak, przyznała. Przyznała, a nawet dodała coś więcej. Co to było? Coś o oczach Rodneya. Że niby robi do kobiet słodkie oczy. Takie pospolite wyrażenie, a przy tym zupełnie nieprawdziwe! Zupełnie! Rodney nigdy, ale to nigdy...

I znów ta myśl co przedtem, choć już nie tak prędką jak ów wał przecinający drogę, owa zielona błyskawica...

Panna Randolph...

Doprawdy, pomyślała Joan oburzona, jednocześnie przyśpieszając kroku, jak gdyby w ten sposób mogła zostawić za sobą niewygodne myśli, doprawdy nie mogące pojąć, skąd nieustannie przychodzi mi na myśl panna Randolph. Przecież to nie jest tak, by Rodney...

Chcę powiedzieć, że nie ma w tym odrobiny prawdy...

Ani trochę...

To tylko ta Myrna Randolph była wiadomym typem dziewczyny: pełne kształty, ciemnowłosa, apetyczna – taka, co to żadnemu nie przepuści.

Mówiąc bez ogródek, zagięła parol właśnie na Rodneya. Nic, tylko mu wmawiała, jaki jest wspaniały. Nic, tylko domagała się, by był jej partnerem do gry w tenisa. Byłe przyjęcie, a ta już siedzi i pożera go oczami.

Naturalnie pochlebiali to próżności Rodneya. Przecież nawet koń by się uśmieł, gdyby było inaczej, gdyby nie pochlebiali mu zaloty dziewczyny o lata młodszej, i do tego jednej z najprzystojniejszych w mieście.

Tak, pomyślała, ale ja na szczęście byłam wystarczająco bystra. No i taktowna, a jakże...

Wspomniała swoje ówczesne zachowanie z miłym uczuciem podziwu dla samej siebie. Wzięła sprawy w swoje ręce i z miejsca opanowała całą sytuację. Lekki przytyk:

– Twoja dziewczyna czeka na ciebie, Rodneyu. Nie pozwól, by się niecierpliwiła... Myrna Randolph oczywiście... Doprawdy, czasami całkiem się ośmiesza.

Rodney chrząknął.

– Nie chcę grać w tenisa z dziewczyną. Rozstaw ją z kimś innym.

– No, Rodneyu, nie bądź nieuprzejmy. Powinieneś z nią zagrać.

Właśnie tak należało kierować całą sprawą: potraktować ją trochę lekceważąco, trochę żartobliwie. Joan starała się pokazać, że wie, iż to nic poważnego...

Ta cała zabawa na pewno była miła dla Rodneya, mimo tych jego pochrząkiwań i pozornej irytacji. Myrna Randolph w gruncie rzeczy pociągała każdego mężczyznę. Kapryśna, traktująca adoratorów z głęboką pogardą, potrafiła w jednej chwili nagadać każdemu masę nieprzyjemnych rzeczy, w drugiej wabić ukradkowymi spojrzeniami.

Doprawdy, pomyślała Joan (z niezwykłym, jak na nią, uniesieniem), to była najobrzydliwsza z obrzydliwych dziewczyn. Zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, byleby tylko zniszczyć moje małżeństwo.

Nie, ona nie oskarża Rodneya. Oskarża tamtą dziewczynę. Wszak mężczyźni zawsze są łasi na pochlebstwa. A Rodney był wówczas żonaty, i to od lat. Od ilu? Od dziesięciu? Od jedenastu? Dziesięć lat, to jest to, co pisarze nazywają niebezpiecznym okresem w życiu małżonków. To czas, kiedy jedna lub druga strona ma ochotę urwać się z powrozu. To czas, przez który trzeba przejść ostrożnie, nim się człowiek ostatecznie ustakuje.

Ona i Rodney teraz mają to już za sobą...

Nie, ona nie oskarża Rodneya, nie oskarża go nawet za tamten pocałunek, który tak bardzo ją zaskoczył.

Że niby pod jemiolą. Pod jemiolą, a jakże!

Ta dziewczyna miała czelność wmawiać to Joan, kiedy ta weszła do gabinetu własnego męża.

– Jak to się mówi, chrzczimy jemiolę, pani Scudamore. Przypuszczam, że nie ma nam pani za złe.

W porządku, pomyślała Joan, zachowałam zimną krew i niczego po sobie nie pokazałam.

– Ejże, Myrna, wara od mojego męża! Lepiej poszukaj sobie własnego chłopaka.

Ona, śmiejąc się, przepędziła Myrnę z pokoju, a on powiedział:

– Przepraszam, Joan. To kawał diaboliczy, no a poza tym mamy Boże Narodzenie.

Stał i uśmiechał się do niej przymilnie, choć wcale nie wyglądał na zakłopotanego czy wytraconego z równowagi. A to znaczyło, że sprawy jeszcze nie zaszły za daleko.

I nie zaszły ani o krok dalej! Już ona o to zadbała. Zadbała, by Myrna Randolph nie wchodziła Rodneyowi w drogę. A na następną Wielkanoc Myrna zaręczyła się z młodym Arlingtonem.

Tak więc cała sprawa rozeszła się po kościach. Rodney być może trochę się zabawił, lecz z drugiej strony, przy swojej ciężkiej pracy ten pocziwiec zasługiwał na odrobinę rozrywki.

Dziesięć lat w małżeństwie, tak, to był niebezpieczny czas. Przecież nawet jej samej nie ominął pewien niepokój...

Ów młody mężczyzna, o dość niecywilizowanym wyglądzie, ów artysta – jak on się nazywał? Nie, doprawdy, nie potrafi sobie przypomnieć. Czy aby nie była nim trochę zauroczona?

A jakże, uśmiechnęła się sama do siebie pobłaźliwie, faktycznie była. Rzeczywiście trochę na jego punkcie zgłupiała. Choć zważywszy na tę jego żarliwość i ten rozbrajający zachwyt, z jakim się w nią wpatrywał, nie było w tym nic dziwnego. No a poza tym poprosił ją, by mu pozowała.

Zwykły pretekst oczywiście. Zrobił kilka szkiców, a następnie wszystkie zniszczył. Powiedział, że nie może uchwycić jej na płótnie.

Tak czy inaczej, jej próżność została mile połechtana. Biedny chłopiec, myślała, wygląda na to, że naprawdę zadurzył się we mnie.

No cóż, to był sympatyczny miesiąc...

Chociaż...

Ano właśnie. Cała historia miała dość irytujące zakończenie. Niezupełnie takie, jakie sobie zaplanowała, a Michael Callaway (ależ tak, Callaway!) okazał się z gruntu nieodpowiednią osobą.

Otóż pewnego dnia poszli na spacer do Haling Woods. Szli ścieżką wzdłuż strumienia spływającego ze szczytu Asheldown. Michael poprosił ją o ten spacer jakimś burkliwym, nieśmiałym głosem.

Była prawie pewna, jak potoczy się ich rozmowa. On wyzna, że ją kocha, a ona będzie bardzo słodka, miła i pełna zrozumienia, a także trochę skruszona... Nawet ułożyła sobie w myślach parę trafnych, uroczych zdań, takich, które, być może, on zechciałby zachować sobie w sercu na potem.

Lecz to nie było tak.

To wcale nie było tak!

To było całkiem inaczej. Michael Callaway zniemacka schwycił ją w pole i gwałtownie, brutalnie pocałował. Nim ona zdążyła pojąć, co się stało, wypuścił ją z objęć i głośno powiedział:

– Na Boga, tego właśnie chciałem! – Następnie, zupełnie nie zmieszany, głuchy na jej gwałtowne wyrzuty, przeciągnął się, ziewnął i zaczął spokojnie nabijać fajkę. – Czuję się teraz o wiele lepiej – dorzucił po chwili.

Powiedział to, pomyślała Joan, przypominając sobie tamtą scenę, co w upalny dzień mógłby powiedzieć mężczyzna po wypiciu szklanki wody.

Wracali do domu w milczeniu. To znaczy milczała ona. Michael Callaway, sądząc po hałasie, jaki robił, chyba usiłował śpiewać. Na skraju lasu, tuż przed wejściem na Market Wopling, to jest na drogę prowadzącą do Crayminster, przystanął i przyjrzawszy się jej beznamiętnie, powiedział kontemplacyjnym tonem:

– Wiesz, jesteś z gatunku tych kobiet, które powinno się gwałcić.

Stała jak wryta, z gniewu i zdumienia niezdolna wydusić z siebie choćby słowa.

– Chętnie sam bym to zrobił – dorzucił. – Ciekawe, czy potem byś się choć trochę odmieniła.

Następnie ruszył przed siebie drogą i zaprzestając raczej nieudanych prób śpiewu, zaczął pogwizdywać.

Naturalnie już więcej się do niego nie odezwała, a on opuścił Crayminster kilka dni później.

Dziwny, intrygujący i poniekąd irytujący incydent. Nic takiego, o czym warto byłoby pamiętać. Właściwie dlaczego akurat teraz jej się przypomniał?

Ohyda. Cała ta sprawa była po prostu ohydna. Natychmiast powinna przestać o niej myśleć. Ostatecznie, jak się raz w życiu jest na pustyni i jak się raz w życiu odbywa kurację słoneczną, to chyba można sobie pozwolić na luksus myślenia wyłącznie o przyjemnych rzeczach.

Możliwe, że lunch już jest gotowy. Spojrzała na zegarek, lecz ten wskazywał zaledwie kwadrans po dwunastej.

Znalazłszy się w zajeździe, poszła do swojego pokoju i przetrząsnęła kuferek podróżny, aby sprawdzić, czy ma z sobą więcej papieru listowego. Nie, nie miała. Och, w porządku, to nieważne. Pisanie o niczym, czyli w kółko o tym samym, to nużące zajęcia. A książki? Czy ma coś poza Pamiętnikami lady Catherine Dysart? No tak, ma jeszcze tę detektywistyczną historyjkę, którą William wcisnął jej na odjeździe. To miło z jego strony, lecz ona naprawdę nie przepada za detektywistycznymi historyjkami. No i ma Dom władzy Buchana, tyle że to powieść sprzed lat i już ją kiedyś czytała.

Och, w porządku, w końcu kupi sobie coś nowego na dworcu w Aleppo.

Lunch składał się z omletu (dość twardego i przypalonego), jajek z dodatkiem curry, półmiska łososa (z puszki), fasoli w sosie pomidorowym (z puszki) i brzoskwiń (też z puszki).

Po zjedzeniu tego dość ciężko strawnego posiłku poszła do pokoju i położyła się na łóżku. Spała trzy kwadransy, potem czytała Pamiętniki lady Catherine Dysart aż do podwieczorku.

Na podwieczorek wypila herbatę (mleko z puszki) i zjadła herbatniki. Poszła na krótki spacer, wróciła i skończyła Pamiętniki. Następnie zjadła kolację. Podano jej omlet, łososa z ryżem i z curry, jaja, fasolę w sosie pomidorowym i morele (z puszki). Po kolacji zaczęła czytać detektywistyczną historyjkę od Williama i skończyła ją w sam raz wtedy, kiedy przyszła pora na spanie.

– Dobranoc, memsahib – powiedział pogodnie Hindus. – Pociąg przyjeżdża o wpół do ósmej rano, ale odjechać dopiero wieczorem, wpół do dziewiątej.

Joan skinęła głową.

Miała przed sobą kolejny dzień, który należało czymś wypełnić. Mogła, na przykład, przeczytać po raz kolejny Dom władzy, chociaż ta krótka powieść nie wypełniłaby jej zapewne całego wolnego czasu. Wtedy zaświtała jej w głowie pewna myśl.

– Tym pociągiem przyjadą jacyś podróżni, tak? Och, ale jeśli nawet, to już widzę, jak natychmiast pędzą do samochodów i odjeżdżają do Mosulu.

Hindus potrząsnął przecząco głową.

– Nie jutro, memsahib. Dzisiaj nie przyjechać żadne samochody. Ja myśleć, trakt do Mosulu bardzo zły. Nic nie jeździć przez dużo dni.

Joan rozpogodziła się. Już jutro mogą tu być inni podróżni. I mogą się okazać całkiem mili. I na pewno znajdzie się ktoś, z kim można będzie porozmawiać.

Zatem położyła się do łóżka w o wiele lepszym nastroju, a w każdym razie nie była już tak markotna jak dziesięć minut wcześniej. Pomyślała jednak, że w zajeździe panuje dość dziwna atmosfera. W końcu doszła do wniosku, że strasznie drażni ją ten okropny zapach zjełczałego tłuszczu!

Obudziła się następnego ranka o ósmej, wstała, ubrała się i poszła do jadalni. Na stole leżało tylko jedno nakrycie. Przywołała Hindusa.

Hindus zbliżył się i nie kryjąc podekscytowania, powiedział:

– Pociąg nie przyjechać, memsahib.

– Co to znaczy, nie przyjechać? Po prostu spóźnia się, czy tak?

– Nie przyjechać wcale. Deszcz padać. Rozmywać tory po tamtej stronie Nissibin. Żaden pociąg nie przyjechać przez trzy, cztery, pięć, a może sześć dni.

Joan popatrzyła na niego z przerażeniem.

– A co ze mną? Co ja mam robić?

– Pani mieszkać tutaj, memsahib. Dużo jedzenia, dużo piwa, dużo herbaty. Bardzo miło. Pani czekać, aż pociąg przyjechać.

O nieba, pomyślała Joan, ci ludzie Orientu. Czas dla nich nic nie znaczy.

– Nie mogłabym dostać samochodu? Hindus wyglądał na rozbawionego. – Samochodu? Gdzie dostać samochodu? Trakt do Mosulu bardzo kiepski, wszystko grzęznąć po tamtej stronie wadi.

– Nie da się zatelefonować?

– Telefonować? Tutaj? Turecka linia. Turek robić kłopot, nie pozwolić. Turek tylko prowadzić pociąg.

A to ci historia, pomyślała Joan z rozbawieniem, naprawdę jestem odcięta od świata! Żadnych telefonów czy telegrafów, żadnych samochodów.

– Memsahib się nie martwić, memsahib mieć bardzo ładna pogoda, mieć dużo jedzenia, mieć wygodnie – pocieszył ją Hindus.

Co do pogody, przytaknęła w duchu Joan, zgoda. Z pogodą mi się udało. Byłoby okropnie, gdybym przez cały dzień musiała siedzieć wewnątrz budynku.

Jakby czytając w jej myślach, Hindus dodał:

– Tutaj dobra pogoda, rzadko padać. Padać bliżej Mosulu, rozmywać tory.

Joan usiadła przy swoim nakryciu i czekając na śniadanie, zaczynała powoli godzić się z losem. Pomyślała, że nie ma sensu się denerwować, skoro to i tak niczego nie zmieni. Niemniej doszła do wniosku, że takie bezproduktywne siedzenie to irytująca strata czasu.

Uśmiechnęła się krzywo: wygląda na to, że mam, czego chciałam. Przecież nie dalej jak dwa dni temu powiedziałam Blanche, że każdemu od czasu do czasu przydałoby się kilka wolnych chwil dla podreperowania nerwów. No i proszę: nie mam nic do roboty, nie mam nic do czytania. Zatem odpoczynek na pustyni może mi jedynie wyjść na zdrowie.

Myśl o Blanche wywołała w niej jakieś niezbyt przyjemne skojarzenia, przypomniała coś, o czym raczej nie chciałyby pamiętać. A w ogóle to skąd te wszystkie myśli o Blanche?

Po śniadaniu wyszła na dwór. Tak jak poprzednio oddaliła się od zajazdu spory kawałek drogi i tak jak poprzednio rozsiadła się na piasku. Przez jakiś czas trwała w nie zmienionej pozycji, z zamkniętymi oczami.

Jakie to cudowne, myślała, czuć, jak sączy mi się w duszę ten spokój i ta cisza. I jak dobrze mi to robi. I jakie niesamowicie uzdrawiające działanie ma tutejsze powietrze, słońce i ten bezmiar otaczającej mnie pustki. Posiedzę tu tak długo, jak wytrzymam.

Kiedy spojrzała na zegarek, było dziesięć minut po dziesiątej.

Pomyślała: ranek mija całkiem prędko...

A gdyby tak napisać parę linijek do Barbary? Że też nie zrobiła tego wczoraj. Zamiast zaprzętać sobie głowę głupimi listami do przyjaciół w Anglii, mogłam skreślić kilka słów do córki. Wyciągnęła blok listowy z ostatnimi kartkami i pióro.

Kochana Barbaro,

Moja podróż zaczęta się niezbyt szczęśliwie. Spóźniłam się na wieczorny pociąg w poniedziałek i od dwóch dni tkwię na małej stacyjce. Jest tu cicho i spokojnie. W ciągu dnia wygrzewam się w słońcu i czuję się całkiem dobrze.

Przerwała. Co by tu jeszcze dodać. Coś o dziecku, a może o Williamie? Co, na miły Bóg, mogły oznaczać słowa Blanche „nie martw się o Barbarę”? Ach tak, to dlatego nie chciałam myśleć o Blanche. Blanche miała specyficzny wyraz twarzy, kiedy mówiła o Barbarze.

„W końcu wszystko jakoś się ułoży”. Czyżby to miało znaczyć, że do tej pory coś się nie układało?

Lecz w jakim sensie? Blanche zrobiła aluzję do zbyt młodego wieku Barbary. Sugerowała, że jej córka zbyt młodo wyszła za męża.

Joan poruszyła się niespokojnie. Swego czasu Rodney też coś takiego powiedział. Całkiem nieoczekiwanie i niezwykle stanowczo.

– Nie jestem szczęśliwy z powodu tego małżeństwa, Joan.

– Och, Rodney, ale dlaczego? William jest bardzo miły i wydaje się, że oboje stanowią dobraną parę.

– Tak, to prawda, William jest miłym młodzieńcem, lecz ona go nie kocha, Joan.

Była zdumiona. Absolutnie zdumiona.

– Rodney, co też ty wygadujesz? Przecież to śmieszne! Oczywiście, że go kocha! Gdyby tak nie było, to dlaczego, u licha, miałyby się z nim wiązać?

– Właśnie: dlaczego? I to jest to, czego się boję – odpowiedział Rodney cokolwiek enigmatycznie.

– Ależ, kochanie... doprawdy... czy nie stajesz się odrobinę śmieszny?
 Rodney, nie zwracając uwagi na jej rozmyślnie lekki ton, powiedział:
 – Jeśli go nie kocha, nie musi za niego wychodzić. Jest za młoda jak na małżeństwo, no a poza tym ma zbyt dużo temperamentu.
 – Och, doprawdy, a cóż ty wiesz o temperamentcie?
 Nie potrafiła ukryć rozbawienia, mimo to Rodney nawet się nie uśmiechnął.
 – Dziewczęta czasami wychodzą za mąż tylko dlatego, by uciec z domu.
 Tego już było za wiele. Roześmiała mu się prosto w twarz.
 – Nie z takiego jak dom Barbary! Nie znam dziewczyny, która miałaby szczęśliwszy dom.
 – Naprawdę wierzysz w to, co mówisz?
 – A jakże. U nas dzieci zawsze były na pierwszym miejscu. Wszystko robiło się z myślą o nich.
 – Nieczęsto przyprowadzają do domu swoich przyjaciół.
 – Przecież wiesz, kochanie, że jeśli wydaję przyjęcie, to zawsze zapraszam na nie młodzież! Bardzo o to dbam. To Barbara mówi, że ani nie chce przyjąć, ani nie chce nikogo zapraszać.
 Rodney potrząsnął głową. Nie wyglądał na przekonanego.
 Trochę później, tamtego wieczoru, Joan weszła do pokoju właśnie w chwili, kiedy Barbara wykrzykiwała niecierpliwym głosem:
 – To nic nie da, tatusiu, muszę odejść. Nie wytrzymam tego dłużej. I nie mów mi, proszę, bym znalazła sobie jakieś zajęcie. Cierpnę na samą myśl o czymś takim.
 – Co się tu dzieje? – zapytała.
 Po kilku sekundach milczenia Barbara z ogniem buntu w oczach wyrzuciła z siebie:
 – Tatuś zawsze wszystko wie najlepiej! Chce, żebym latami nosiła pierścionełk zaręczynowy. A ja mu mówię, że nie wytrzymam tego dłużej i że chcę wyjść za Williama natychmiast i jak najszybciej wyjechać do Bagdadu. Sądzę, że tam będzie cudownie.
 – Och, kochanie – zaniepokoiła się Joan. – Wolałabym, żeby to nie było tak daleko. Chciałabym w jakiś sposób czuwać nad tobą.
 – Mamo, proszę!
 – Wiem, kochanie, wiem, lecz ty nie zdajesz sobie sprawy, że jesteś jeszcze bardzo młoda i absolutnie niedoświadczona. Gdybyś nie mieszkała aż tak daleko, na pewno niejednokrotnie mogłabym ci w czymś pomóc.
 Barbara uśmiechnęła się i powiedziała:
 – No cóż, zdaje mi się, że najwyższa pora, żebym zaczęła radzić sobie sama. Nie wypada mi wiecznie korzystać z twojego doświadczenia i podpierać się twoją mądrością.
 Widząc, że Rodney powoli zmierza ku drzwiom, rzuciła się za nim i nieoczekiwanie zarzuciła mu ramiona na szyję.
 – Mój kochany tatuś. Mój najdroższy, ukochany tatuś..
 Doprawdy, pomyślała Joan, to dziecko przesadzało ze swoją wylewnością. Tak czy inaczej, Rodney mylił się w swoich przypuszczeniach, i to całkowicie. Barbarę po prostu upajała sama myśl o wyjeździe na Wschód ze swoim Williamem. Aż przyjemnie było popatrzeć, jak te dwie młode istoty się kochają. A te ich plany na przyszłość..
 Ciekawe, kto w Bagdadzie wpadł na ów szaleńczy pomysł, że Barbara była w domu nieszczęśliwa. Swoją drogą, Bagdad to straszliwie rozplotkowane miasto, tak straszliwie, że na wszelki wypadek zawsze powinno się trzymać język za zębami.
 No bo choćby sprawa takiego majora Reida.
 Ona sama nigdy się z nim nie zetknęła, lecz to nazwisko często przewijało się w listach Barbary do domu. Major Reid był na obiedzie. Pojechali z majorem Reidem na polowanie. Barbara spędzała letnie miesiące w Arkanduz. Ona i jeszcze druga młoda męzatka mieszkały w jednym bungalowie, a major Reid był tam w tym samym czasie. Całymi dniami grali w tenisa. Później Barbara i on wygrali w mikście rozgrywki klubowe.
 Czyż zatem nie zachowała się w sposób jak najbardziej naturalny, wyrażając chęć poznania go osobiście? Przecież tak wiele o nim słyszała.

Zakłopotanie, jakie stało się udziałem Barbary i Williama, było całkiem absurdalne. Barbara zrobiła się biała jak kreda, a William poczerwieniał, i po kilku minutach zaledwie mruknął i to dziwnie odmienionym głosem:

– Nic nam o nim ostatnio nie wiadomo.

Miał tak posępną minę, że Joan uznała za stosowne natychmiast zmienić temat. Jednak później, kiedy Barbara poszła spać, wróciła do osoby majora Reida raz jeszcze, przyznając z uśmiechem, że jak na jej wyczucie niewątpliwie popełniła gafę. Czyżby major Reid nie był ich serdecznym przyjacielem?

William podniósł się i postukał fajką o gzyms kominka.

– Czy ja wiem – powiedział wymijająco – trochę razem polowaliśmy, ale od dłuższego czasu już go w ogóle nie widzimy.

Nie najlepiej sobie radził, pomyślała Joan. No cóż, mężczyźni rzadko kiedy potrafią udawać. Uśmiechnęła się do siebie, odrobinę rozbawiona wspomnieniem staroświeckiej powściągliwości Williama.

Prawdopodobnie brał ją za bardzo sztywną, pruderyjną kobietę, za przysłowiową teściową.

– Rozumiem – powiedziała. – Jakiś skandal.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – William zapytał ze złością.

– Mój drogi chłopcze – uśmiechnęła się do niego – czytam z twojej twarzy jak z nut. Prawdopodobnie czegoś się o nim dowiedziałeś i jedyne, co można było zrobić, to zerwać znajomość. Nie obawiaj się, nie będę zadawała żadnych pytań. Takie sprawy są bardzo bolesne, dobrze wiem.

– To prawda – przyznał William. – Są bolesne.

– Ludzi na ogół mierzy się własną miarką, a kiedy okazują się nie tacy, za jakich się ich brało, cała rzecz staje się kłopotliwa i nieprzyjemna.

– Wyniósł się stąd, w tym przynajmniej pociecha. Wyjechał do Afryki Wschodniej.

To wówczas Joan przypomniała sobie strzępki jakiejś rozmowy, która pewnego razu toczyła się obok niej w Alwija Club. Niejaki Nobby Reid miał się wybierać do Ugandy.

– Biedny Nobby – westchnęła współczująco jakaś kobieta. – To naprawdę nie jego wina, że wszystkie tutejsze smarkule szaleją za nim.

A druga, starsza, roześmiała się złośliwie i dorzuciła:

– Istotnie, nie potrafi się od nich opędnąć. Słodkie idiotki, niewiniątka, niedoświadczone narzeczone, takie najbardziej nasz Nobby lubi. No i te jego fantastyczne metody! Ten jego szarmancki wdzięk uwodziciela... Dziewczyna myśli, że jest w niej nieprzytomnie zakochany, a zwykle jest to moment, kiedy ten już rozgląda się za następną.

– Tak czy owak – powiedziała pierwsza – będzie go nam brakowało. To takie zabawne stworzenie.

Ta druga znów się zaśmiała.

– Och, nie zapominaj, że jest kilku mężów, którzy z ulgą przyjmą wiadomość o jego wyjeździe! Jeśli chodzi o mężczyzn, to lubiło go bardzo niewielu.

– Bo też nieźle sobie poczynał. Nic dziwnego, że pali mu się grunt pod nogami.

Ta druga szepnęła „ciiicho” i zniżyła głos, skutkiem czego Joan nie usłyszała ani słówka więcej. Zresztą, pomyślała, że i tak mnie to wszystko nic nie obchodzi. Jednak po rozmowie z Williamem jej wyobraźnia zaczęła pracować.

Skoro William zbył ją byle czym, to może Barbara będzie mniej powściągliwa.

Barbara jednakże oznajmiła krótko i węzłowato:

– Pozwól, że nie będę o tym mówić, mamu. Barbara właściwie o niczym nie chciała mówić.

Była niewiarygodnie małomówna i drażliwa, jeśli chodzi o swoją chorobę i jej przyczyny. Wszystko miało się rzekomo zacząć od czegoś w rodzaju trucizny, co Joan skojarzyła ze skażonym pożywieniem. Zatrucie ptomainami w tym gorącym klimacie to rzecz na porządku dziennym, a przynajmniej jej się tak zdawało. Lecz ani William, ani Barbara nie chcieli wdawać się w szczegóły, a lekarz, u którego ona, jako matka oczywiście, spodziewała się zasięgnąć informacji, okazał się nad wyraz mrukliwy i niekomunikatywny. Dał jej do zrozumienia, że młoda pani Wray nie powinna być wypytywana czy zachęcana do rozwodzenia się nad swoją chorobą.

– Wszystko, czego teraz potrzebuje, to dobra opieka i spokój. Tylko te dwa czynniki są w stanie zagwarantować, że pani córka z wolna nabierze sił. Pytania o przyczyny i skutki zazwyczaj są jałowym przedmiotem dyskusji i do właściwej kuracji pacjenta wnoszą niewiele dobrego. To moja jedyna rada, pani Scudamore.

Nieprzyjemny, nieprzystępny typ, oceniła go Joan, a do tego jakby w ogóle nie zauważał, z jakim matczynym poświęceniem pędziłam tu aż z Anglii.

W każdym razie Barbara była jej wdzięczna. A przynajmniej Joan tak uważała... Barbara podziękowała swojej matce w bardzo ładny sposób. Nawet William dorzucił parę uprzejmych słów.

– Nie mogę zostać dłużej – powiedziała – bardzo żałuję, ale nie mogę.

Wówczas William pośpieszył z zapewnieniem, że on też żałuje. Ona dodała, że lepiej niech jej nie zatrzymują, ponieważ spędzenie zimy w Bagdadzie to na tyle wielka pokusa, że jeszcze parę słów zachęty, a nie potrafi się jej oprzeć, lecz że koniec końców trzeba mieć wzgląd na ojca Barbary. Na co Barbara tym swoim słabym głosem szepnęła tylko: „kochany tatuś”, lecz po chwili, zapewne przewyciężając własną niemoc, dodała:

– Posłuchaj, mam, właściwie to dlaczego nie miałybyś zostać?

– Powinnaś myśleć o swoim ojcu, kochanie. Barbara odrzekła, wpadając w ten swój dziwnie oschły ton, że właśnie o nim myśli. Jednak Joan, powiedziała, że nie może przystać na to, by biedny, kochany Rodney była zdany wyłącznie na łaskę służby.

Tak, to prawda, był taki moment na kilka dni przed jej odjazdem, kiedy prawie zmieniła zamiary. Ostatecznie, pomyślała, nic się nie stanie, jeśli przedłużę pobyt o miesiąc. Jednak kiedy William opisał jej (i to bardzo obrazowo) komplikacje, jakie zdarzają się w podróży przez pustynię poza sezonem, poczuła się bardzo zaalarmowana i zdecydowała, że najlepiej będzie trzymać się pierwotnego planu. Wtedy William i Barbara stali się dla niej do tego stopnia mili, że mało brakowało, a jeszcze raz zmieniłaby swoje zamiary.

Chociaż, kiedy patrzy na to teraz, wydaje jej się, że bez względu na to, jak późno rozpoczęłaby podróż, nie mogłoby się jej przytrafić nic gorszego niż to, co i tak się przytrafiło.

Znów spojrzała na zegarek. Za pięć jedenasta. Że też tyle myśli potrafi się przewinać przez głowę w tak krótkim czasie.

Pożałowała, że nie zabrała ze sobą Domu władzy, choć z drugiej strony, jeśli jest to jedyna tu rzecz do czytania, to chyba mądrzej będzie zostawić ją sobie w rezerwie.

Mam dwie godziny do lunchu. Dzisiaj zamówiłam go na pierwszą. Może lepiej zrobię, idąc na krótki spacer, choć czy to nie głupio spacerować bez celu? W piekącym słońcu?

Och, w porządku, przecież często marzyło mi się, by mieć choćby jedną maleńką chwilkę wyłącznie dla siebie, a to po to, by wreszcie móc spokojnie pomyśleć. Kiedy, jeśli nie teraz, trafi mi się podobna okazja? No więc, co z tym myśleniem? I od czego powinnam zacząć?

Zaczęła szperać w pamięci, lecz wszystko, na co natrafiała, w gruncie rzeczy nie miało większego znaczenia: znaleźć jakąś odłożoną na zimę rzecz... dobrze rozplanować letnie wakacje służących... zadbać o zmianę wystroju pokoju, który kiedyś był pokojem szkolnym...

Czy kiedykolwiek w listopadzie planowała letnie wakacje służących? A poza tym – kiedy wypadają Zielone Świątki? Nawet nie ma kalendarza na przyszły rok. To prawda, mogłaby coś postanowić w sprawie pokoju szkolnego. Może ściany w jasnym beżu, jasnozłote pokrycia plus jakieś przyjemne, jasne poduszki? Tak, to mogłoby się nieźle komponować.

Dziesięć minut po jedenastej. Zatem dokonanie zmian w pokoju szkolnym nie zabrało jej wiele czasu!

Gdybym wiedziała, co mnie czeka, pomyślała niezdecydowanie, zabrałabym ze sobą jakąś interesującą książkę naukową albo dotyczącą odkryć, w każdym razie taką, która pomogłaby mi zrozumieć... zrozumieć, powiedzmy, teorię kwantową.

Teorię kwantową? Skąd mi przyszła do głowy teoria kwantowa? Ależ tak, oczywiście – pokrycia mebli, a jeśli one to i pani Sherston.

Swego czasu rozważała z panią Sherston, żoną dyrektora miejscowego banku, stale powracający problem zasłon w salonie – kreton czy perkal – i w samym środku rozmowy pani Sherston rzuciła ni stąd, ni zowąd, jak to ona:

– Wielka szkoda, że nie jestem dość inteligentna, aby zrozumieć teorię kwantów. Bo też proszę sobie wyobrazić jakąś energię, która rozsadza mikrocząsteczki... Nie sądzi pani, że to coś wręcz niesamowitego?

Joan wytrzeszczyła na nią oczy, ponieważ nie miała pojęcia, co może łączyć teorie naukowe z perkalami, a pani Sherston, czerwieniejąc się z lekka na twarzy, powiedziała:

– Ależ ja jestem głupia, choć wie pani, jak to bywa, czasem strzeli coś człowiekowi do głowy. Ale tak czy siak, to naprawdę ekscytująca teoria.

Joan nie miała własnego zdania na ten temat, lecz za to przypomniały jej się ręcznie malowane lniane zasłony pani Sherston. Tkaninę zdobił roślinny wzór w odcieniach brązu, szarości i czerwieni. Powiedziała więc:

– Pani zasłony są doprawdy niezwykle. Przypuszczam, że kosztowały majątek?

A pani Sherston przyznała, że rzeczywiście były drogie. I dodała, że dlatego je sobie sprawiła, ponieważ kocha lasy i drzewa, i że marzeniem jej życia są takie miejsca na świecie, jak Birma czy Malaje, gdzie wszystko rośnie w oszałamiającym tempie! Mówiąc to zrobiła dłońmi jakiś nieokreślony gest, który prawdopodobnie miał wyrażać jej niecierpliwość.

Ten len, myślała teraz Joan, na pewno kosztował co najmniej osiemnaście i pół szylinga za jard, fantastyczna cena w dzisiejszych czasach. Ktoś, kto był świadom, ile kapitan Sherston daje swojej żonie na prowadzenie domu i umeblowanie, mógł się domyślać, co z tego wyniknie w przyszłości.

Ona sama nigdy nie lubiła tego człowieka. Jeszcze teraz ma przed oczami następującą scenę: oto siedzi w jego gabinecie w banku, rozważając sprawę jakichś akcji, a naprzeciw niej, za biurkiem, rozpięra się Sherston, potężny, pełen animuszu mężczyzna, wprost ociekający tą swoją dobroduszością, przesadnie swobodny... Jestem światowcem, droga pani", zdaje się mówić, „proszę nie brać mnie jedynie za maszynkę do robienia pieniędzy... gram w tenisa, w golfa, tańczę, gram w brydża. Prawdziwy Sherston to ten, którego spotyka pani na przyjęciach, swój gość, nie ów urzędnik, który umie jedynie mówić o czekach bez pokrycia”.

Pretensjonalny, chełpliwy gaduła, pomyślała Joan, oburzona. Krętacz, zwykły krętacz. Niewątpliwie zaczynał karierę od fałszowania ksiąg, czy od jakichś innych szwindli. I co z tego, skoro lubili go prawie wszyscy, a nawet utarła się opinia, że stary Sherston to równy facet i że wcale nie przypomina typowego bankiera.

Tak, to ostatnie to prawda. Typowy bankier nie sprzeniewierza bankowych funduszy.

No cóż, przynajmniej dzięki temu Leslie Sherston miała te swoje ręcznie malowane lniane zasłony. Nie, żeby ktoś kiedykolwiek sugerował, że przyczyną jego hańby mogły być żonine ekstrawagancje, nie. Wystarczyło popatrzeć na Leslie Sherston, aby sobie wyobrazić, do jakiego stopnia żonie bankiera nie zależało na pieniądzach: Leslie Sherston, jakby to było w najlepszym tonie, nieodmiennie nosiła podniszczone, zielone tweedowe ubrania i grzebała się od rana do nocy w tym swoim ogródku albo włóczyła po całej okolicy. Leslie Sherston nie dbała o ubrania dzieci. Leslie Sherston, wydając podwieczorek, nie wysilała się. Wnosiła na tacy wielki bochen chleba, osełkę masła, jakieś domowe konfitury, kuchenne kubki i imbryki. Nie przykładająca żadnego znaczenia do swojego wyglądu, pogodna, beztroska kobieta o niesymetrycznej, zdawało się, figurze, niesymetrycznej twarzy i o równie niesymetrycznym, choć dość miłym uśmiechu. No i proszę, że też ktoś taki mógł się cieszyć sympatią otoczenia...

Ach, biedna ta pani Sherston. Miała smutne, bardzo smutne życie.

Joan poruszyła się niespokojnie. Skąd przyszło jej do głowy określenie „smutne życie”? Ono raczej pasowało do Blanche Haggard (choć w wypadku tej ostatniej był to całkiem inny rodzaj smutnego życia!). Wspominając Blanche, pomyślała znów o Barbarze i okolicznościach związanych z jej chorobą. Na litość boską, czy wszystko, o czym myślę, musi zmierzać w jednym niepożądanym kierunku?

Jeszcze raz spojrziała na zegarek. Tak czy owak ręcznie malowane zasłony i biedna pani Sherston zajęły mi prawie pół godziny. O czym teraz mogłabym pomyśleć? O czymś przyjemnym, o czymś bez denerwujących skojarzeń.

Powiedzmy o Rodneyu. Rodney to prawdopodobnie najbezpieczniejszy temat. Oto i on, taki, jakiego go widziała ostatni raz, to znaczy na peronie Victoria Station, kiedy na chwilę przed odjazdem pociągu mówił jej „do widzenia”.

Kochany Rodney. Stał tam, patrząc na nią, a słońce świeciło mu prosto w twarz i bezlitośnie obnażało sieć drobniotkich zmarszczek w kącikach jego oczu, tych tak bardzo zmęczonych oczu. Tak, to prawda, zmęczonych, a także smutnych. (Nie dlatego, pomyślała, by Rodney czymś się smucił. Miał takie oczy z natury, podobnie jak niektóre zwierzęta). Rodney zazwyczaj nosił okulary, a wtedy nie zauważało się tego smutku. Lecz to, że tam, na peronie wyglądał na zmęczonego człowieka, nie ulegało wątpliwości. Nic dziwnego, przecież tak ciężko pracuje. Nigdy nie korzysta z urlopu. (Zmienię to wszystko po powrocie, pomyślała. Będzie musiał od czasu do czasu oddać się lenistwu. Już dawno powinnam się tym zająć).

Tak, kiedy stał w pełnym słońcu, wyglądał jak ktoś stary, a przynajmniej starszy, niż wskazywałyby na to jego lata. Przypomniała sobie, jak patrzyła na niego z okna wagonu, a on zwrócił wzrok ku niej. Padły jak zwykle idiotyczne ostatnie słowa pożegnania.

– Nie zdaje mi się, byś w ogóle musiała przechodzić przez do w Calais.

– Jestem przekonana, że Simplon Orient Ekspres będzie już podstawiony.

– Wagon do Brindisi, pamiętaj. Mam nadzieję, że Morze Śródziemne będzie spokojne.

– Żałuję, że nie mogę zatrzymać się kilka dni w Kairze.

– Dlaczego nie możesz?

– Kochanie, muszę pędzić do Barbary. A samoloty latają tylko raz w tygodniu.

– Ach prawda, zapomniałem.

Rozległ się dźwięk kolejowego gwizdka. Rodney uśmiechnął się do niej.

– Uważaj na siebie, Joan.

– Żegnaj. I nie tęsknij za mną za bardzo.

Pociąg szarpnął. Joan cofnęła głowę do środka, a Rodney pomachał i odwrócił się na pięcie. Odruchowo raz jeszcze wychyliła się z okna pociągu, ale jego już nie było w miejscu, gdzie przed chwilą ją żegnał. Rodney, sadząc długimi krokami, opuszczał peron.

Zadrżała. Skąd ten jego tak nagle młody wygląd? Ta głowa odrzucona do tyłu, te wyprostowane ramiona. Szok, jednym słowem...

Miała wrażenie, że patrzy za spiesznie maszerującym, młodym, beztroskim mężczyzną.

To przypomniało jej ów dzień, w którym po raz pierwszy spotkała Rodneya Scudamore'a.

Ledwo została mu przedstawiona, a już wyszli na kort.

– Czy mogę grać przy siatce? – zapytał.

Kiedy zmierzał na swoje miejsce, pomyślała: „Co za atrakcyjna sylwetka... a ten krok, taki stanowczy, ta dumnie osadzona głowa, ta szyja...”

Nieoczekiwanie dla samej siebie zdenerwowała się i zrobiła dwa pod rząd podwójne błędy serwisowe.

A wtedy Rodney spojrział w jej stronę, i uśmiechnął się zachęcająco tym swoim miłym, przyjaznym uśmiechem. Pomyślała, że jest wyjątkowo przystojnym i pociągającym mężczyzną... i... i już była zakochana w nim po uszy.

Wychylając się przez okno wagonu i obserwując znikającego w tłumie Rodneya, przypomniała sobie tamten letni dzień sprzed wielu lat.

To było tak, jakby znowu był energicznym, pełnym wiary w siebie młodzieńcem, jakby nie dźwigał na swoich barkach tych wszystkich wspólnie przeżytych lat.

Tych wszystkich wspólnie przeżytych lat...

Nagle tu, pod gorącym, pustynnym słońcem, Joan zadygotała niby z zimna.

Nie, nie, nie chcę dłużej o tym myśleć... Rodney maszerujący peronem, z odrzuconą do tyłu głową, z młodzieńczo wyprostowanymi plecami; mężczyzna, który uwolnił się od nieznośnego ciężaru...

Doprawdy, co też się ze mną dzieje? Wyobrażam sobie nie wiadomo co, wymyślam jakieś niestworzone rzeczy. Moje oczy spletały mi figla, i to wszystko.

Dlaczego nie zaczekał na odjazd pociągu?

No dobrze, a dlaczego miałyby czekać? Śpieszył się, ponieważ miał do załatwienia coś ważnego. Niektórzy ludzie nie lubią patrzeć na odjeżdżające pociągi, pociągi unoszące w dal kogoś, kogo kochają.

Mój Boże, to niemożliwe, żeby aż tak pamiętać, jak wyglądały plecy Rodneya! Prawdopodobnie mi się tylko zdawało...

Dość. To niczego nie poprawi. Jeśli człowiekowi coś się zdaje, to być może wcale nie jest taki daleki od prawdy.

Nie, nie. To fałszywy wniosek.

To, co powtarzam sobie w duchu (bo czyż nie?), że Rodney był rad z mojego odjazdu, to po prostu nie może być prawdą!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wróciła do zajazdu potwornie zgrzana; podświadomie przyśpieszała kroku, jak gdyby prędko marsz mógł odpędzić nieprzyjemne myśli.

Hindus popatrzył na nią zdziwiony.

– Memsahib iść bardzo prędko. Dlaczego się śpieszyć? Memsahib mieć dużo czasu.

Och Boże, pomyślała Joan, oczywiście, czego jak czego, lecz czasu mi nie brakuje!

Działało jej na nerwy wszystko. Hindus i zajazd, i kury, i puste puszki, i drut kolczasty.

Udała się do swojego pokoju i sięgnęła po Dom władzy.

Tu, w środku, jest przynajmniej chłodno i ciemno.

Otworzyła książkę i zaczęła czytać.

Do lunchu przeczytała połowę powieści.

Na lunch był omlęt z fasolą w sosie pomidorowym (z puszki), do tego podano łososia i ryż na gorąco oraz morele (z puszki).

Nie zjadła dużo.

Po lunchu poszła do pokoju i położyła się.

Jeśli dostałam lekkiego porażenia słonecznego, od zbyt prędkiego marszu w upale, sen dobrze mi robi, pomyślała.

Zamknęła oczy, lecz sen nie przychodził.

Czuła, że ma natłok myśli.

Wstała, zażyła trzy aspiryny i znów się położyła.

Kiedy tylko zamykała oczy, pojawiał się przed nią obraz oddalającego się peronem Rodneya. To było nie do zniesienia!

Rozsunęła zasłony, aby wpuścić do pokoju trochę światła i ponownie wzięła do ręki Dom władzy. Kilka stron przed końcem zasnęła.

Przyśnił jej się kort tenisowy. Miała być rozstawiona z Rodneyem. Były jakieś kłopoty ze znalezieniem piłek, lecz ostatecznie gra się rozpoczęła. Kiedy podrzuciła piłkę, by zaserwować, okazało się, że gra przeciw Rodneyowi i pannie Randolph. Zrobiła podwójny błąd serwisowy. Właściwie wciąż robiła podwójne błędy. Ale wierzyła, że Rodney jej pomoże, lecz Rodneya już nie było na korcie. Nikogo nie było i zaczęło zmierzchać. Została sama. Całkiem sama.

Zbudziła się przerażona..

– Jestem zupełnie sama – powiedziała na głos.

Sen zmieszał jej się z rzeczywistością.

– Jestem zupełnie sama – powtórzyła.

Hindus wetknął głowę w drzwi.

– Memsahib woła?

– Tak – odparła. – Poproszę o podwieczorek. – Memsahib prosić o podwieczorek? Dopiero trzecia godzina.

– Nie szkodzi. Proszę o podwieczorek.

Usłyszała, jak Hindus, oddalając się od jej pokoju, woła do kogoś.

Wstała z łóżka i podeszła do popstrzonego przez muchy lustro. Miło było popatrzeć na własną, normalną, przyjemnie wyglądającą twarz. Pomyślała, że zachowuje się bardzo dziwnie. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie zachorowała, czy to nie jest udar słoneczny...

Przy podwieczorku czuła się już całkiem normalnie. W gruncie rzeczy wszystko razem było bardzo zabawne. Joan doszła do wniosku, że po prostu trudno jej było

zapanować nad sobą, że to tylko nerwy! Choć najpewniej to wcale nie były nerwy, tylko lekki udar słoneczny. Jedno jest pewne, pomyślała, nie powinnam wychodzić z zajazdu, dopóki słońce nie przejdzie na zachodnią stronę nieba.

Zjadła kilka herbatników i wypila dwie filiżanki herbaty. Następnie skończyła Dom władzy. W momencie, kiedy zamykała książkę, ogarnął ją skrajny niepokój.

A więc nie mam już nic do czytania.

Nie mam też ani jednej czystej kartki papieru listowego. Nie mam także nic do szycia. W ogóle nic do roboty, poza czekaniem na jakiś wymaginowany pociąg, który może tu nie dotrzeć przez ładnych kilka dni.

Kiedy pojawił się Hindus, aby sprzątnąć po podwieczorku, zapytała:

– Co ty tutaj robisz?

Hindus wyglądał na zaskoczonego. – Ja? Ja dbać o podróżnych, memsahib.

– Wiem. – Starala się zapanować nad swoim zniecierpliwieniem. – Ale dbanie o podróżnych chyba nie pochłania ci całego dnia?

– Memsahib, ja dawać im śniadanie, lunch, podwieczorek.

– Nie, nie to mam na myśli. Masz pomocników?

– Arabski chłopiec... bardzo głupi chłopiec, bardzo leniwy, bardzo brudny. Ja mu nie wierzyć, ja sam pilnować wszystko. On przynosić wodę do mycia, wylewać brudną wodę, pomagać kucharzowi.

– Zatem jest was trzech: ty, kucharz i chłopiec? Musisz mieć dużo wolnego czasu, kiedy nie pracujesz. Może czytasz?

– Czytasz? Co czytasz?

– Książki.

– Nie czytasz.

– No więc co robisz, kiedy nie pracujesz?

– Czekam, aż pracujesz.

To na nic, pomyślała. Rozmowa z nimi nic nie daje. Oni niczego nie rozumieją. Choćby ten Hindus. Pewnie przebywa tu całymi miesiącami. Czasami, jak przypuszczam, bierze parę dni wolnego i jedzie do miasta, gdzie się upija albo odwiedza przyjaciół. A później wraca tu i tak mija mu tydzień za tygodniem. Oczywiście ma tego swojego kucharza i tego chłopca... Chłopiec, kiedy nie pracuje, wygrzewa się w słońcu lub śpi. Ot, i całe jego życie. Żaden z nich nie może mi się na nic przydać. W dodatku tylko Hindus mówi po angielsku, choć jego znajomość języka ogranicza się do niewielu słów, związanych z jedzeniem, pićmi i pogodą.

Hindus wyszedł, a ona zaczęła krążyć niespokojnie po pokoju. Nie mogę zachowywać się tak, jakbym nie miała rozumu, nie mogę, nie mogę, powtarzała sobie w duchu. Muszę nakreślić sobie jakiś plan, odpowiednio ukierunkować swoje myśli. Naprawdę nie powinnam pozwolić, by cała sytuacja wymknęła mi się z rąk, to znaczy, bym przestała nad sobą panować.

Przyszło jej do głowy, że chodzi chyba o to, iż w Anglii prowadzi bardzo czynne, wypełnione po brzegi, ze wszech miar cywilizowane życie. Że zachowuje w nim stosowną równowagę i przestrzega właściwych proporcji. Nic zatem dziwnego, że teraz, dotknięta jałową beczynnością, czuje się krańcowo zagubiona.

Oczywiście i w Anglii są ludzie, którzy całymi godzinami siedzą i nic nie robią, a którzy przypuszczalnie uważają taką egzystencję za wystarczająco szczęśliwą.

Choćby taka pani Sherston. Ta, choć z reguły za dwoje aktywna i energiczna, czasami potrafiła siedzieć beczynnie. Szczególnie kiedy wychodziła na te swoje spacerki. Najpierw pędziła z niesamowitą energią, a potem, ni stąd, ni zowąd, przysiadła na jakimś pniu czy na kępie wrzosu i najzwyczajniej w świecie trwała tak w bezruchu, wpatrując się w pustą przestrzeń.

Jak choćby owego dnia, kiedy Joan wzięła ją za pannę Randolph...

Na wspomnienie tego, co wówczas zrobiła, zaczerwieniła się trochę...

Bo też wyglądało to z jej strony na zwykłe szpiegowanie. Na coś, co ją samą odrobinę zawstydziło. A cokolwiek by powiedzieć, ona nigdy nie była tego rodzaju kobieta.

Chociaż w wypadku takiej dziewczyny jak Myrna Randolph...

Dziewczyny, która zdaje się nie mieć żadnych hamulców moralnych...

No więc, jak do tego wszystkiego doszło?

Zaczęło się od kwiatów. Od kwiatów, które zaniósła starej pani Garnett. Właśnie wychodziła z jej małego domku, kiedy z ulicy, zza żywopłotu, dobiegł ją głos Rodneya. Jego głos, i ten drugi, kobiecy, śpieszący mu z odpowiedzią.

Czym prędzej pożegnała się ze staruszką i wyszła na ulicę. W samą porę, bo oto Rodney i panna Randolph (czego była całkiem pewna) już znikali na zakręcie drogi, która prowadziła na szczyt Asheldown.

Nie, teraz jej czyn nie napawa jej dumą. Wówczas jednak uważała, że postępuje słusznie. Zresztą to nie była wina Rodneya; każdy wiedział, co to za dziewczyna, ta Myrna Randolph.

Weszła na ścieżkę, która prowadziła przez Haling Wood i po pewnym czasie znalazła się na nagim zboczu Asheldown, gdzie od razu wpadły jej w oko dwie nieruchomo siedzące postaci.

Lecz to wcale nie była Myrna Randolph, tylko pani Sherston! Co za ulga! Ona i Rodney nawet nie siedzieli blisko siebie – dzieliła ich odległość co najmniej czterech stóp. To przecież śmieszne: tak nie siedzą ludzie, którzy są ze sobą w zażyłej przyjaźni! Ale też z drugiej strony Leslie Sherston nigdy nie była wylewna i nie demonstrowała jakichkolwiek uczuć. Nikt też nie brał jej za kobietę zdolną kogokolwiek uwieść, nie; już sama myśl o czymś takim wydawała się absurdalna. Nie, Leslie Sherston po prostu jak zwykle włóczyła się po okolicy, a Rodney zapewne natknął się na nią i uznał, że powinien jej towarzyszyć. Ze zwykłej grzeczności. Tak. I tylko tak.

A teraz, kiedy wspięli się na Asheldown, odpoczywali tam przed dalszą drogą, sycąc oczy pięknymi widokami.

Choć zdumiewające było to, że żadne z dwojga ani się nie poruszyło, ani nie odezwało. Niezbyt towarzyska para, pomyślała wówczas. No cóż, prawdopodobnie byli pochłonięci własnymi myślami. Prawdopodobnie oboje uznali, że znają się wystarczająco dobrze, aby móc sobie pozwolić na milczenie.

To prawda. W tym czasie Scudamore'owie znali Leslie Sherston całkiem nieźle; już wybuchła bomba o sprzeniewierzonych przez Sherstona funduszach bankowych, co wprawiło w niemалą konsternację całe Crayminster, a on sam, ni mniej, ni więcej, odsiadywał swój wyrok. Podczas procesu Rodney, występował jako jego obrońca, a także wziął na siebie rolę adwokata Leslie. Bardzo jej współczuł, zwłaszcza że została z dwojgiem małych dzieci i do tego bez pieniędzy. Każdy był gotów współczuć biednej pani Sherston, a jeśli kończyło się jedynie na gotowości, to była w tym wyłącznie jej wina. Bo, prawdę mówiąc, rzucająca się w oczy pogoda ducha tej kobiety raczej tego i owego szokowała.

– Ona jest chyba trochę nieczuła – powiedziała wówczas do Rodneya.

Jednak on odparował szorstko, że Leslie Sherston ma w sobie więcej męstwa niż ktokolwiek ze znanych mu ludzi.

– No tak, mówisz o męstwie. Ale męstwo to jeszcze nie wszystko! – powiedziała Joan.

– Czyżby? – odpowiedział pytaniem.

To „czyżby” zabrzmiało dość osobliwie, ale na tym rozmowa się urwała, a Rodney zaraz wyszedł z domu i udał się do swojej kancelarii.

To prawda, nikt nie mógłby odmówić Leslie tej cechy charakteru. Stanawszy twarzą w twarz z problemem utrzymania siebie i dwóch synów, mimo iż nie miała żadnych kwalifikacji, natychmiast wzięła byka za rogi.

Ni mniej, ni więcej – poszła do pracy do ogrodnika i pozostawała u niego tak długo, aż posiadała gruntowną znajomość zawodu. Poza tym przeprowadziła się do wynajętego mieszkania, a jedyną pomoc, jaką zaakceptowała, stanowił drobny zasiłek od jakiejś dalekiej ciotki. Kiedy Sherston wyszedł z więzienia, żyła już w zupełnie innej rzeczywistości. Utrzymywała się z uprawy i sprzedaży owoców i warzyw. Sherston włączył się do rodzinnego interesu, w którym również uczestniczyły dzieci, i dzień w dzień woził furgonetką towar do pobliskiego miasteczka. Wiadło im się całkiem nieźle. Niewątpliwie pani Sherston cały czas harowała jak wół i niewątpliwie należało ją podziwiać, zwłaszcza że, jak się później okazało, już wtedy z wolna zabijała ją bolesna, śmiertelna choroba.

Och, w porządku, przypuszczalnie kochała tego człowieka. W końcu Sherston zawsze był uważany za przystojnego mężczyznę. Za takiego, co to ma powodzenie u kobiet. Oczywiście inaczej było po wyjściu z więzienia. Joan – widziała go tylko raz, lecz zmiana, jaka w nim zaszła, była wręcz szokująca. Nie pomogła dawna

chełpliwość ani blagowanie, ani żadne przechwałki. Rozbiegane oczy i malujące się na twarzy przygnębienie mówiły same za siebie: dawny dyrektor banku stał się wrakiem człowieka. Leslie Sherston jednak kochała go tak samo jak przedtem. Leslie Sherston trwała przy nim i dlatego Joan miała dla Leslie Sherston szacunek.

Choć z drugiej strony nie sądziła, by ta kobieta właściwie obeszła się z własnymi dziećmi.

Ta sama ciotka, która przysłała jej z pomocą finansową, kiedy Sherston był w więzieniu, zaproponowała swą pomoc po raz drugi, kiedy miał z niego wyjść. Powiedziała, że mogłaby adoptować jej młodszego chłopca, a pewien wuj, którego udało jej się odpowiednio podejść, opłacałby szkołę starszego, no i na dodatek mogłaby zabierać obu na wakacje. Co więcej, chłopcy mogliby przybrać nazwisko wuja jednostronnym aktem prawnym, a ona i ów wuj mogliby się zobowiązać do finansowego zabezpieczenia ich przyszłości.

Leslie Sherston, nie wdając się w dyskusje, odrzuciła tę ofertę, a to sprawiło, że Joan uznała ją za osobę samolubną. Nie była w stanie zrozumieć, jak Leslie mogła poskąpić własnym dzieciom o wiele lepszego życia niż to, które czekało je u niej, no i, co równie ważne, życia, na którym nie kładłaby się cieniem żadna hańba.

Bez względu na to, jak kochała swoich chłopców, zdaniem Joan (z którym nawet Rodney się zgadzał), powinna, myśleć przede wszystkim o nich, nie o sobie.

Jednak Leslie była absolutnie nieustępliwa i wobec tego Rodney umył ręce od całej sprawy. Powiedział, głęboko przy tym wzdychając, że należy przypuszczać, iż pani Sherston najlepiej zna się na własnych sprawach, a Joan dodała, że na upór nie ma rady...

Teraz, spacerując tam i z powrotem po ciasnym pokoju w zajeździe, przywołała na pamięć obraz Leslie Sherston z tamtego dnia, ze zbrocza Asheldown: pochylona ku przodowi, z łokciami na kolanach, z brodą opartą na dłoniach. Dziwnie cicha. Wpatrująca się ponad uprawnymi polami w tamten stok w Little Havering, na którym dęby i buki powoli zaczynały nabierać złocistoczerwonej barwy.

Ona i Rodney siedzieli tam całkiem cicho i całkiem nieruchomo i patrzyli przed siebie.

Właściwie dlaczego się do nich nie odezwała ani nie przyłączyła? Może czuła się winna z powodu swoich podejrzeń co do Myrny Randolph?

Tak czy inaczej, zamiast się odezwać, skryła się czym prędzej w cień drzew i ruszyła w drogę powrotną do domu. To było zajście, o którym nie lubiła myśleć i o którym nigdy nie wspomniała Rodneyowi. Jeszcze by pomyślał, że chodziło jej o Myrnę Randolph.

Rodney idący dworcowym peronem...

O Boże, czyżbym znów chciała do tego wracać?

Skąd się wzięły, u licha, w mojej głowie te nadzwyczajne urojenia, jakoby Rodney (który zawsze był mi oddany) miałby się cieszyć z mojego wyjazdu?

Jak gdyby można było cokolwiek wynioskować ze sposobu, w jaki chodzi mężczyzna!

Powinam wreszcie przestać się sama przed sobą ośmieszać.

Powinam przestać myśleć o Rodneyu, skoro myśląc o nim, wyobrażam sobie takie dziwne i nieprzyjemne rzeczy.

Aż do tej chwili nigdy nie bawiłam się w fantazjowanie.

Ach, to pustyne słońce...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Popołudnie i wieczór ciągnęły się nieskończenie wolno.

Joan siedziała w zajeździe. Nie zamierzała wychodzić, dopóki słońce nie zacznie chylić się ku zachodowi.

Mniej więcej po półgodzinie poczuła, że nie zniesie dłużej bezczynnego siedzenia w jednym miejscu. Poszła do sypialni i zaczęła przepakowywać swoje bagaże. Stwierdziła, że rzeczy nie są poskładane jak należy i że nie zaszkodzi zrobić z nimi trochę porządku.

Pracowała szybko i sprawnie. Kiedy skończyła, była piąta. Zatem mogłaby już wyjść na dwór. Ach, ta atmosfera przygnębienia w zajeździe. Gdyby było tu coś do czytania...

Albo, pomyślała rozpaczliwie, gdybym miała ze sobą choćby drucianą układankę! Znalazłszy się na zewnątrz popatrzyła z niesmakiem na puste puszki, na kury i na drut kolczasty. Straszne miejsce. Potworne.

Tym razem dla odmiany poszła w przeciwnym kierunku, równoległe do torów kolejowych i do granicy tureckiej. Odrobina urozmaicenia, pomyślała. Jednak po niecałym kwadransie efekt przechadzki był taki sam jak ostatnim razem. Linia kolejowa, biegnąca o ćwierć mili od niej na prawo, nie zdawała się najciekawszym towarzystwem.

Nic poza ciszą. Ciszą i słońcem.

Przyszło jej na myśl, że mogłaby deklamować wiersze. Kiedyś, za dziewczęcych lat, uchodziła za dobrą lektorkę i recytatorkę. Ciekawe, jak jest teraz, po tych wszystkich latach. Ile z tych licznych wierszy, które знаła na pamięć, potrafiłaby powiedzieć dzisiaj?

Dla miłosierdzia nikt przymusu nie ma;
Ono jak kropla niebieskiego deszczu..?*

Co dalej? To głupie, lecz po prostu nie pamiętam, co dalej.

Już cię nie strwożą pożogi słońca...

(Ten przynajmniej przyjemnie się zaczyna! A dalej?)

Ni zimy ostre podmuchy;
Wzięłeś zapłatę u prac twych końca,
Poszedłeś spocząć w dom głuchy.
Rycerz, dziewica, kominiarz czarny
Wszystko się w popiół obróci marny?*

Zaczął się przyjemnie, ale dalej? Brr... Czy potrafię przypomnieć sobie któryś z sonetów? Sporo ich kiedyś znałam. Może ten: „Nie ma miejsca we wspólnej dwojga serc przestrzeni”* albo ten, o który poprosił mnie Rodney.

Zabawnie zabrzmiało, kiedy któregoś wieczoru, ni stąd, ni zowąd, powiedział:

– „Lecz twoje wieczne lato nie wie, co jesienie...”* To z Szekspira, prawda?

– Tak, to jeden z jego sonetów.

– „Nie ma miejsca we wspólnej dwojga serc przestrzeni dla barrier, przeszkód?”

Czy z tego?

– Nie, z tego, który zaczyna się: „Do czego cię przyrównać? Do dnia w pełni lata?”*

A potem wyrecytowała mu cały sonet, naprawdę pięknie, z należną mu ekspresją.

Kiedy skończyła, on, zamiast słów pochwały, jedynie powtórzył w zamyśleniu:

– Jeszcze w maju wiatr nieraz mrozem pąk omiata”*... tylko że teraz jest październik, prawda?

Zabrzmiało to niezwykle. Spojrzała na niego, a on rzekł:

– Czy znasz ten drugi? Ten o wspólnej dwojga serc przestrzeni?

– Tak. – Zastanowiła się chwilę, po czym zaczęła deklamować:

Nie ma miejsca we wspólnej dwojga serc przestrzeni
Dla barrier, przeszkód. Miłość to nie miłość, jeśli,
Zmienny świat naśladować, sama się odmieni
Lub zgodzi się nie istnieć, gdy ktoś ją przekreśli.

O, nie: to znak, wzniesiony wiecznie nad bałwany,
Bez drżenia w twarz patrzący sztormom i cyklonom –
Gwiazda zbłąkanych łodzi, nieoszacowanej
Wartości, choćby pułap jej zmierzył astronom.

Miłość to nie igraszka Czasu: niech kwitnące

Róże wdzięków podcina sierpem zdrajca blady –
Miłości nie odmienia chwile, dni, miesiące:

Ona trwa – i trwać będzie po sam skraj zagłady.
Jeśli się mylę, wszystko inne też mnie łudzi:
Że piszę to; że kochał choć raz któryś z ludzi.

Skończyła, ze szczególną emfazą i dramatyzmem akcentując ostatnie linijki.

– Nie sądzisz, że dość dobrze deklamuję Szekspira? Zbierałam w szkole same pochwały. Mówiono mi, że moje recytacje są pełne ekspresji.

– Sonety Szekspira same w sobie są ekspresyjne – powiedział Rodney jakby nieobecny duchem.

Ona westchnęła i szepnęła:

– Szekspir jest cudowny, prawda?

– Szczerze mówiąc, cudowne jest w nim to, że był takim samym nieszczęśnikiem jak my wszyscy.

– Rodney, skąd te osobliwe myśli?

– Osobliwe, powiadasz? – Uśmiechnął się, poderwał z miejsca i wychodząc z pokoju, zamruczał pod nosem: – Jeszcze w maju wiatr nieraz mrozem pak omiata, a letnia pora nie trwa, jak obiecywała”.

Dlaczego, u licha, powiedział: „Tylko że teraz jest październik?”

I o czym myślał, mówiąc to?

Pamiętam tamten październik. Był wyjątkowo ładny i łagodny.

To dziwne, zastanowiła się, Rodney zapytał mnie o sonety wieczorem tego samego dnia, kiedy to zobaczyłam go siedzącego z panią Sherston na zboczu Asheldown. Być może pani Sherston recytowała Szekspira, choć to mało prawdopodobne. Leslie Sherston, nie była w mniemaniu Joan kobietą o zapędach intelektualnych.

Tamtego roku październik faktycznie był ładny i łagodny. Był wręcz cudowny.

Pamięta całkiem dobrze, jak kilka dni później Rodney zapytał ją zdziwionym tonem:

– Czy nie powinny już dawno przekwitnąć? – Patrzył na rododendrony, które normalnie zakwitają w marcu albo pod koniec lutego. Tymczasem wtedy, w październiku, obsypane były pełnymi, krwistoczerwonymi kwiatami.

– Och, rododendrony kwitną wczesną wiosną, lecz, jak widać, jesienią również, zwłaszcza jeżeli jest tak łagodna i ciepła jak w tym roku.

On dotknął delikatnie jednego kwiatu i powiedział półgłosem:

– Jeszcze w maju wiatr nieraz mrozem pak omiata...”

– W marcu – powiedziała mu – nie w maju.

– Są jak krew – rzekł. – Jak krwawiące serce.

I choć wcześniej nie interesował się żadnymi kwiatami, to od tamtej pory szczególnie upodobał sobie te jedne – rododendrony.

Pamięta, jak (ale to już wiele lat później) włożył sobie do butonierki taki wielki, czerwony pak. Bardzo ciężki. Na pewno mu wypadnie, pomyślała. No i wypadł, jakżeby inaczej.

Wracała skądś do domu i przechodząc koło kościoła, zobaczyła Rodneya na cmentarzu, miejscu według niej najmniej nadającym się do jakichkolwiek spacerów.

– Rodney, co ty tu robisz?! – zawołała, podchodząc bliżej.

A on się zaśmiał i powiedział:

– Zastanawiam się nad swoim końcem i nad tym, co będę miał na swoim grobie. Spodziewam się, że nie kawałek granitu. Granit jest zbyt pretensjonalny. No i na pewno nie marmurowy posąg anioła.

Popatrzyła w dół, na dopiero co położoną marmurową płytę.

Idąc za jej spojrzeniem, Rodney przeczytał bardzo powoli:

– Leslie Adeline Sherston, najukochańsza żona Charlesa Edwarda Sherstona.

Zasnęła w Panu 11 maja 1930. „I każdą łzę otrze Bóg z ich oczu”*. – Minęła minuta, nim znów się odezwał. – Cholernie głupio robi się człowiekowi na myśl o Leslie Sherston, która leży pod czymś takim jak ten zimny kawałek marmuru, no i tylko skończony idiota, tylko Sherston mógł kazać wykuć taki napis. Nie uwierzę, by Leslie zapłakała choćby raz w życiu.

Joan zrobiło się nieswojo. Odnosiła wrażenie, że uczestniczy w jakiejś bluźnierczej zabawie. – A ty co byś wybrał?

– Dla niej? Sam nie wiem. Może coś z Psalmów? „Pełnia radości jest przed obliczem Twoim”*. Coś w tym guście.

– Myślałam o epitafium dla ciebie.

– Och, dla mnie? – Zamyślił się, po czym, uśmiechając się, powiedział. – „Pan jest moim pasterzem... Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach”*. Może to.

– Zawsze, kiedy słucham tego psalmu, niebo zdaje mi się nudnym miejscem.

– A jakie ono jest, według ciebie, Joan?

– No cóż, żadne złote wrota. Nic z tych rzeczy, to jasne. Lubię myśleć o nim niby o jakimś dobrze zorganizowanym państwie, gdzie każdy jest zajęty i każdy na swój cudowny sposób przyczynia się do tego, by ten świat stawał się coraz piękniejszy i szczęśliwszy. Urząd użyteczności publicznej, oto niebo według moich wyobrażeń.

– Ależ z ciebie okropna mała pedantka, Joan. – Uśmiechnął się, jakby ten jego irytujący uśmiezek mógł złagodzić uszczypliwość uwagi. – Nie – dodał – mnie wystarczą zielone pastwiska i owce prowadzone przez pasterza do domu w przedwieczornym chłodzie... Wiesz, Joan, to oczywiście absurdalne, lecz czasami, idąc do kancelarii przez High Street, lubię sobie wyobrażać, że za chwilę – wcale nie skręcę w Bell Walk, tylko w jakąś ukrytą dolinę z zielonym pastwiskiem, otoczoną stokami łagodnych, zielonych wzgórz. Ta dolina jest tam od zawsze, w samym sercu miasta, choć nikt o niej nie wie. Skręcam w nią z hałaśliwej High Street i zdziwiony, pytam sam siebie: „Gdzie ja jestem?” A wówczas ktoś mi odpowiada, bardzo łagodnie, że nie żyję...”

– Rodneju! – Była naprawdę wystraszona, była skonsternowana. – Ty jesteś chory. To niemożliwe, byś czuł się dobrze.

Coś ją tknęło, i nie bez racji. Wkrótce załamał się nerwowo i wyładował w sanatorium w Komwalii, gdzie przeleżał w milczeniu dwa miesiące, wsłuchując się w krzyki mew i wpatrując się ponad bezbarwnymi, nagimi wzgórzami w morze na horyzoncie. Jak się zdawało, był całkiem zadowolony ze swego losu.

Aż do tamtego dnia, kiedy spotkała go na przykościelnym cmentarzu, nie zdawała sobie sprawy z jego przepracowania. To wtedy, gdy zawrócili, aby pójść do domu, a ona trzymała go pod ramię i przynaglała do pośpiechu, to właśnie wtedy zobaczyła, że ciężki pęk rododendronu wypadł mu z butonierki i leży na grobie Leslie.

– Och, popatrz, twój rododendron – powiedziała i zrobiła krok, aby go podnieść. Lecz on zaprotestował:

– Zostaw go. Niech sobie leży. Zostaw go tam dla Leslie Sherston. W końcu była naszą przyjaciółką.

A ona dodała, że to sympatyczny pomysł i że sama mogłaby jutro przynieść wielki bukiet żółtych chryzantem z ogrodu.

Była, pamięta, trochę przestraszona dziwnym uśmiechem, jakim ją obdarzył.

Tak, tamtego dnia zdecydowanie czuła, że z Rodneyem dzieje się coś złego. Oczywiście nie miała pojęcia, że jest na krawędzi kompletnego załamania, mimo to wiedziała, że tak czy owak jest jakiś dziwny...

Przez całą powrotną drogę do domu zasypywała go niespokojnymi pytaniami, lecz on uparcie powtarzał jedno i to samo:

– Jestem zmęczony, Joan... Jestem zmęczony. A raz, bez większego sensu, dodał:

– Nie wszyscy możemy być dzielni... I nie minął tydzień, kiedy któregoś ranka rzekł na wpół sennie:

– Nie wstanę dzisiaj.

I rzeczywiście został w łóżku. Do nikogo się nie odzywał, na nikogo nie patrzył. Leżał, a na jego ustach błąkał się delikatny uśmiech.

Potem przez dom zaczął się przewijać korowód lekarzy i pielęgniarek, aż wreszcie zapadła decyzja, że powinien udać się na długą kurację wypoczynkową do Trevelyan. Żadnych listów, żadnych telegramów i żadnych gości. Nawet Joan nie miała prawa go odwiedzać. Jego własna żona.

To był na swój sposób smutny, kłopotliwy i deprymujący okres w jej życiu. Nawet z dziećmi nie układało jej się najlepiej. W niczym jej nie pomagały. Zachowywały się tak, jak gdyby obwiniały ją za to, co się stało.

– Żeby mu pozwalać na tę niewolniczą pracę w kancelarii. Wiesz doskonale, mamó, że ojciec pracuje za ciężko, i to od lat.

– Wiem, moi drodzy. Lecz co mogłam na to poradzić?

– Powinnaś była go od tego odciągnąć już dawno temu. Czyżbyś nie wiedziała, że nienawidzi tego, co robi? Czy ty nic nie wiesz o ojcu?

– Posuwasz się za daleko, Tony. Oczywiście, wiem o waszym ojcu wszystko, o wiele więcej niż wy wiecie.

– Czasami sędzę, że jest inaczej. Czasami, mamó, zdaje mi się, że o nikim niczego nie wiesz.

– Tony, dosyć!

– Zamknij się, Tony... – To była Averil. – Co to da?

Averil zawsze była taka. Oschła, nieskłonna do wzruszeń, cyniczna i obojętna na wszystko. Czasami Joan myślała rozpaczliwie, że Averil w ogóle nie ma serca. Nie lubiła czułości i na nic zdawały się apele do lepszej części jej natury.

– Kochany tatuś... – Ten lament wyrwał się Barbarze, najmłodszej, mniej panującej nad swoimi emocjami. – To wszystko twoja wina, mamó. Byłaś dla niego okrutna. Nic, tylko okrutna.

– Barbaro! – straciła cierpliwość. – Czy wiesz, o czym mówisz? Jeśli ktoś ma pierwszeństwo w tym domu, to właśnie wasz ojciec. Jak ci się zdaje, czy ty, Tony i Averil moglibyście się kształcić, ubierać i jeść, gdyby na was nie pracował? On poświęca się właśnie dla was, co zresztą jest obowiązkiem rodziców i z którego, jak widać, ci rodzice wywiązują się, nie robiąc wokół tego żadnego szumu.

– Pozwól, że skorzystam z okazji, mamó – powiedziała Averil – i podziękuję ci za wszystkie ofiary, jakie dla nas poniosłaś.

Spojrzała na córkę niepewnie. Wątpiła w szczerość Averil. Choć niemożliwe, by dziecko mogło być aż tak impertynenckie...

Jej uwagę przyciągnął Tony.

– Czy to prawda – zapytał poważnie – że ojciec chciał być kiedyś właścicielem ziemskim?

– Właścicielem ziemskim? Nie, oczywiście, że nie chciał. Och, istotnie, lata temu snuł takie czysto chłopięce marzenia. Jednak w rodzinie zawsze byli sami prawnicy, a rodzinna kancelaria Alderman, Scudamore & Witney, w której pracuje twój ojciec, cieszy się zasłużoną sławą w tej części Anglii. Powinieneś być już teraz dumny, że do niej wejdiesz.

– Ależ mamó, nic podobnego. Chcę wyjechać do Afryki Wschodniej i zająć się jakąś uprawą.

– Nonsens, Tony. Nie zaczynaj od nowa. Oczywiście, że pójdziesz w ślady ojca! Jesteś jego jedynym synem.

– Nie zamierzam być prawnikiem, mamó. Ojciec o tym wie i zgadza się ze mną.

Tony, pomyślała wstrząśnięta. Tony i ta jego chłodna pewność siebie.

Zagłębiła się w fotelu, a jej oczy wezbrały łzami. Jacyż oni są wszyscy nieuprzejmi, jak szorstko się z nią obchodzą.

– Nie wiem, co was ugryzło, aby rozmawiać ze mną w ten sposób. Przypuszczam, że gdyby wasz ojciec był tutaj, zachowywalibyście się całkiem inaczej!

Tony mruknął coś pod nosem, zawrócił na pięcie i niedbałym krokiem wyszedł z pokoju.

– Tony jest uparty, mamó – powiedziała Averil tym swoim oschłym głosem. – Chce iść do college^ rolniczego. Chyba ma źle w głowie. Gdybym była mężczyzną, wolałabym raczej być prawnikiem. Zdaje mi się, że prawo jest niezwykle interesujące.

– Nigdy bym nie przypuszczała – załkała – że moje dzieci mogą być wobec mnie tak bardzo nieuprzejme.

Averil westchnęła głęboko. Barbara, wciąż lamentując historycznie w kącie pokoju, zawołała:

– Wiem, że tatuś umrze. Wiem, że umrze, a wtedy zostaniemy sami na świecie. Nie zniosę tego. Och, nie zniosę tego!

Averil znów westchnęła, popatrując z niesmakiem to na lamentującą siostrę, to na cicho popłakującą matkę.

– No cóż, ponieważ nic tu po mnie... – zawiesiła głos, po czym po prostu sobie poszła. Cała Averil.

Absolutnie przynębiająca i bolesna scena, o której Joan nie chciała myśleć przez lata.

Oczywiście z drugiej strony mogła zrozumieć reakcję dzieci. To był szok, ta nagła choroba ojca i te tajemniczo brzmiące słowa „załamanie nerwowe”. Jasne, dzieci musiały jakoś odreagować, musiały wskazać palcem na sprawcę całego nieszczęścia. Zrobiły z własnej matki kozła ofiarnego, bo była pod ręką. Oboje, Tony i Barbara, potem ją przeprosili. Averil chyba nie sądziła, by było za co przepraszać, a Joan nawet nie miała jej tego za złe. Bo czyż można było winić to biedne dziecko, że urodziło się bez serca?

Ogólnie rzecz biorąc, Joan było bardzo ciężko i smutno, gdy Rodney znalazł się poza domem. Dzieci cały czas miały nadaśane miny, były szorstkie w obyciu i w miarę możliwości trzymały się od niej z daleka, a to z kolei sprawiało, że czuła się dziwnie osamotniona. Ich zachowanie, jak przypuszczała, było lustrzanym odbiciem jej własnych smutków i trosk. (W to, że kochały ją z całego serca, nigdy nie wątpiła). Były w trudnym wieku. Barbara – wciąż dziecinna, Averil – osiemnastoletnia, gamoniowata i nieufna. A Tony? Tony większość czasu spędzał w sąsiadującym z nimi gospodarstwie. Irytujące, że nabił sobie głowę tymi głupimi pomysłami i że Rodney był po jego stronie. Och, Boże mój, myślała sobie wówczas, skąd na tym świecie tyle niesprawiedliwości, dlaczego to właśnie ja muszę zajmować się wszystkimi nieprzyjemnymi sprawami. Bo i proszę, podczas gdy u panny Harley jest tyle miłych dziewcząt, Barbara przyjaźni się z całkiem niestosownymi osóbkami. Powinnam dać jej wyraźnie do zrozumienia, że może zapraszać do domu tylko te dziewczęta, które ja aprobuję. Niewątpliwie wywołam tym kolejną awanturę, po której Barbara będzie znów płakać, a później chodzić nadaśana. Averil, oczywiście, w niczym mi nie pomaga, a poza tym nie cierpię tej szyderczej nuty w jej głosie. I jakże okropnie brzmi to w obcych uszach.

Tak, pomyślała Joan, – wychowywanie dzieci jest z gruntu niewdzięcznym i trudnym zajęciem. Zawsze trzeba być taktownym i od rana do wieczora mieć dobry humor. Wiedzieć, kiedy zachować stanowczość, a kiedy ustąpić. Nie, doprawdy, nikt nie potrafi docenić roli matki. Nikt nie wie, przez co przeszłam podczas choroby Rodneya.

Skrzywiła się lekko na wspomnienie uszczypliwej uwagi, rzuconej na jakimś przyjęciu przez doktora McQueena, jakoby podczas każdej rozmowy, wcześniej czy później, z czyichś ust padało nieśmiertelne: „Nikt nie wie, przez co ja przeszłam w tym czasie!” Wszyscy roześmiali się i powiedzieli, że to absolutna prawda.

W porządku, zgoda, pomyślała Joan, niecierpliwie poruszając palcami w pantoflach, w których miała pełno piasku. Nikt istotnie nie wie, przez co ja przeszłam w tym czasie, nawet sam Rodney.

Ponieważ, kiedy ku ogólnemu zadowoleniu Rodney wreszcie znalazł się w domu, natychmiast wszystko wróciło do normy, a dzieci stały się jak zwykle pogodne i sympatyczne. Zapanowała całkowita harmonia. Czyli, pomyślała Joan, poprzednie problemy wynikały z niepokoju. To niepokój odebrał mi równowagę ducha. To niepokój sprawił, że dzieci stały się nerwowe i szorstkie w obyciu. Ogólnie biorąc, tamte dwa miesiące całkowicie wyprowadziły mnie z równowagi. Doprawdy, nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego miast wspominać szczęśliwe chwile, sięgam pamięcią do mniej czy bardziej, ale jednak przykrych incydentów z tamtego okresu mojego życia.

To wszystko zaczęło się – no właśnie: od czego? Ach tak, od przypominania sobie wierszy. Choć w gruncie rzeczy czy może być coś bardziej śmiesznego, pomyślała, niż deklamowanie wierszy na pustyni? Nie żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie, przecież jak okiem sięgnąć nie ma nikogo, kto by mnie zobaczył czy usłyszał.

Nie ma nikogo – och, tylko nie to, tylko nie wpadaj w panikę, Joan. Skąd ten brak rozsądku, skąd te nerwy...

Zawróciła i szybkim krokiem ruszyła ku zajazdowi.

Szybkim, coraz szybszym... Już prawie biegła... Nie, tak nie można, muszę zwolnić...

Nie wpadaj w panikę...

W tym, że jestem sama (uspokajała się, jak mogła), nie ma nic strasznego, nic w ogóle. Być może jestem jedną z tych osób, które cierpią... ejże, na co cierpią?

Nie na klaustrofobię, klaustrofobia to lęk przed przebywaniem w zamkniętym pomieszczeniu; tu chodzi o coś krańcowo odmiennego. To słowo, ta nazwa zaczyna się na „a”. Strach przed otwartą przestrzenią.

Cała rzecz dałaby się zapewne wyjaśnić naukowo.

I co z tego? Cóż mi po naukowym wyjaśnieniu, niechby nawet najbardziej satysfakcjonującym?

Łatwo powiedzieć – cała rzecz jest absolutnie logiczna i na miarę ludzkiego rozumu – lecz niełatwo kontrolować myśli, które to wskakują ci do głowy, to z niej wyskakują niby jaszczurki ze swoich nerek.

Myrna Randolph, pomyślała, zakrada się do mojej głowy jak wąż, a ci inni wskakują jak jaszczurki.

Otwarte przestrzenie – a ja całe swe życie przeżyłam w jakimś pudełku. Tak, w pudełku z marionetkowymi dziećmi i marionetkową służbą, i marionetkowym mężem.

Nie, doprawdy, Joan, o czym ty mówisz? Jak możesz być aż tak głupia? Twoje dzieci są wystarczająco realne.

Dzieci są realne, tak samo zresztą jak kucharka i Agnes, a także Rodney. W takim razie, myślała dalej, może to ja jestem nierealna. Może to ja jestem marionetkową żoną i matką.

Boże drogi, to straszne. Cóż za myśli chodzą mi po głowie? Może powinnam jeszcze raz sięgnąć do poezji. Przecież to jasne, że potrafię przypomnieć sobie jeszcze jeden wiersz.

Zaczęła deklamować na głos, z przesadną emfazą:

– „Nie było mnie przy tobie wiosną...”

Co dalej? Nie mogła sobie przypomnieć. Zresztą, chyba nawet nie chciała. Ta jedna linijka starczała za całą resztę. Wyjaśniała wszystko, nieprawda? Rodney, pomyślała, Rodney...

„Nie było mnie przy tobie wiosną”. Tylko że, pomyślała, to nie jest wiosna, to listopad...

I nagle – odkrycie! Podobnie powiedział on... tamtego wieczoru...

To się ze sobą ściśle wiązało, to był jakiś klucz, klucz do czegoś, co na mnie czekało, zaczajone za tą ciszą. Coś, od czego (teraz już to wiedziała) chciałam uciec.

Lecz jak człowiek może uciekać, kiedy wokół niego z każdej szczeliny w ziemi wyskakują jaszczurki?

Jak wiele jest rzeczy, o których nie powinno się myśleć. Barbara, Bagdad i Blanche (wszystko na „B”, dziwne, nieprawda?). I Rodney na peronie Victoria Station. I Averil, i Tony, i Barbara – tacy dla mnie nieuprzejmi, wszyscy troje...

No nie – oburzyła się sama na siebie – dlaczego nie myślę o przyjemnych rzeczach? Mam przecież tak wiele rozkosznych wspomnień. Tak wiele... tak bardzo wiele...

Moja ślubna suknia ze ślicznego, perłowego atłasu... Averil w kołysce, całej w muślinach i różowych wstążkach, taki śliczny, rozkoszny bobasek i taki grzeczniutki. Averil zawsze była grzecznym, dobrze ułożonym dzieckiem. „Wychowuje ją pani wprost wspaniale, pani Scudamore”. Tak, Averil sprawiała nam, rodzicom, satysfakcję, przynajmniej publicznie. Naprawdę jednak było to dziecko, które nic tylko wiodłoby z każdym nie kończące się spory, no a przy tym miało to swoje niepokojące spojrzenie, którym zdawało się pytać, jaka lub jaki jesteś naprawdę. Averil nigdy nie patrzyła na mnie, na swoją matkę tak, jak powinno patrzeć dziecko.

W każdym razie nie tak jak kochające dziecko. Tony? Tak, Tony’ego też mi zazdrozczono, mimo iż był strasznie roztrzepany i nieuważny. Jedynym trudnym dzieckiem w rodzinie była Barbara; miewała napady złego humoru i potrafiła z byle powodu wylewać potoki łez.

Jednak w sumie cała trójka była czarująca, grzeczna, dobrze wychowana.

Szkoda, że dzieci dorastają i że zaczynają sprawiać kłopoty.

Ach, dorastanie dzieci i związane z tym problemy to nie najlepszy temat do rozmyślań. Nie teraz. Teraz powinnam skoncentrować się na ich dzieciństwie. Averil w szkole tańca, w prześlicznej, różowej sukience z jedwabiu. Barbara w tamtej maleńkiej, dzianinowej sukieneczce od Liberty’ego. Tony w kolorowym, zręcznie uszytym przez nianię kombinezonie...

Doprawdy, chyba jednak zamiast o dziecięcych ubrankach mogłabym pomyśleć o czymś innym! Może o miłych, pieszczotliwych słowach, które dzieci wypowiadały do mnie? O jakichś uroczych, intymnych chwilach?

Zważywszy, jak ktoś się poświęca i wszystko, co robi, robi z myślą o własnych dzieciach...

Kolejna jaszczurka... Averil, zadająca grzecznie pytania, choć w ten swój chłodny, rozsądny i przyziemny sposób, który napawał Joan coraz większą obawą:

– Co ty tak naprawdę robisz dla nas, mamusiu? Nie kapiesz nas, prawda?

– Nie...

– I nie podajesz nam obiadów ani nie czeszesz nam włosów. Wszystko to robi niania. I to niania wieczorem kładzie nas do łóżek, a rano budzi. I nie szyjesz nam ubrań, to też robi niania. Na spacer też wychodzimy z niania...

– Tak, kochanie. Zatrudniam nianię właśnie po to, żeby się wami zajmowała. Zatrudniam, to znaczy płacę jej za to.

– A ja myślałam, że to tatuś płaci, że płaci za wszystko, co mamy.

– Powiedzmy, że tak, choć to na jedno wychodzi.

– Ale to nie ty idziesz do kancelarii każdego ranka, tylko tatuś. Dlaczego ty nie musisz chodzić do pracy?

– Ponieważ ja zajmuję się domem. – Lecz czyż Kate i kucharka, i...

– To na jedno wychodzi, Averil.

O Averil, gwoli sprawiedliwości, należało powiedzieć jedno. Mianowicie to, że w rozmowie nigdy nie przekraczała granic dobrego tonu ani nie była buntownicza czy zapalczywa. A jednak ten jej dobry ton często bywał bardziej krępujący i niewygodny od jawnego buntu.

Pewnego razu Rodney roześmiał się i powiedział, że werdykt Averil zawsze brzmi jednakowo: brak oczywistego dowodu.

– Nie sądzę, by był to powód do śmiechu, Rodneyu. Bo nie zdaje mi się, by dziecko w jej wieku powinno być takie... takie krytyczne.

– Chcesz powiedzieć, że jest zbyt mała, by ferować wyroki, czy tak?

– Och, ten twój prawniczy język.

– A kto zrobił ze mnie prawnika? – zapytał, z tym swoim odrobinę denerwującym uśmiechem.

– Mówmy poważnie. Uważam, że powinna mieć więcej szacunku dla dorosłych.

– Moim zdaniem jest za grzeczna jak na dziecko. Nie ma w niej nic z typowej dla dzieci, czasami wprost przerażającej szczerości. Averil to nie Babs.

W tym miał rację, przyznała Joan. Barbara podczas jakiegoś ze swych napadów wściekłości mogłaby zawołać: Jesteś wstrętna, jesteś potworna, nienawidzę ciebie. Chciałabym umrzeć. Gdybym umarła, przynajmniej byłoby ci przykro”.

– Barbara po prostu nie umie nad sobą panować. Później zawsze żałuje.

– Biedna mała diabliska. Oczywiście nie ma pojęcia, o czym mówi. Jednak przed Averil nie ukryje się żadne matactwo.

– Matactwo! – Joan poczerwieniała z gniewu. – Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Rozumiesz, i to dobrze. Mam na myśli to wszystko, czym karmimy dzieci od kołyski. Nasze pretensje do wszechwiedzy. Zawsze nam się zdaje, że to my wiemy najlepiej, co powinny robić i jakie powinny być i narzucamy swoją wolę tym małym bezradnym stworzeniom, które tak czy inaczej są absolutnie w naszej mocy.

– Mówisz tak, jakby były niewolnikami, a nie dziećmi.

– A czyż nie są niewolnikami? Jedzą to, co każemy im podać, ubierają się w to, co nam się podoba, i mówią mniej więcej to, co chcemy, żeby mówiły. To cena, którą płacą za opiekę. Ale pamiętaj, każdy przeżyty tutaj dzień przybliża je do wolności.

– Wolność – powiedziała Joan pogardliwie. – Czy istnieje coś takiego jak wolność?

– Nie, chyba nie – odparł Rodney, patrząc gdzieś przed siebie. – Masz rację, Joan, masz rację...

Wyszedł z pokoju, noga za nogą, lekko przygarbiony. A ona pomyślała, z nagłym ukłuciem bólu, że już wie, jak Rodney będzie wyglądał, kiedy się zestarzeje...

Teraz przypomniała sobie znowu, jak stał na peronie, mówiąc, by dbała o siebie, a słońce bezlitośnie obnażyło zmarszczki na jego zmęczonej twarzy.

A później, zaledwie minutę później...

Co mnie zmusza, bym wiecznie do tego wracała? Przecież to nieprawda! Rodney na pewno ogromnie za mną tęskni! Jest teraz taki biedny, tak bardzo zdany na łaskę służby! I pewnie nawet nie przyjdzie mu na myśl, żeby zaprosić kogoś na obiad, pewnie nikt go nie odwiedza, chyba że ten nudny głupiec, ten jego Hargrave Taylor. Nigdy nie mogłam pojąć, dlaczego Rodney go lubi. Albo równie nudny major Mills, który potrafi mówić jedynie o pastwiskach i hodowli bydła... Oczywiście, że Rodney za mną tęskni!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ledwo doszła do zajazdu, a już pojawił się Hindus.

– Memsahib mieć miły spacer? – zapytał. Odpowiedziała, że owszem, miała bardzo miły spacer.

– Obiad gotowy zaraz. Bardzo dobry obiad, memsahib.

Joan powiedziała przez grzeczność, że cieszy się z tego, lecz w gruncie rzeczy obiad był dokładnie taki sam jak poprzednie posiłki, z tą różnicą, że zamiast puszki z morelami kucharz otworzył puszkę z brzoskwiniami. Prawdę powiedziawszy, obiad można by było uznać za smaczny, gdyby jadło się coś takiego od czasu do czasu.

Było za wcześnie, aby zaraz po obiedzie iść do łóżka. Joan jeszcze raz pożalowała, że nie ma ze sobą jakiejś podręcznej biblioteczki czy czegoś do szycia. Nawet raz jeszcze sięgnęła po Pamiętniki lady Catherine Dysart, aby przejrzeć co ciekawsze fragmenty, lecz nie był to najszcześniejszy pomysł.

Gdyby było tu coś do roboty, myślała gorączkowo, cokolwiek! Gdybym miała ze sobą choćby talię kart do pasjansa albo jakąś grę, na przykład trik-traka, szachy, warcaby... ostatecznie mogłabym grać sama ze sobą!

Doprawdy, wymyśliłam sobie nadzwyczajną zabawę. Jaszczurki, wyskakujące z nerek. Myśli, wyskakujące z głowy, straszne myśli, niespokojne... Myśli, których nikomu bym nie życzyła.

Lecz jeśli tak, to dlaczego nie potrafię ich poskromić? W końcu każdy powinien umieć zapanować nad własnymi myślami. A może nie? Może w pewnych okolicznościach to myśli panują nad tobą, może wyskakują z zakamarków twojej pamięci jak jaszczurki z nerek albo zakradają się do niej niczym jakiś zielony wąż.

Przychodzą skądś...

Bardzo dziwne jest to uczucie paniki, które mnie ogarnia...

To na pewno jest agorafobia. (Oczywiście, to jest właściwe słowo – agorafobia). Tak, to jest to. Chorobliwy lęk przestrzeni. Dziwne, ale nigdy dotąd nie przypuszczałam, że mogę cierpieć na coś takiego. Choć naturalnie nigdy dotąd nie miałam żadnego doświadczenia z otwartą przestrzenią. Zawsze mieszkałam pośród domów i ogrodów, z całym mnóstwem spraw na głowie i z mnóstwem ludzi wokół. Właśnie, z mnóstwem ludzi. Gdyby tak mieć tu kogoś do pogadania.

Choćby Blanche...

Śmieszne, że też mogła przerażać mnie myśl o wspólnej podróży z Blanche...

Przecież gdyby Blanche tu była, „wszystko mogłoby przybrać całkiem inny obrót. Najzwyczajniej w świecie rozmawiałybyśmy sobie teraz o dawnych czasach w St Anne. St Anne! Ileż to już lat upłynęło od czasów St Anne. Jak to Blanche powiedziała? „Ja poszłam na dno, ty się wspięłaś”. Nie, to było jakoś inaczej: „Ty trwasz na swoim miejscu jak typowa dziewczyna z St Anne, z której szkoła zawsze może być dumna”.

Czy od tamtych czasów istotnie niewiele się zmieniłam? Przyjemnie jest myśleć, że to prawda. No cóż, przyjemnie w pewnym sensie. Wszak, patrząc na to z drugiej strony, brak zmian ma chyba coś wspólnego ze stagnacją.

Co też panna Gilbey powiedziała w swojej mowie pożegnalnej? Mowy panny Gilbey wygłaszane z okazji rozstawania się z dziewczętami cieszyły się swoistą sławą i były nieodłączną częścią St Anne. Poszybowała myślami ku tamtym latom, a przed jej oczami pojawiła się z niezwykłą wyrazistością postać dawnej dyrektorki: wielki, rzucający się w oczy nos, pince-nez, bezlitośnie przenikliwe oczy z ich zniewalającym spojrzeniem, majestatyczny krok, jakim przemierzała szkołę, niosąc przed sobą wydatny, choć trzymany w ryzach, zdyscyplinowany biust, biust, który był raczej wyrazem majestatu niż kobiecości.

Panna Gilbey. Osobowość absolutnie nietuzinkowa, na pół straszna, na pół podziwiana; osobowość wzbudzająca trwogę tak w uczennicach, jak w rodzicach. Nie można zaprzeczyć, panna Gilbey i St Anne stanowiły nierozłączną całość!

Joan przypominała sobie, jak kiedyś wkroczyła do owego świętego przybytku ustrojonego kwiatami i podobiznami Medyceuszy, do wnętrza, które swym wystrojem świadczyło o kulturze, wiedzy i pozycji społecznej panny Gilbey.

– Wejdz, Joan. Siadaj, drogie dziecko – zachęciła ją siedząca za biurkiem majestatyczna postać.

Joan usiadła we wskazanym fotelu z kretonowym obiciem. Panna Gilbey zdjęła pince-nez. Na jej usta wypłynął jakiś nieziemski, przerażający w swym wyrazie uśmiech.

– Opuszczasz nas, Joan, aby przejść z zamkniętego kręgu szkolnego świata do świata większego, zwanego życiem. Jednak zanim to nastąpi, chciałabym powiedzieć ci kilka słów, mając nadzieję, że weźmiesz je sobie do serca i w przyszłości posłużysz się nimi niczym busolą.

– Tak, panno Gilbey.

– Tutaj, w tym beztroskim środowisku, pośród równie młodych jak ty współtowarzyszek, byłaś chroniona przed wszelkimi komplikacjami i niebezpieczeństwami, które niesie ze sobą życie, a których nikt z nas nie potrafi całkowicie uniknąć.

– Tak, panno Gilbey.

– Wiem, że byłaś tu szczęśliwa.

– Tak, panno Gilbey.

– A także że dobrze się spisywałaś. Jestem zadowolona z twoich postępów w nauce. Byłaś jedną z najlepszych uczennic.

– Och... ehm... Miło mi, panno Gilbey.

– Lecz oto wchodzisz w dorosłe życie, w którym zetkniesz się z nowymi problemami, będziesz musiała podjąć nowe obowiązki.

I tak dalej, i tak dalej. W stosownych przerwach Joan pomrukiwała: „Tak, panno Gilbey”.

Czuła się lekko zahipnotyzowana.

Panna Gilbey zawdzięczała swoją karierę (po części, ma się rozumieć) swemu głosowi. Takiemu, który, według Blanche Haggard, z łatwością mógłby być rozpisany na całą orkiestrę. I tak przemówienie pożegnalne rozpoczynało się od aksamitnych tonów wiolonczeli, na pochwały zarezerwowane były dźwięki fletu, a ostrzeżenia buczały niczym fagot. Jeśli opuszczająca szkolne mury dziewczyna naznaczona była znamieniem intelektu, nawoływania do robienia kariery brzmiały niby orkiestra dęta; wobec takiej natomiast, która przejawiała raczej domatorskie usposobienie, napomnienia o obowiązkach żony i matki przypominały stłumione popiskiwanie skrzypiec.

– Na koniec – tu głos panny Gilbey przeszedł niejako w pizzicato – ostatnia przestroga. Żadnego lenistwa umysłowego! Nie wydawaj powierzchownych sądów tylko dlatego, że tak jest najłatwiej i że to często oszczędza bólu! Życie jest nam dane po to, by je przeżyć, a nie, by je fałszować czy upiększać. I nie bądź z siebie zbyt zadowolona!

– Tak... to znaczy nie, nie będę panno Gilbey.

– Ponieważ, mówiąc *entre nous*, pycha to twój mały grzeszek, prawda, Joan? Myśl o innych, moja droga, a nie jedynie o sobie. No a poza tym bądź przygotowana do przyjęcia na swe barki odpowiedzialności. – Zbliżał się wielki orkiestralny finał: – Życie, Joan, powinno być nieustającym postępem, przeprowadzaniem się, niby po kamieniach rzuconych w poprzek rzeki, z brzegu naszych ślepych jaźni ku brzegowi rzeczy wyższych. I nie zapominaj, że istnieje coś takiego, jak ból i cierpienie. One przychodzą do wszystkich. Nawet sam Bóg nie był wolny od kaźni ziemskiego żywota. I tak jak on w ogrodach Getsemani poznał strach przed męką konania, tak ty zaznasz lęków tego świata – a gdybyś ich nie zaznała, Joan, znaczyłoby to, że twoja ścieżka prowadzi daleko od gościńca prawdy. Pamiętaj o tym zwłaszcza wówczas, kiedy nadejdzie godzina zwątpienia albo czas trudu i znoju. Pamiętaj także, moja droga, że zawsze czekam na wiadomości o moich byłych uczennicach i że zawsze chętnie służę im radą, jeśli mnie o nią proszą. Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko.

Pożegnalnemu błogosławieństwu towarzyszył pożegnalny pocałunek panny Gilbey, pocałunek, który miał w sobie więcej z glorii pasowania na rycerza niż z ludzkiego, cielesnego kontaktu.

Joan, nieco oszołomionej, wolno było odejść.

Wróciła do sypialni, gdzie Blanche Haggard, w pince-nez Mary Grant, w koszulce gimnastycznej, wypchanej z przodu poduszka, właśnie wykonywała koncert na orkiestrę przed wprawionym w zachwyt audytorium.

– Oto opuszczasz – basowała – szczęśliwy świat naszej szkoły i wstępujesz w progi większego i bardziej niebezpiecznego, zwanego życiem. Otwiera się on przed tobą wraz z jego problemami i z jego obowiązkami...

Joan wmieszała się między inne dziewczęta. W miarę jak Blanche dochodziła do finału, zachwyt audytorium wzrastał.

– Jeśli chodzi o ciebie, Blanche Haggard, powiem tylko jedno. Dyscyplina. Trzymaj na wodzy swoje emocje i ucz się nad sobą panować. Twoja nadmierna czułość serca może doprowadzić cię do zguby. Tylko dzięki szalonej dyscyplinie osiągniesz szczyty. Masz wspaniałe talenty, moja droga. Spożytkuj je właściwie. Masz także całe mnóstwo wad, Blanche, całe mnóstwo. Na szczęście twoje wady są wadami szlachetnej natury i dlatego można je skorygować. Życie – głos Blanche przeszedł w piskliwy falset – to nieustający postęp. To przechodzenie z brzegu naszych ślepych jaźni... (patrz Wordsworth). Pamiętaj o starej szkole i pamiętaj, że ciotka Gilbey daje rady i służy pomocą o każdej porze, jeśli tylko dołączysz zaadresowaną i ofrankowaną kopertę!

Blanche przerwała swój popis, lecz ku jej zaskoczeniu dziewczęta nie śmiały się ani nie biły braw. Siedziały nieruchomo, każda wyglądała jak zamieniona w słup soli, a wszystkie głowy były zwrócone ku drzwiom, w których, w pełni swego majestatu i z pince-nez w ręku, stała panna Gilbey.

Zapadła złowieszcza cisza. Po jakiejś chwili panna Gilbey rzekła:

– Jeśli masz zamiar robić karierę sceniczną, Blanche, to jestem przekonana, że istnieje kilka wspaniałych szkół dramatycznych, gdzie mogłabyś się uczyć panowania nad głosem, jak również właściwej dykcji. Bo wygląda na to, że masz w tym kierunku trochę talentu. A teraz bądź tak miła i odłóż poduszkę na właściwe miejsce.

To powiedziawszy, natychmiast się oddaliła.

– Fiu... – rzuciła Blanche. – Patrzcie ją, starą wiedźmę! Niby taka wielkoduszna, ale dobrze wie, jak kogoś upokorzyć.

Tak, pomyślała Joan, panna Gilbey była wielką osobowością. Z St Anne rozstała się ostatecznie tego roku, kiedy wysłaliśmy tam Averil. Niestety, nowa dyrektorka nie była tak dynamiczna jak jej poprzedniczka, w związku z czym szkoła stopniowo zaczęła tracić na swej reputacji.

Blanche miała rację, myślała dalej Joan, panna Gilbey była wiedźmą. Czyż jednak nie umiała zapracować na swój autorytet? No a już na pewno nie myliła się co do Blanche. Bo czego jak czego, lecz dyscypliny tej dziewczynie zawsze brakowało. Szlachetna natura... tak, możliwe. Za to gorzej z umiejętnością panowania nad instynktami. Owszem, trzeba to przyznać, Blanche była szlachetna. Choćby tamte pieniądze, pieniądze, które jej wysłałam. Blanche nie wydała ich z myślą o sobie. Blanche kupiła za nie biurko żaluzjowe Tomowi Hollidayowi. A przecież każdy, kto ją znał, zaświadczyłby w ciemno, że biurko żaluzjowe to ostatnia rzecz na świecie, której Blanche mogłaby pragnąć. Poczciwe, serdeczne stworzenie z tej Blanche. Lecz czyż nie zostawiła swoich dzieci, czyż nie odeszła od nich? Czyż nie odeszła samolubnie od dwóch małych istotek, które sama sprowadziła na ten świat?

Cóż, taki postępek najlepiej świadczy o tym, że niektórym kobietom po prostu brakuje instynktu macierzyńskiego. Co jak co, ale dzieci, myślała Joan, zawsze się powinno stawiać na pierwszym miejscu. Ja i Rodney byliśmy co do tego zgodni. Rodney to już absolutnie nie był samolubny, oczywiście jeśli podeszło się go we właściwy sposób. Ot, choćby sprawa tamtej przeprowadzki. Wystarczyło, bym delikatnie mu zasugerowała, że ten jego miły, słoneczny pokój powinien być dziennym pokojem dzieciennym, a on jeszcze tego samego dnia, i to całkiem ochoczo, zajął mały pokójek z widokiem na stajnie. Dzieciom zawsze należy się jak najwięcej słońca i światła.

Ona i Rodney naprawdę byli bardzo sumiennymi rodzicami, no a ich dzieci rzeczywiście były bardzo udane, zwłaszcza w pierwszych latach swego życia. Takie atrakcyjne, urodziwe dzieci, o wiele lepiej wychowane niż chłopcy Sherstonów. Pani Sherston chyba wcale nie przejmowała się ich wyglądem. I sama uczestniczyła w najbardziej zwariowanych zabawach, czołgając się po ziemi i wznosząc wojenne indiańskie okrzyki, a raz, kiedy chłopcy wymyślili zabawę w cyrk, ona udawała lwa morskiego!

Joan uważała, że Leslie Sherston nigdy nie była osobą w pełni dojrzałą i że w gruncie rzeczy miała bardzo smutne życie.

Pomyślała o tamtym letnim dniu w Somerset (bawiła w tej części świata z wizytą u swoich przyjaciół i nie miała pojęcia, że właśnie tam Sherstonowie znaleźli swą przystań), kiedy to natknęła się twarzą w twarz na wychodzącego z miejscowego pubu kapitana Sherstona. Nie widziała go od czasów jego wyjścia na wolność i zmiany, jakie zaszły w dawnym beztroskim i pewnym siebie dyrektorze banku, od razu rzuciły jej się w oczy.

Ten dziwnie przygaszony wygląd, jaki jest udziałem wielkich, buńczucznych mężczyzn wtedy, kiedy świat ich zawodzi... Te obwisłe ramiona, luźna kamizelka, sflaczałe policzki, to uciekanie spojrzeniem w bok...

Pomyśleć, że kiedykolwiek mogło się temu człowiekowi ufać.

Był zaskoczony nieoczekiwanym spotkaniem, lecz prędko zebrał się w sobie i przywitał ją czymś, co było jedynie bolesną parodią jego dawnego stylu bycia:

– Kogo ja widzę! Pani Scudamore! Świat jest naprawdę mały. Cóż to pani sprowadza do Skipton Haynes?

Stał przed nią, prostując ramiona i wysilając się, by jego głos brzmiał po dawnemu pewnie i serdecznie. To było żalosne przedstawienie i Joan mimo woli zrobiło się żal pana Sherstona.

Jakie to straszne upaść aż tak nisko! Zdawać sobie sprawę, że w każdej chwili można natknąć się na kogoś z dawnego życia, kogoś, kto być może nawet nie zechce się przyznać cło starej znajomości.

Joan oczywiście nie miała zamiaru tak się zachować. Ona naturalnie starała się być uprzejma.

– Musi pani zawrócić i odwiedzić moją żonę – mówił dalej Sherston. – Musi pani napić się z nami herbaty. Tak, tak, droga pani, nalegam na to!

Ta parodia samego siebie była do tego stopnia bolesna, że ona, choć dość niechętnie, pozwoliła mu się pilotować.

Mówił dalej, i to w sposób dla niej zaiste krępujący.

Chciałby, żeby zobaczyła ich maleńką posiadłość, no, może nie taką maleńką. Całkiem spory areal. Ciężka praca, oczywiście, te uprawy na sprzedaż. Najlepiej wychodzą na anemonach i jabłkach.

Wciąż mówiąc, otworzył zniszczoną furtkę, którą już dawno temu należało pomalować, i ruszyli porośniętym zieleńskim podjazdem. Ktoś, kto pochylał się nad grządką z anemonami, uniósł twarz. Tym kimś była Leslie.

– Tylko popatrz, kogo przyprowadziłem – zawołał Sherston, a Leslie, odgarnawszy z twarzy włosy, podeszła do nich i powiedziała, że to prawdziwa niespodzianka!

Joan od razu zauważyła, że Leslie wygląda o wiele starszej i że sprawia wrażenie chorej. Jej twarz żłobiły bruzdy zmęczenia i bólu. Lecz poza tym Leslie Sherston była tak samo jak zawsze pogodna, tak samo zaniedbana i tak samo kipiała energią.

Kiedy tak stali we troje, zajęci rozmową, wrócili ze szkoły chłopcy. Z dzikimi okrzykami: „mamusiu! mamusiu! mamusiu!” wbiegli na ścieżkę. Witali się z Leslie, niemal na nią wskakując i bodąc ją głowami. Ta zносиła ów szturm cierpliwie co najmniej przez kilka minut, w końcu rzuciła głosem nie znoszącym sprzeciwu:

– Dosyć! Mamy gościa.

Chłopcy natychmiast przeistoczyli się w parę grzecznych aniołków, które przywitały panią Scudamore i wyciszyły głosy niemal do szeptu.

Joan przypomniał się kuzyn, który tresował psy myśliwskie. Na jedno słowo komendy psy potrafiły warować, na drugie pędzić szaleńczo aż po krańce horyzontu. Joan pomyślała, że dzieciaki Leslie są chyba poddawane podobnej tresurze.

Poszli do domu, a Leslie wraz z chłopcami udała się do kuchni. Niebawem wniosła do salonu tacę z herbatą, bochnem chleba, masłem i konfiturami domowej roboty. Śmiała się, a jej chłopcy śmiali się także.

Tym, co Joan najbardziej zadziwiło, była zmiana, jaka zaszła w Sherstonie. Otóż Sherston, niby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, nagle wyzbył się skrupowania i fałszu, przestał udawać kogoś, kim już od dawna nie był, i najzwyczajniej w świecie wszedł w rolę pana domu i gospodarza, i to bardzo dobrego gospodarza. Nawet przestał zwracać uwagę na konwenanse. Nic dodać, nic ująć: wyglądał na szczęśliwego, zadowolonego i z siebie, i ze swojej rodziny. Było to tak, jak gdyby cztery ściany ich domu całkowicie odcięły go od świata zewnętrznego i jego werdyktów. Chłopcy wrzaskliwie domagali się pomocy przy jakiejś stolarce, Leslie zaklinała go, by nie zapomniał o danej obietnicy, że zajmie się jej motyką, i zastanawiała się głośno, czy powinni ścinać anemony jutro, czy mogą to zrobić w czwartek rano?

Joan pomyślała sobie, że nigdy przedtem bardziej jej się nie podobał, i pomyślała też, że już teraz wie, skąd się zawsze brało to całe oddanie Leslie. Poza tym Sherston kiedyś na pewno był bardzo przystojnym mężczyzną.

Ale po kilku minutach doznała swego rodzaju szoku, i to za przyczyną jednego z chłopców, Petera.

– Opowiedz nam tę zabawną historyjkę o strażniku i o bożonarodzeniowym puddingu! – zawołał Peter. A widząc, że ojciec ma zakłopotaną minę, dodał niecierpliwie: – No wiesz, tę z więzienia. Co powiedział jeden strażnik i co odpowiedział mu drugi?

Sherston zawahał się. Wyglądał na lekko zawstydzonego.

– Dalej, Charles – zachęciła go Leslie. – To bardzo zabawna historyjka. Pani Scudamore z przyjemnością jej posłucha.

Rzeczywiście, historyjka była dość zabawna, choć może nie na tyle, by tarzać się po podłodze i skrecać ze śmiechu, a tak właśnie zareagowali na nią chłopcy. Joan zaśmiała się uprzejmie, lecz w gruncie rzeczy była krańcowo zaskoczona i trochę zgorzozna, toteż później, kiedy Leslie zabrała ją na górę, pozwoliła sobie na subtelna uwagę:

– Nie miałam pojęcia, że oni wiedzą!

Leslie... doprawdy, pomyślała Joan, Leslie Sherston jest nad wyraz nieczułą osobą... Tymczasem Leslie roześmiała się.

– Któregoś dnia i tak trzeba by było im powiedzieć. Zatem równie dobrze mogą już teraz znać całą prawdę. Tak jest prościej.

Naturalnie, tak jest prościej, przyznała w duchu Joan, lecz czy to aby mądre? A co z wrażliwością dzieci? Co z ich delikatną psychiką? Czy znając całą prawdę, dzieci mogą ufać swoim rodzicom?

Leslie powiedziała, że nie sądzi, by jej synowie byli bardzo wrażliwi czy mieli idealistyczne spojrzenie na świat. I że chyba byłoby gorzej, gdyby wyczuli, że coś się przed nimi ukrywa.

Zamachała dłońmi po swojemu, w trudny do określenia sposób, i powiedziała:

– Wszelkie tajemnice zwykle tylko pogarszają sprawę. Kiedy zapytali mnie, dlaczego tatuś gdzieś sobie poszedł, pomyślałam, że chyba nie zaszkodzi, jak będę z nimi szczerą, i powiedziałam, że ukradł pieniądze z banku i siedzi w więzieniu. Ostatecznie wiedzą, co to jest kradzież. Kiedy Peter podkrada konfitury, a robi to często, odsyła się go do łóżka. Kiedy dorośli robią coś złego, wysyła się ich do więzienia. To całkiem proste.

– Niemniej jeśli dziecko zamiast szanować ojca, pogardza nim...

– Och, chłopcy wcale ojcem nie pogardzają – Leslie raz jeszcze się zaśmiała, wyraźnie rozbawiona. – Oni, w gruncie rzeczy, bardzo mu współczują, a poza tym uwielbiają te jego opowieści o życiu w więzieniu.

– Jestem przekonana, że to nic dobrego – powiedziała stanowczo Joan.

– Naprawdę? – Leslie zastanowiła się. – Być może ma pani rację. Ale taki sposób postępowania jest dobry dla Charlesa. Kiedy Charles wrócił do domu, zachowywał się jak zbity pies. Nie mogłam tego znieść. Pomyślałam sobie zatem, że najlepszym rozwiązaniem będzie absolutna naturalność i szczerłość. W końcu nie można wyrzucić z pamięci trzech lat czyjegoś życia, udawać, że ich w ogóle nie było. Sądzę, że lepiej przejść nad nimi do porządku dziennego.

Ot i cała Leslie Sherston, pomyślała Joan, nonszalancka, obojętna, bez najmniejszego wyobrażenia o jakichś subtelniejszych uczuciach. Ktoś taki jak ona zawsze idzie po linii najmniejszego oporu. Choć, żeby oddać jej sprawiedliwość, przynajmniej jest lojalną żoną.

– Leslie – powiedziała zatem – naprawdę uważam, że zachowała się pani absolutnie wspaniale. Pani lojalność i to, że tak ciężko pani pracowała, aby utrzymać dom, podczas gdy on... gdy jego... hm... gdy go nie było. Oboje z Rodneyem często to mówimy.

Jaki zabawny, niesymetryczny uśmiech miała ta kobieta. Joan nigdy wcześniej tego nie zauważyła. Możliwe, że swą pochwałą wprowadziła Leslie w zakłopotanie. Jej głos bowiem zabrzmiał cokolwiek nienaturalnie:

– A co u Rodneya? – zapytała.

– Jest bardzo zajęty, biedactwo. Zawsze mu powtarzam, że od czasu do czasu powinien wziąć sobie choćby dzień wolnego.

– To nie takie łatwe – odparła Leslie. – Przypuszczam, że w jego pracy, jak i w mojej, zawsze jest coś do zrobienia. Trudno znaleźć – wolną chwilę.

– To prawda, a poza tym Rodney jest bardzo sumienny.

– Praca, nic tylko praca – powiedziała Leslie. Podeszła wolnym krokiem do okna, przystanąła i popatrzyła gdzieś na zewnątrz.

W jej sylwetce było coś, co uderzyło Joan. Leslie zawsze nosiła rzeczy nieforemne, ale doprawdy...

– Och, Leslie – zawołała impulsywnie – chyba pani nie jest...

Leslie odwróciła się i spojrzawszy jej w oczy, powoli skinęła głową.

– Tak – powiedziała. – W sierpniu.

– O mój Boże... – Joan poczuła się szczerze strapiona.

To wówczas, ku jej zaskoczeniu, Leslie wygłosiła żarliwą mowę. Już nie była nonszalancka ani obojętna. Była niczym skazaniec, który podejmuje się własnej obrony.

– Ten fakt dla Charlesa wiele znaczy. Wszystko zmienia! Rozumie pani? Nie potrafię wyrazić słowami, jak on się dzięki temu czuje. To swego rodzaju symbol. Znak, że nie stał się zwykłym wyrzutkiem, że wszystko jest tak, jak było. Nawet stara się nie pić, odkąd się dowiedział.

Głos Leslie był do tego stopnia nasycony jakimś wewnętrznym żarem, że do Joan nie od razu dotarło znaczenie ostatniego zdania..

– Naturalnie, Leslie, pani się najlepiej orientuje we własnych sprawach, lecz moim skromnym zdaniem nie jest to mądry krok. Przynajmniej jak na obecną chwilę.

– Chodzi o stronę finansową, prawda? – Leslie zaśmiała się. – Och, postaramy się jakoś przetrwać złą pogodę. Z głodu tak czy inaczej nie umrzemy.

– No i nie wygląda mi pani na bardzo silną fizycznie.

– Czyżby? Ja jestem potwornie silna. Aż za silna. Obawiam się, że jeśli coś mnie zabije, nie zabije mnie łatwo.

Zadrżała z lekka, jak gdyby (już wtedy) miała dziwne przeczucie co do swojej choroby i koszmarnych męczarni...

A potem zeszyły na dół i Sherston powiedział, że mógłby odprowadzić ją do rogu i pokazać skrót przez pola. Kiedy szli podjazdem, odwróciła głowę i zobaczyła, jak Leslie i chłopcy, szepieni razem, popiskując z szaleńczej radości, turlają się po ziemi. Leslie turlająca się po ziemi ze swym potomstwem, całkiem jak jakieś zwierzę, pomyślała Joan, lekko zdegustowana, po czym skłoniła uważnie głowę, aby wsłuchać się w to, co mówił kapitan Sherston.

Kapitan Sherston mówił z przejęciem, że nie ma, że nigdy nie było i że nigdy nie będzie na świecie drugiej takiej kobiety jak jego żona.

– Nie ma pani pojęcia, pani Scudamore, czym ona jest dla mnie. Nie ma pani pojęcia. Nikt nie ma. Nie jestem jej wart. Wiem to...

Joan z przerażeniem zauważyła, że oczy jej rozmówcy napełniły się łzami. Kapitan Sherston, jak widać, jest mężczyzną, który łatwo się rozrzewnia...

– Zawsze taka sama, zawsze pogodna, wszystko ją interesuje i wszystko ją bawi. I nigdy słowa wymówki. Nigdy. Ale ja jej to wynagrodzę. Wynagrodzę, przysięgam.

Joan przyszło na myśl, że kapitanowi Sherstonowi łatwiej przyszłoby dotrzymać przysięgi, gdyby nie odwiedzał zbyt często pubu Pod Kotwicą i Dzwonem. Omal mu tego nie powiedziała.

W końcu uwolniła się od niego, mówiąc, że wierzy w prawdziwość jego słów i że było jej bardzo miło znów ich zobaczyć. Poszła na przełaj przez pola, a przechodząc przez przełaz w żywopłocie, obejrzała się jeszcze i zobaczyła, że kapitan Sherston stoi przed pubem i sprawdza na swym zegarku, ile czasu zostało do otwarcia.

Po powrocie powiedziała do Rodneya, że to wszystko było bardzo smutne.

A Rodney, najwyraźniej udając głupiego, odparł:

– Z tego, co mówiłaś, wynikałoby raczej, że są ze sobą bardzo szczęśliwi.

– No cóż, w pewnym sensie.

Rodney powiedział, że wygląda mu na to, iż Leslie Sherston potrafiła dobrze wyjść na kiepskim interesie.

– Trudno jej odmówić odwagi, to prawda. I tylko pomyśl, spodziewa się kolejnego dziecka.

Rodney podniósł się i powoli podszedł do okna. Stał tam, wyglądając na zewnątrz, zupełnie jak poprzednio Leslie (choć to porównanie dopiero teraz przyszło jej na myśl). Po kilku minutach zapytał:

– Kiedy?

– W sierpniu. Uważam, że z jej strony jest to krańcowa głupota.

– Czyżby?

– Mój drogi, tylko się zastanów. Żyją niejako z dnia na dzień. W takiej sytuacji niemowlę będzie dodatkową komplikacją.

– Leslie ma szerokie barki – powiedział powoli Rodney.

– Niemniej kiedy zechce unieść na nich zbyt wiele, może się załamać. Wygląda na chorą.

– Kiedy wyjeżdżała z Crayminster, też tak wyglądała.

– Wygląda starzej. O lata. Łatwo mówić, że dziecko odmieni Charlesa Sherstona.

– Tak powiedziała?

– Tak. Powiedziała, że dla Charlesa to wiele znaczy i że wszystko się zmieni.

– Pewnie ma rację – powiedział Rodney, zamyślony. – Sherston to jeden z tych zadziwiających ludzi, którzy, aby żyć, nieustannie muszą się utwierdzać w przekonaniu, że inni żywią do nich szacunek. Kiedy sędzia ogłosił wyrok w jego sprawie, skurczył się jak przekłuty balon. To było równie żałosne, jak obrzydliwe. Powiedziałbym, że jedyną nadzieją dla Sherstona jest odzyskanie w taki czy inny sposób szacunku dla samego siebie. Będzie miał z tym kupę roboty.

– Wciąż jednak uważam, że kolejne dziecko... Rodney przerwał jej. Odwrócił się gwałtownie od okna. Jego twarz była blada z gniewu.

– Ona jest jego żoną, tak czy nie? Miała jedynie dwa wyjścia: zerwać z nim całkowicie i odebrać mu dzieci, albo trwać przy nim, a jeśli tak, to, do diabła, być mu żoną. To właśnie zrobiła. A Leslie nigdy niczego nie robi połowicznie.

Zapytała, czy jest coś, co by usprawiedliwiało jego wzburzenie, a on odrzekł, że „z pewnością nie”, lecz że robi mu się niedobrze od nadmiaru rozwagi i ostrożności, z jaką ludzie podchodzą do życia. Nigdy nie ryzykują! Kiedy wyraziła nadzieję, że nie rozmawia w ten sposób ze swoimi klientami, uśmiechnął się szeroko i powiedział:

– Nie bój się, zawsze im doradzam, aby szli na ugodę!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Być może było to naturalne, że tej nocy śniła o pannie Gilbey. Panna Gilbey w tropikalnym hełmie szła obok niej przez pustynię i mówiła nie znośnym sprzeciwu głosem: „Powinnaś zwracać większą uwagę na jaszczurki, Joan. Jesteś słaba z przyrody”. Na co ona oczywiście odpowiedziała: „Tak, panno Gilbey”. Na co panna Gilbey: „Tylko nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi. Wiesz doskonale. O dyscyplinę, moja droga”.

Joan obudziła się i przez kilka chwil myślała, że znów jest w St Anne. Co prawda zajazd był trochę podobny do szkolnej sypialni: swoiste ubóstwo, żelazne łóżka, dość higienicznie wyglądające ściany.

O Boże, pomyślała, kolejny dzień, z którym trzeba sobie jakoś poradzić.

Co takiego powiedziała panna Gilbey we śnie? „Dyscyplina”.

No tak, coś w tym jest. Bo też doprowadzenie się poprzedniego dnia do tego dziwnego stanu, i to bez żadnego powodu, było bardzo głupie! Muszę zdyscyplinować swoje myśli, muszę uporządkować umysł – raz na zawsze dociec, jak to jest naprawdę z tą moją agorafobią.

To pewne, że teraz, tu, w pokoju, czuję się dobrze. Zatem może byłoby rozsądniej w ogóle nie wychodzić na zewnątrz?

Jej serce rozpaczliwie zaprotestowało. Cały dzień w półmroku, z zapachem baraniego tłuszczu, nafty i środków owadobójczych – cały dzień bez niczego do czytania, bez żadnego zajęcia?

Co robią więźniowie w swoich celach? Najpewniej mają jakieś obowiązki – szyją worki pocztowe czy coś w tym rodzaju. W przeciwnym wypadku, pomyślała, jak nic mogłoby ich ogarnąć szaleństwo.

Ale są także pojedyncze cele, te, które doprowadzają ludzi do szaleństwa.

Pojedyncza cela, izolotka... dzień za dniem... tydzień za tygodniem.

Proszę, proszę, czuję się tak, jak gdybym była uwięziona w tym zajeździe od tygodni! Tygodni! A jak długo to wszystko trwa? No, jak długo? Raptem dwa dni?

Dwa dni! Nie do wiary. Jak brzmi tamta linijka wiersza Omara Chajjama? „Zostałem sam z wczorajszym lat tysiącem”. Coś w tym rodzaju. Dlaczego niczego nie pamiętam dokładnie?

Nie, nie, tylko nie to. Nic mi przecież nie wyszło z przypominania sobie i recytowania wierszy. Wręcz przeciwnie. W wierszach jest coś, co mnie wyprowadziło z równowagi. Wiersze mają w sobie jakąś cierpkość... poruszają duszę...

O czym też ja mówię? Z pewnością im bardziej ktoś jest uduchowiony, tym lepiej. Jeśli chodzi o mnie, zawsze byłam raczej uduchowioną osobą...

„Zawsze byłaś zimna jak ryba...”

Dlaczego słowa Blanche nieustannie chodzą mi po głowie? Bardzo wulgarna i niestosowna uwaga – taka... taka w stylu Blanche! Zresztą, co tu dużo mówić. Prawdopodobnie dla kogoś takiego jak Blanche, kogoś, kto pozwala, by niszczyły go własne namiętności, ja istotnie jestem zimną osobą. Nie powinno się winić Blanche za prostactwo, czyli za to, co po prostu jest jej drugą naturą. Tej jej przykrej cechy nie zauważało się za dawnych lat tylko dlatego, że Blanche była równie śliczna, co dobrze urodzona, lecz ostatecznie wylazło szydło z worka.

Coś podobnego – zimna jak ryba!

Byłoby lepiej dla Blanche, i to o wiele lepiej, gdyby sama miała w sobie coś z ryby!

Ona zdaje się prowadzić jak najbardziej żałosne, godne ubolewania życie.

Doprawdy, absolutnie godne ubolewania.

Co takiego powiedziała? „Zawsze można policzyć swoje grzechy i grzeszki!”

Biedna Blanche! Co prawda zaraz dorzuciła, że mi nie zajęłoby to wiele czasu. (Proszę, proszę, więc jednak Blanche dostrzega różnicę między sobą a mną). Udawała też, że myśli, jakobym miała się prędko zmęczyć wyliczaniem swoich sukcesów. (Tak jakby ktoś w ogóle zamierzał przyjmować swoje sukcesy za rzecz naturalną!) A potem? Co powiedziała potem? Coś takiego, co zabrzmiało dość dziwnie...

O właśnie: była ciekawa, czy jeśli dzień za dniem nie ma się nic innego do roboty poza myśleniem o sobie, to czy można by dowiedzieć się czegoś nowego... o sobie...

Na swój sposób to dość interesujące.

Istotnie, całkiem interesujące.

Ja osobiście wolałabym nie próbować...”

Blanche, kiedy to mówiła, wyglądała prawie... prawie na przestraszona.

No więc jak to jest z tym odkrywaniem nowych prawd? Prawd o sobie?

Tylko że ja zawsze myślę o innych...

Nie jestem i nigdy nie byłam egocentryczką...

...Ciekawe, jak mnie ci inni postrzegają...

...Nie tak w ogóle. Nie. Mam na myśli jakieś konkretne sytuacje.

Dla przykładu spróbowała przypomnieć sobie, co ci inni czasami do niej mówili...

Powiedzmy, Barbara: „Och, mam, twoja służba jest zawsze perfekcyjna. Już ty potrafisz o to zadbać”.

W pewnym sensie był to hołd, złożony mi przez dzieci, które wyrażały się o mnie z uznaniem jako o wspaniałej pani domu. Bo też jest to prawda: prowadzę dom dobrze i skutecznie. I cieszę się sympatią służby, a przynajmniej autorytetem. Być może służba nie okazuje wielkiego współczucia, kiedy boli mnie głowa albo kiedy nie najlepiej się czuję, lecz ja przecież wcale czegoś takiego nie wymagam. Jak to powiedziała tamta bardzo dobra kucharka, składając wymówienie? Jakoś tak, że nie potrafi harować całe życie bez żadnej pochwały. Jakoś tak. Śmieszne, po prostu śmieszne.

– Zawsze mi się zwraca uwagę, kiedy coś jest nie tak, proszę pani, a ani razu nie usłyszałam choćby jednego słowa pochwały. Człowiek nie ma serca do takiej pracy.

– Powinnaś wiedzieć – odparła chłodno Joan – że jeśli nic nie mówię, to dlatego, że wszystko jest w porządku i że ze wszystkiego jestem zadowolona.

– Całkiem możliwe, proszę pani, lecz coś takiego działa na człowieka zniechęcająco. Ostatecznie jestem ludzką istotą... Tyle się napracowałam nad tym hiszpańskim ragout, wiadomo, ile przyrządzenie czegoś takiego wymaga zachodu... i czy to ja zabiegam o podawanie do stołu?

– Ależ było wyborne, zapewniam...

– Tak, proszę pani. Tak też sobie pomyślałam, po tym, jak do kuchni nie wróciły żadne resztki, tylko że nikt mi tego nie powiedział.

– Czy nie zdaje się kucharce – zniecierpliwiała się Joan – że takie pretensje są nie na miejscu? W końcu po to kucharka została przyjęta, aby gotować, a ja za to bardzo dobrze płacę...

– To prawda, proszę pani.

– ...a wysoka pensja oznacza, że jest pani wystarczająco dobrą kucharką. Jeśli coś mnie nie satysfakcjonuje, mówię o tym wyraźnie.

– O tak, w rzeczy samej, proszę pani.

– Ale, jak rozumiem, kucharka czuje się tym urażona.

– To nie tak, proszę pani, lecz coś mi się zdaje, że nie warto przeciągać tej rozmowy, i tak odchodzę z końcem miesiąca.

Ze służby, pomyślała Joan, nigdy nie byłam zadowolona. Tyle tych różnych uraz i animozji. Ma się rozumieć, służba ma inny stosunek do mnie, a inny do Rodneya. Rodneya służące uwielbiają. No cóż, Rodney to mężczyzna. I nigdy żadnej nie było zbyt ciężko zrobić coś dla pana. Inna sprawa, że Rodney czasami popisывał się najbardziej niespodziewaną wiedzą na temat służących. Na przykład pewnego razu powiedział:

– Nie naskakuj na Ednę – rzucił ni stąd, ni zowąd. – Ten młody człowiek, co się do niej zalecał, znalazł sobie inną pannę i Edna jest zupełnie wytracona z równowagi. Dlatego upuszcza wszystko i podaje jarzyny dwa razy, i o niczym nie pamięta.

– Od kogo ty to wiesz, u licha?

– Od niej samej, moja droga.

– To doprawdy nadzwyczajne, by coś takiego mówić właśnie tobie.

– Dzisiaj rano miała czerwone oczy jak po płaczu. Więc po prostu zapytałem, czy stało się coś złego.

Rodney, pomyślała, jest niezwykle miłym człowiekiem.

Prawdopodobnie odrobinę zbyt miłym...

Pewnego razu zauważyła jakby od niechcenia:

– Można by sądzić, że przy twoim prawniczym doświadczeniu powinieneś być zmęczony ludzkimi nieszczęściami.

– Istotnie, można by – odpowiedział w zamyśleniu – choć to nie jest tak.

Przypuszczam, że jako prowincjonalny prawnik, grzebiący się latami w przeróżnych rodzinnych sprawach, więcej rozumiem z ciemnej strony międzyludzkich związków niż ktokolwiek inny. Poza lekarzem, naturalnie. Lecz jeśli chcesz wiedzieć, to zrozumienie jedynie pogłębia we mnie litość dla rodzaju ludzkiego, który jest tak podatny na ciosy, tak lękliwy, tak nieufny i podejrzliwy, tak chciwy i zachłanny, a z drugiej strony tak bezinteresowny i mężny. Być może właśnie ona, ta głęboka, bezgraniczna litość, jest dla mnie jedyną rekompensatą.

Już miała zapytać: Jedyną rekompensatą? Co przez to rozumiesz?", ale w ostatniej chwili rozmyśliła się. Lepiej nie, powiedziała sobie w duchu. Nie. Lepiej nic nie mówić.

Niemniej od tamtej rozmowy czujnie i z niepokojem śledziła wszelkie praktyczne przejawy tej tak łatwo rodzącej się w sercu Rodneya litości.

Choćby problem pożyczki starego Hoddesdona.

Dowiedziała się o całej sprawie nie od Rodneya, lecz od rozmownej żony siostrzeńca Hoddesdona, i wróciła do domu w stanie niemałego wzburzenia.

– Czy to prawda, Rodneyu, że naruszyłeś własny kapitał?

Rodney zirytował się. Twarz mu poczerwieniała.

– Kto ci to powiedział? – rzucił gwałtownie.

Ona zaspokoila jego ciekawość, po czym zapytała:

– Dlaczego Hoddesdon nie pożyczka pieniędzy w normalny sposób?

– Bank chce mieć gwarancję spłaty pożyczki, a Hoddesdon nie jest w stanie tego uczynić. W dzisiejszych czasach trudno jest zaciągnąć kredyt pod hipotekę wiejskiego gospodarstwa.

– Zatem, na Boga, dlaczego ty mu pożyczasz? – Och, nie mam się czego bać. Hoddesdon to naprawdę świetny gospodarz. Temu, że jest w tarapatkach, winne są jedynie dwa kolejne lata nieurodzaju i brak kapitału.

– Pozostaje faktem, że mu się nie wiedzie i musi pożyczać pieniądze. Naprawdę nie sądzę, byś zrobił dobry interes, Rodneyu.

I wtedy, nagle i niespodziewanie, Rodney stracił cierpliwość.

Zapytał Joan, czy nie rozumie podstawowej rzeczy, a mianowicie tego, że farmerzy plajtują jak kraj długi i szeroki? Czy zdaje sobie sprawę z trudności, barier, krótkowzrocznej polityki rządu? Stał przed nią, zasypując ją gradem informacji na temat rolnictwa i jego rangi. A potem, ni mniej, ni więcej, zaczął się rozczulać nad szczególnymi kłopotami Hoddesdona.

– Coś takiego mogłoby się przytrafić każdemu. Bez względu na to, jak jest inteligentny i jak ciężko pracuje. Także mnie, gdybym był na jego miejscu. Zwykle zaczyna się od braku kapitału, a chwilę potem przytrafia się człowiekowi jakieś nieszczęście. Tak czy inaczej, wybacz, Joan, ale to nie twój interes. Ja nie mieszam się do twoich domowych spraw i do dzieci. To twoja działka. Tamto natomiast – to moja.

Zranił ją, i to dotkliwie. Taki ton zupełnie do niego nie pasował. Jeszcze trochę, a zaczęliby się kłócić.

Tymczasem sprawa starego, nieznośnego Hoddesdona ciągnęła się bez końca. Rodney całkiem zgłupiał na jego punkcie. Spędzał z nim niedzielne popołudnia, a potem w domu zanudzał ją rozmowami o zbiorach, chorobach bydła i o innych tego rodzaju rzeczach.

W ten sam sposób zachowywał się nawet wobec ich gości.

Och, przecież do dziś pamięta, jak kiedyś na przyjęciu w ogrodzie zauważyła Rodneya i panią Sherston, siedzących razem na jednej ławce. Rodney nie dopuszczał Leslie Sherston do głosu. Mówił i mówił, i mówił. Tak wiele, że wreszcie wzięła ją ciekawość, o czym, na Boga, tak rozprawia, i z tej ciekawości podeszła do nich. Bo też naprawdę on zdawał się bardzo podekscytowany, a Leslie Sherston naprawdę słuchała go z wielkim przejęciem.

Najwidoczniej wszystko, o czym mówił, sprowadzało się do hodowli krów mlecznych i do konieczności utrzymania na ich terenie odpowiedniego poziomu krów rasowych.

To był temat, który mógł zainteresować chyba tylko kogoś takiego jak Leslie Sherston, kogoś, kto nie miał pojęcia o krowach! Mimo to Leslie słuchała Rodneya z głęboką uwagą, nie spuszczając oczu z jego rozświetlonej jakimś wewnętrznym światłem twarzy.

– Doprawdy, Rodneyu – rzuciła lekkim tonem – nie powinieneś zanudzać biednej pani Sherston takimi nieciekawymi sprawami. (Sherstonowie dopiero co osiedli w Crayminster, a ona i Rodney jeszcze nie zdążyli ich dobrze poznać).

Twarz Rodneya przygasła.

– Przepraszam – powiedział do Leslie.

– Pani się myli, pani Scudamore – wyrwała się Leslie Sherston. (Leslie Sherston charakteryzowała się dość gwałtownym sposobem mówienia). – Uważam, że pan Scudamore mówi bardzo interesująco.

W jej oczach było tyle blasku, że Joan pomyślała sobie, iż Leslie Sherston jest kobietą pełną temperamentu...

Ale wtedy podbiegła do nich nieco zadyszana Myrna Randolph i zawołała:

– Rodney, kochany, musisz zagrać ze mną tego jednego, jedyne seta. Wszyscy na ciebie czekają.

I w stanowczy, acz czarujący sposób, który uchodzi płazem tylko naprawdę ładnym dziewczętom, wyciągnęła obie ręce, poderwała Rodneya na nogi i śmiejąc mu się prosto w twarz, powlokła za sobą na kort tenisowy. Czy chciał tego, czy też nie!

Joan patrzyła za nimi. Patrzyła, jak Myrna kroczy obok niego, jak familiarnym gestem wsuwa mu rękę pod ramię, jak obraca ku niemu głowę i zagląda mu w twarz. Pomyślała sobie ze złością, że wszystko to pięknie, tyle że mężczyźni wcale nie lubią młodych natrętnych panienek.

A potem, potem jakiś zły duch podszeptał jej, że być może mimo wszystko lubią!

Spojrzała na Leslie Sherston i zorientowała się, że ta ją obserwuje. Leslie już nie miała w oczach poprzedniego blasku, który sprawiał, że wyglądała na kobietę z temperamentem. Wprost przeciwnie, w oczach Leslie Sherston malowało się swego rodzaju współczucie. A to Joan nazwałaby nie inaczej, jak zwykłą impertynencją.

Poruszyła się niespokojnie na wąskim łóżku. Jak to się, u licha, stało, że znów wróciłam wspomnieniem do Myrny Randolph? Ach tak, byłam ciekawa, jak mnie postrzegają inni ludzie. Myrna, prawdopodobnie, nigdy mnie nie lubiła. W porządku, wolno jej. To jedna z tych dziewczyn, które tylko czekają na stosowną okazję, by rozbić czyjeś małżeństwo!

Dobrze już, dobrze, teraz chyba nie muszę denerwować się Myrna i rozbitymi małżeństwami. Teraz powinnam wstać i zjeść śniadanie. Możliwe, że dla odmiany ugotują mi jajko w koszulce. Mam już dość twardych omletów.

Jednakże Hindus zdawał się głuchy na wszelkie sugestie o jajku w koszulce.

– Jajko w koszulce? Memsahib chce gotowane jajko, tak?

Joan tłumaczyła, że nie chce zwykłego gotowanego jajka. Gotowane jajko w zajazdach, wiedziała o tym z doświadczenia, było zawsze na twardo. Spróbowała wyjaśnić Hindusowi, jak się przyrządza jajko w koszulce. Hindus potrząsnął głową.

– Włożyć jajko do wody, to jajko się rozplynać. Ja dać memsahib miłe jajka sadzone.

Tak więc Joan dostała dwa „miłe” jajka sadzone, bardzo wysmażone po brzegach i z twardymi na kość, bladymi żółtkami. Pomyślała, że jednak lepszy byłby omlet.

Śniadanie trwało zdecydowanie za krótko. Zapytała o pociąg, lecz nadal nie było żadnych wieści. Zatem znów miała twardy orzech do zgryzienia – kolejny długi dzień.

Ale dzisiaj muszę wszystko rozsądnie zaplanować. To, co robiłam dotychczas, było zwykłym zabijaniem czasu. A przecież nie o to chodzi.

Jestem osobą, oczekującą na stacji kolejowej na pociąg, a w takiej sytuacji ludzie na ogół stają się niespokojni i wpadają w nerwowy nastrój. Powiedzmy, że powinnam ową sytuację potraktować jako chwilowy odpoczynek i... tak, jako zdyscyplinowanie swojego ducha. Coś w rodzaju rekolekcji. Bo tak to się nazywa u rzymskich katolików, którzy uczestniczą w rekolekcjach i są po nich obmyci duchowo.

Pomyślała, że nie ma powodu, dla którego nie miałyby obmyć swego ducha. Możliwe, że ostatnio nieco go zaniedbywała, że była zbyt wesoła, zbyt beztroska.

Zdawało jej się, że stanęła obok niej widmowa panna Gilbey i zawołała swoim dawnym, dobrze jej znanym, przypominającym brzmienie fagotu głosem: „Dyscyplina!”

Tylko że w rzeczywistości panna Gilbey użyła tego słowa w odniesieniu do Blanche Haggard. Jej powiedziała (doprawdy dość niesprawiedliwie): „Nie bądź z siebie zbyt zadowolona, Joan”.

To było niesprawiedliwe. Joan nigdy w najmniejszym stopniu nie była z siebie zadowolona, to znaczy – w ów głupio zrozumiały sposób. „Myśl o innych, moja droga, a nie tylko o sobie”. W porządku, to właśnie robiła – myślała o innych. O sobie myślała bardzo rzadko i bardzo rzadko stawiała siebie na pierwszym miejscu. Nie była samolubna. Myślała o dzieciach i o Rodneyu.

Averil!

Dlaczego nagle pomyślała o Averil?

Dlaczego tak bardzo wyraziście zobaczyła twarz starszej córki i ten jej uprzejmy, odrobinę wzdrgliwy uśmiezek?

Averil nigdy, ale to nigdy nie zdobyła się na właściwą ocenę swojej matki.

I ta jej uszczypliwość, myślała, tak bardzo irytująca. Trudno powiedzieć – obraźliwa, ale...

Ale co?

To absolutnie rozbawione spojrzenie, to unoszenie brwi. Sposób, w jaki wychodziła z pokoju...

Averil była mi oddana, to oczywiste. Wszystkie dzieci były mi oddane...

Czy aby na pewno?

Czy na pewno moje dzieci były mi oddane? Czy naprawdę liczyły się ze mną?

Już podnosiła się z krzesła, aby wyjść, lecz coś ją zatrzymało. Usiadła na powrót.

A cóż to znowu za pomysł? Skąd mi przychodzą do głowy takie myśli? Takie okropne, nieprzyjemne myśli. Och, pozbyć się ich, pozbyć czym prędzej...

Głos panny Gilbey... pizzicato...

„Żadnego lenistwa umysłowego, Joan. Nie wydawaj powierzchownych sądów tylko dlatego, że tak jest najłatwiej i że to często oszczędza bólu...”

Czyżby zatem to „pozbyć się ich, pozbyć czym prędzej”, było podyktowane chęcią zaoszczędzenia sobie bólu?

Bo w gruncie rzeczy to były bolesne myśli...

Averil...

Czy Averil była mi oddana? Czy Averil – no, dalej, Joan, zmierz się z tym – czy Averil mnie kochała? Albo czy kocha?

No cóż, szczerze mówiąc, Averil była dość szczególną dziewczyną – chłodna, nie poddająca się żadnym emocjom.

Nie, to nie tak. To przecież Averil była jedynym dzieckiem z całej trójki, które sprawiło im prawdziwy kłopot.

Z dobrymi manierami, chłodna, spokojna Averil, a tu taki szok dla rodziców!

A jaki dla niej!

Tamten list, niestarannie zaadresowany niewyrobiałą ręką otwierała bez żadnych złych przeczuć. Ot, jeden spośród licznej korespondencji, jaką otrzymywała od swoich podopiecznych emerytek.

Czytała kolejne linijki, prawie nie pojmując treści.

Niech no paniusia wie jak to paniusi starsza córunia prowadzi się z tym ważnym doktorkiem z senatorium. Toć to trzeba nie mieć wstydu całować się po laskach i najwyższa pora to ukrócić.

Wpatrywała się i wpatrywała bez końca w brudny skrawek papieru. Czuła, jak wzbierają w niej mdłości.

Jakie to obrzydliwe, jakie oburzające...

Owszem, zdarzało jej się słyszeć o anonimach, ale do tej pory ona sama nigdy czegoś takiego nie dostała. Nic dziwnego, że robi jej się niedobrze.

„Paniusi starsza córunia”... Averil? Ona? Właśnie ona? „Prowadza się” (cóż to za odrażające wyrażenie) „z tym ważnym doktorkiem z senatorium”. Doktor Cargill? Wybitny, znakomity specjalista, ten, który odnosi wielkie sukcesy w leczeniu tuberkulozy, mężczyzna co najmniej dwadzieścia lat starszy od Averil, mężczyzna, którego żoną jest ta czarująca inwalidka?

Co za bzdura! Co za wstrętne, odrażająca bzdura.

Dokładnie wtedy do pokoju weszła sama Averil i zapytała jakby z obowiązku (Averil nigdy nie była niczego prawdziwie ciekawa):

– Stało się coś, mam?

– Sądzę – zaczęła drżącym głosem – że lepiej będzie, jeśli ci tego w ogóle nie pokażę, Averil. To coś – tu potrząsnęła trzymanym w ręku listem – jest po prostu wstrętne.

Averil, unosząc w zdziwieniu te swoje wyniosłe, subtelne brwi, powiedziała:

– Coś w liście?

– Tak.

– Coś o mnie?

– Lepiej będzie, jak tego nie zobaczysz, kochanie.

Lecz Averil przeszła przez pokój i spokojnie wyjęła list z jej dłoni. Czytała go przez minutę i zwracając go, stwierdziła refleksyjnie:

– Istotnie, niezbyt miły.

– Niezbyt miły! Ależ to jest... to jest obrzydliwe. Ludzi powinno się karać za wypisywanie takich kłamstw.

– To prawda, ten list jest obrzydliwy, mamó, ale nie ma w nim żadnych kłamstw – powiedziała Averil spokojnie.

Pokój zawirował Joan przed oczami, raz i jeszcze raz. Wysapała:

– Co to znaczy, Averil? Co to ma znaczyć?

– Nie musisz robić tyle zamieszania, mamó. Przykro mi, że poinformowano cię o tym w taki sposób, lecz przypuszczam, że i tak byś się kiedyś wszystkiego dowiedziała. Wcześniej czy później.

– Chcesz powiedzieć, że to prawda? Że ty i doktor Cargill...

– Tak – Averil spokojnie kiwnęła głową.

– Ależ to niegodziwe... to haniebne. Mężczyzna w jego wieku, żonaty mężczyzna... i... i młoda dziewczyna, taka jak ty...

– Tylko nie rób z tego małomiasteczkowego melodramatu – rzuciła niecierpliwie Averil. – To nie jest tak, jak ci się zdaje. Nic nie stało się nagle. Żona Ruperta jest ułomna od wielu lat. A my... my się po prostu lubimy. To wszystko.

– No proszę, wszystko! – Joan miała w tej sprawie wiele do powiedzenia. Bez chwili wahania wygłosiła tyradę. Averil, ledwo wzruszywszy ramionami, odczekała spokojnie, aż szalejąca nad nią burza minie. Dopiero wtedy zdobyła się na dłuższą przemowę.

– No cóż, mamó, szanuję twój punkt widzenia i prawdopodobnie na twoim miejscu czułabym to samo, choć nie zdaje mi się, bym swoje odczucia wyraziła takimi jak ty słowami. Faktów się nie zmieni. A fakty są takie, że zależy nam na sobie, Rupertowi i mnie. I chociaż jest mi przykro, doprawdy nie wiem, co ty możesz na to poradzić.

– Co mogę? Porozmawiam z twoim ojcem, i to natychmiast.

– Biedny tatuś. Czy naprawdę musisz go tym martwić?

– Jestem pewna, że on będzie wiedział, co zrobić.

– Tatuś nic tu nie pomoże. Tyle, że się potwornie zmartwi.

I takie były początki tamtego koszmarnego okresu w ich życiu.

Averil w samym sercu burzy zachowywała kamienny spokój.

No a także uparcie trwała przy swoim.

– Nie mogę pozbyć się wrażenia, że to zwykła afektacja – Joan powtarzała Rodneyowi raz za razem. – Przecież to niepodobne do niej, ona nigdy nie poddawała się żadnym namiętnościom.

Rodney jednak potrząsał przecząco głową.

– Nie rozumiesz Averil. W wypadku Averil mniej chodzi o zmysły, a bardziej o serce i rozum. Kiedy kocha, kocha głęboko, tak głęboko, że wątpię, by z tej miłości kiedykolwiek się otrząsnęła.

– Och, Rodney, wygadujesz bzdury! Ostatecznie znam ją lepiej niż ty. Jestem jej matką.

– Co nie znaczy, że wiesz o niej cokolwiek. Averil nigdy nie mówiła wszystkiego do końca. Biorąc rzeczy głęboko, celowo przyoblekała je w niewspółmiernie skromniejsze słowa. Cóż, zaryzykowałbym twierdzenie, że raczej z konieczności niż z wyboru.

– Wygląda mi to na bardzo naciąganą teorię.

– Nic podobnego, wierz mi. To szczerą prawdą. – Jednak wciąż mi się zdaje, że przykładasz zbyt wielką miarę do tego, co jest jedynie głupiutkim szkolnym flirtem. Schlebia jej to, co się stało, i zapewne więcej sobie wyobraża, niż...

Rodney przerwał jej.

– Joan, moja droga, mówienie tego, w co sama nie wierzysz, nie przyniesie ci ukojenia. To, co Averil czuje do Cargilla, to prawdziwa namiętność.

– A zatem on postępuje haniebnie, absolutnie haniebnie...

– Tak, to właśnie powiedzą ludzie. Ale postaw się, proszę, w położeniu tego biedaka. Żona, która jest inwalidką, i cała ta namiętność i uroda młodej Averil, i szczodrość jej serca, podsunęte ci pod nos jak na talerzu. Cała żarliwość i świeżość jej duszy.

– Jest od niej dwadzieścia lat starszy!

– Wiem, wiem. Gdyby miał z dziesięć lat mniej, pokusa nie byłaby tak wielka.

– Och, cóż to za okropny człowiek. To jakiś potwór.

Rodney westchnął.

– Wcale nie. Doktor Cargill to wspomniały człowiek. I bardzo ludzki. To ktoś, kto uwielbia swój zawód i dokonuje niezwykłych rzeczy. Nawiasem mówiąc, człowiek, który zawsze był jednakowo dobry i szlachetny dla cierpiącej żony.

– Widzę, że próbujesz zrobić z niego świętego.

– Ależ skąd. Zresztą większość świętych, Joan, też miała swoje namiętności. Święci rzadko kiedy byli bezbarwnymi postaciami. Nie, Cargill jest wystarczająco ludzki. Wystarczająco ludzki, by zakochać się i by cierpieć. Wystarczająco ludzki, być może, by zrujnować własne życie i zaprzepaścić cały swój dorobek naukowy. To wszystko zależy.

– Zależy od czego?

– Od naszej córki – powiedział powoli. – Od tego, jak jest silna i jak bardzo zdecydowana.

– Averil powinna stąd zniknąć. Może jakiś rejs na północ albo na greckie wyspy?

Rodney uśmiechnął się.

– Taką metodę zastosowano kiedyś w przypadku twojej dawnej przyjaciółki, Blanche Haggard. Widzę, że masz ochotę postąpić podobnie z naszą córką, tak? No więc nie zapominaj, że rezultaty były mizerne.

– Sądzisz, że Averil mogłaby uciec z jakiegoś zagranicznego portu?

– Wątpię, by Averil ruszyła się stąd gdziekolwiek.

– Nonsens. Postawilibyśmy na swoim.

– Joan, kochanie, zechciej wreszcie spojrzeć na to wszystko bardziej realnie. Nie możesz użyć siły wobec dorosłej kobiety. Nie możemy jej ani zamknąć w sypialni, ani zmusić do opuszczenia Crayminster, a zresztą, jeśli o mnie chodzi, nie zrobiłbym ani jednego, ani drugiego. To są jedynie półśrodki. Na Averil może mieć wpływ zupełnie co innego.

– To znaczy?

– Prawda. Rzeczywistość, taka, jaka jest.

– Dlaczego nie pójdziesz do niego, do Ruperta Cargilla. Mógłbyś go postraszyć.

Rodney znowu westchnął.

– Obawiam się, bardzo się obawiam, że to mogłoby jedynie przyśpieszyć bieg wydarzeń.

– O czym ty mówisz?

– Ano o tym, że Cargill mógłby rzucić wszystko w diabły i wyjechać stąd razem z Averil.

– Czy nie byłby to koniec jego kariery?

– Niewątpliwie. Nie sądzę, by środowisko lekarskie wystąpiło przeciwko niemu, lecz w jego zawodzie trzeba się liczyć z tak zwaną opinią publiczną. A tę by sobie zraził. To pewne.

– A więc jeśli zdaje sobie z tego sprawę...

– On w tej chwili stracił zdrowy rozsądek. Przynajmniej po części. Joan, na litość boską, czy ty niczego nie wiesz o miłości?

Pomyślała z goryczą, że to bzdurne pytanie.

– Nie o takiej, na szczęście...

I tu Rodney ją zaskoczył. Powiedział bardzo łagodnie: „Biedna mała Joan”, uśmiechnął się, pocałował ją i poszedł sobie.

To było miłe z jego strony, pomyślała, że zdawał sobie sprawę, jak jest nieszczęśliwa z powodu całej tej godnej politowania historii.

Tymczasem w domu zapanowała ciężka, atmosfera. Averil milczała. Nie odzywała się do nikogo, a czasami nawet udawała, że nie słyszy, co mówi do niej własna matka.

Robiłam, co mogłam... Ale co można zrobić z dziewczyną, która nie chce cię nawet słuchać?

Błada, nużąc grzeczna Averil powtarzała w kółko:

– Doprawdy, mamó, czy musimy nieustannie mówić o jednym i tym samym? Tak, uwzględniam twój punkt widzenia, lecz czy ty nie mogłabyś w końcu zaakceptować oczywistej prawdy, że cokolwiek powiesz czy zrobisz, niczego to nie zmieni?

Rzeczywiście, nie zanosilo się na żadne zmiany, aż wreszcie przyszło takie wrześnie popołudnie, kiedy to Averil, z twarzą odrobinę bledszą niż zazwyczaj, powiedziała do nich:

– Myślę, że lepiej będzie, jak wam powiem. Rupert i ja zdecydowaliśmy, że nie można przedłużać w nieskończoność takiego stanu rzeczy. Wyjeżdżamy. Mam nadzieję, że jego żona zgodzi się na rozwód. Ale gdyby nie, to i tak niczego to nie zmieni.

Joan już chciała energicznie zaprotestować, lecz Rodney powstrzymał ją.

– Proszę, zostaw to mnie. A ty, Averil, przejdź ze mną do mojego gabinetu. Muszę z tobą porozmawiać.

– Zachowujesz się niby jakiś dyrektor szkoły, ojcze – powiedziała Averil, uśmiechając się nieznacznie.

– Jestem jej matką, nalegam... – wtrąciła się Joan.

– Proszę, Joan. Muszę z nią porozmawiać w cztery oczy. Czy mogłabyś zostawić nas samych?

Głos Rodneya zabrzmiał tak bardzo stanowczo, że chcąc nie chcąc, zrobiła pół obrotu w stronę drzwi. Zatrzymał ją cichy, czysty głos Averil.

– Zostań, mamu. Chcę, żebyś została. Chcę, by to, co ojciec ma mi do powiedzenia, powiedział w twojej obecności.

A więc okazało się, pomyślała Joan, że bycie matką jednak coś znaczy.

Averil i jej ojciec mierzyli się wzrokiem ostrożnie i nieprzyjaźnie, niby zwaśnieni sceniczni bohaterowie. Następnie Rodney lekko się uśmiechnął i powiedział:

– Ach tak. Przestraszyłaś się!

– Nie rozumiem, co masz na myśli, ojcze – odrzekła Averil spokojnym, lekko zdziwionym głosem.

– Szkoda, że nie urodziłaś się chłopcem, Averil – rzucił Rodney bez związku. – Są takie chwile, kiedy jesteś wręcz niesamowita, jak twój stryjeczny dziadek Henry. On świetnie potrafił ukrywać własne słabości i równie świetnie obnażać słabości swojego oponenta.

– Jeśli chodzi o mnie, nie mam nic do ukrycia – zachnęła się Averil.

– Udowodnię ci, że się mylisz – powiedział z namysłem Rodney.

– Nie wyobrażaj sobie, że zrobisz coś aż tak niegodziwego czy głupiego, Averil. Twój ojciec i ja nie pozwolimy na to – zawołała Joan.

Averil uśmiechnęła się kąciakiem ust i popatrzyła nie na nią, lecz na ojca, niejako zdając się na niego. A on powtórzył:

– Proszę, Joan, zostaw to mnie.

– Uważam – wtrąciła Averil – że mama ma pełne prawo mówić to, co chce.

– Dzięki, Averil. – powiedziała Joan. – I na pewno to zrobię. Otóż, moje drogie dziecko, chcę ci uświadomić, że problem, z którym do nas przychodzisz, jest poza wszelką dyskusją. Jesteś młoda i romantyczna i widzisz świat w fałszywym świetle. Tego, co się robi impulsywnie, na ogół się potem gorzko żałuje. No a pomyśl o ojcu i o mnie. Pomyśl, jak nas zasmucisz. Zawsze bardzo cię kochaliśmy, moje dziecko, dlatego jestem pewna, że nie chcesz, byśmy przez ciebie cierpieli.

Averil wysłuchiwała wszystkiego w milczeniu. Ale nie patrzyła na matkę. Patrzyła na ojca. Potem z krzywym, na pół drwiącym uśmiechem, zapytała:

– Czy masz coś do dodania, ojcze?

– Do dodania? Nic. Natomiast chętnie powiem coś od siebie, ale proszę, zechciej wysłuchać mnie uważnie. A zatem, czy ty rozumiesz, czym tak naprawdę jest małżeństwo?

W oczach Averil pojawił się wyraz zdziwienia. Przez chwilę zbierała myśli, następnie rzekła:

– Chcesz powiedzieć, że małżeństwo to sakrament, tak?

– Nie, nie tak. Tę kwestię zostawmy sumieniu. Tobie natomiast chcę powiedzieć, że małżeństwo to kontrakt.

– Och... – Averil nie powiedziała nic więcej i wyglądała na dość zaskoczona.

– Małżeństwo – kontynuował Rodney – jest kontraktem zawartym między dwojgiem ludzi, ludzi dorosłych, w pełni władz umysłowych i w pełni świadomych, czego się podejmują. To swoisty rodzaj partnerstwa, w którym oboje partnerzy zobowiązują się przestrzegać warunków owego kontraktu, czyli trwać przy sobie w każdym

okolicznościach: w zdrowiu i w chorobie, w bogactwie i w ubóstwie, na dobre i na złe. To, że poślubiani sobie małżonkowie wymawiają owe słowa, „na dobre i na złe” w kościele, z aprobatą i błogosławieństwem kapłana, wcale nie znaczy, że nie są one swoistym kontraktem. Owszem, są, podobnie jak jest nim każda inna ugoda zawierana między dwojgiem ludzi działających w dobrej wierze. A to, że niektóre z kościelnych przyrzeczeń nie wymagają urzędowej pieczęci, wcale nie znaczy, że mniej obligują osoby, które je wypowiedziały. Sądzę, że przyznasz mi słuszność.

– Być może było tak kiedyś – powiedziała Averil, po chwili milczenia. – Jednak dzisiaj na małżeństwo patrzy się inaczej. Dzisiaj nie wszyscy biorą ślub w kościele, więc i nie wszyscy podejmują podobne zobowiązania.

– Może i tak. Ale chyba nie zamierzasz mi wmówić, że osiemnaście lat temu nie zrobił tego Rupert Cargill. Że w tamtych czasach nie wypowiedział w kościele podobnych słów, i to w dobrej wierze.

Averil wzruszyła ramionami.

– Czy przyznasz zatem – mówił dalej Rodney – że choć prawo go do tego nie zmuszało, Rupert Cargill zawarł taki kontrakt z kobietą, która jest jego żoną? Kontrakt na dobre i na złe? Że padły z jego ust słowa: nie opuszczę cię w bogactwie i ubóstwie, zdrowiu i chorobie?

Averil zrobiła się blada jak ściana.

– Nie bardzo rozumiem, ojczu, do czego zmierzasz – powiedziała.

– Do tego, by ci uświadomić, że małżeństwo poza wszystkimi sentymentalnymi uczuciami jest zwykłym kontraktem zawartym w interesie obu stron. Zgadzasz się z tym czy nie?

– Zgadzam się.

– A Rupert Cargill, i to przy twoim współudziale, chce ten kontrakt zerwać. Czy tak?

– Tak.

– Bez oglądania się na prawa i przywileje należne drugiej stronie. Czy tak?

– Żonie nie stanie się żadna krzywda. Jej wcale tak bardzo na Rupercie nie zależy. Ona myśli jedynie o własnym zdrowiu i...

Rodney przerwał jej ostro:

– Nie wymagam, byś bawiła się w jakieś sentymenty. Masz jedynie uznać zaistniałe fakty.

– Nie jestem sentymentalna.

– Jesteś. Nie masz najmniejszego pojęcia, co pani Cargill myśli czy czuje. Jej myśli i uczucia przedstawiasz sobie tak, jak ci wygodnie. A ja życzylbym sobie, byś zauważyła, że ona ma należne sobie prawa.

Averil odrzuciła głowę do tyłu.

– Niech ci będzie. Ona ma te swoje prawa.

– Czy w takim razie zdajesz sobie sprawę, co tak naprawdę robisz?

– Skończyłeś, ojczu?

– Nie, powiem ci jeszcze jedno. Chyba wiesz, że to, co robi doktor Cargill, jest bardzo ważne i że osiągnął już bardzo wiele w swojej dziedzinie. Dzięki metodom, które zastosował w leczeniu tuberkulozy, nadzwyczaj skutecznym i wręcz rewolucyjnym, wyrósł na niezwykle prominentną postać świata lekarskiego. Zatem wiedz też, że cała jego kariera może zostać raz na zawsze zaprzepaszczone. Przez ciebie, przez to, co oboje zamierzacie zrobić. Niestety, tak już jest, że na ogół każde, choćby drobne zawirowanie w życiu prywatnym odbija się fatalnie na życiu zawodowym.

– Usiłujesz mnie przekonać, że powinnam zrezygnować z Ruperta tylko po to, aby on mógł dalej służyć ludzkości, czy tak? – Averil zapytała z lekką drwiną.

– Nie – odparł Rodney z niezwykłą żarliwością w głosie – nie, ja myślę o nim samym, o tym biedaku... Wierz mi, Averil, mężczyzna, który nie może poświęcić się czemuś, do czego stworzyła go natura, jest jedynie w połowie mężczyzną. I tak jak jestem pewien, że tu stoję, tak samo jestem pewien, że jeśli oderwiesz Ruperta Cargilla od jego pracy, to nadejdzie taki dzień, kiedy będziesz przyglądać się bezradnie, jak ten, którego kochasz, zamienia się w nieszczęśliwca, człowieka przegranego, postarzałego przed czasem, zmęczonego i przygnębionego, bez jakiegokolwiek chęci do życia. A jeśli tobie się zdaje, że

twoja miłość czy w ogóle miłość kobiety może mu to wynagrodzić, to ja powiem ci wprost, że jesteś nikim innym jak pierwszą lepszą sentymentalną gąską.

Rodney zamilkł, przechylił się w krześle do tyłu i przesunął ręką po włosach.

– Wolno ci tak uważać, ojczec. Lecz skąd ja mam wiedzieć... – przerwała i zaczęła raz jeszcze: – Skąd mam wiedzieć, że to wszystko, co mówisz...

– Jest prawdą, czy tak? Cóż, odpowiem ci jedynie, że według mnie jest to prawda, bądź co bądź mam za sobą niezły kawałek życia i wiem, co mówię. Masz przed sobą, Averil, także mężczyznę, nie tylko ojca.

– Rozumiem...

– A teraz, Averil – głos Rodneya stracił całą swoją żarliwość, był zmęczony i stłumiony – rozważ to, co ci powiedziałem i albo zaakceptuj, albo odrzuć. Ufam, że nie brak ci odwagi ani wnikliwości.

Averil powoli ruszyła w stronę drzwi. Już z dłonią na klamce odwróciła się i jeszcze raz popatrzyła na ojca.

– Nie wyobrażaj sobie – jej głos zabrzmiał z tak nagłą mściwością, że Joan aż się przeraziła – że kiedykolwiek będę ci wdzięczna. Ja... ja cię chyba nienawidzę.

Drzwi się zamknęły. Chciała pójść za nią, lecz Rodney powstrzymał ją gestem dłoni.

– Zostaw ją samą – rzekł. – Zostaw, proszę. Nie rozumiesz? Wygraliśmy...

ROZDZIAŁ ÓSMY

I to był koniec tamtej historii.

Averil chodziła z kąta w kąt, była bardzo wyciszona. Zapytana, odpowiadała monosylabami. Nie pytana, nie odzywała się do nikogo. Zeszczuplała i zbladła..

Miesiąc później wyraziła życzenie, aby jej pozwolono wyjechać do Londynu i pobierać nauki w szkole dla sekretarek.

Rodney zgodził się od razu. Averil wyjechała, bynajmniej nie udając żalu z powodu rozstania z rodziną.

Po trzech miesiącach przyjechała w odwiedziny. Zachowywała się całkiem normalnie i z tego, co opowiadała, można było wywnioskować, że używa życia.

Joan odetchnęła z ulgą.

– No i widzisz – powiedziała do Rodneya – już po wszystkim. Od razu wiedziałam, że to były tylko dziewczęce fanaberie. Młode dziewczyny często wyobrażają sobie Bóg wie co.

Rodney popatrzył na nią, uśmiechnął się i powiedział:

– Biedna mała Joan.

Och, to jego nieśmiertelne powiedzonko. Zawsze takie irytujące...

– Chyba musisz przyznać, że wtedy było to nie lada zmartwienie.

– Tak – odrzekł. – Niewątpliwie. Tyle że nie twoje, prawda, Joan?

– Rodneyu, jak możesz! Wszystkim, co dotyka moje dzieci, niepokoję się bardziej niż one same.

– Czyżby? Ciekawe...

Stosunki między Averil a jej ojcem najwyraźniej oziębiły się. Zawsze jedno trzymało z drugim. Teraz oboje zachowywali się wobec siebie bardzo oficjalnie. Z drugiej strony, mimo chłodu i pewnej rezerwy Averil potrafiła być całkiem miłą dla matki. Joan przypuszczała, że córka docenia ją teraz o wiele bardziej niż wtedy, gdy była w domu.

Ją samą niewątpliwie cieszyły wizyty Averil, zwłaszcza że zdrowy rozsądek starszej córki zdawał się łagodzić różne domowe zadrażnienia.

Bo oto dorastała Barbara, a to dorastanie okazało się dość trudne.

Ona coraz bardziej trapiła się tym, że młodsza córka, jak się wydawało, nie ma żadnego rozeznania w delikatnej kwestii dobierania sobie przyjaciół. W Crayminster było mnóstwo miłych dziewcząt, lecz Barbara powodowana zwykłą przewrotnością, bo i czymże innym, unikała ich jak ognia.

– One są tak potwornie nudne, mamo.

– Nonsens, Barbaro. Jestem pewna, że Mary i Alison to czarujące dziewczęta. I bardzo zabawne.

– Ależ skądże, mamo. Obie noszą siatki na włosach. Joan popatrzyła na nią zdezorientowana.

– Nie rozumiem, Barbaro? Czy to ma jakieś znaczenie?

– Ma. Siatka do „włosów to coś w rodzaju symbolu.

– Coś mi się zdaje, że pleciesz bzdury, kochanie. A poza tym jest Pamela Grayling; bardzo przyjaźniłam się z jej matką. Dlaczego tak rzadko się z nią spotykasz?

– Och, mam, ona jest beznadziejnie ponura, nijak nie można jej rozruszać.

– Moim zdaniem wszystkie dziewczęta, które znamy, są bardzo miłe.

– Miłe. Wprost koszmarnie. A poza tym, mam, nie myśl, że w tej sprawie liczy się twoje zdanie. – Jesteś niegrzeczna, Barbaro.

– No bo chodzi o to, że to nie ty masz się z nimi spotykać. Stąd ważne jest to, co ja myślę. Lubię Betty Earle i Primrose Deane, ale kiedy przyprawiam je na podwieczorek, zawsze się do nas wtrącasz.

– Cóż, kochanie, one mnie raczej przerażają. Ojciec Betty prowadzi te okropne autokary wycieczkowe i prawdę powiedziawszy, to człowiek bez wykształcenia i ogłady.

– Za to ma mnóstwo pieniędzy.

– Pieniądze to nie wszystko, Barbaro.

– W tej chwili interesuje mnie jedno: czy mogę sama wybierać swoich przyjaciół, czy też nie?

– Oczywiście, że możesz, Barbaro, lecz powinnaś pozwolić, bym toba pokierowała. Jesteś jeszcze bardzo młoda.

– To znaczy, że nie mogę. Na samą myśl o tym, że nie ma takiej rzeczy, którą bym mogła zrobić sama, robi mi się niedobrze! Ten dom to istne więzienie.

W tym momencie wszedł do pokoju Rodney i oczywiście zapytał:

– O jakim więzieniu mowa?

– O domowym! – zawołała Barbara.

Rodney jednak miast serio podejść do sprawy, zaczął się z Barbarą przekomarzać.

– Biedna córeczka, traktowana jak czarna niewolnica – powiedział, śmiejąc się.

– Żebyś wiedział, że tak!

– No to w porządku. Pochwalam niewolnictwo własnych córek.

Barbara chwyciła go w objęcia i wyrzuciła z siebie:

– Tatusiu, kochany, jesteś taki śmieszny. Nigdy nie potrafię długo złościć się na ciebie.

– Nie sądziłam... – zaczęła mówić ze wzburzeniem Joan, lecz Rodney nie zwracał na nią uwagi. Śmiał się i śmiał, a kiedy Barbara wyszła z pokoju, powiedział:

– Nie bierz wszystkiego zbyt poważnie, Joan. Takim dzierlatkom potrzebna jest odrobina szaleństwa.

– Ale te jej okropne przyjaciółki...

– W tym wieku lubi się przesadę we wszystkim, nawet w doborze przyjaciółek. To jej przejdzie, nie martw się.

Łatwo powiedzieć, pomyślała z oburzeniem, „nie martw się”. Co by się stało z nimi wszystkimi, gdyby się o nich nie martwiła? Rodney, doprawdy, jest zbyt niefrasobliwy i nie potrafi zrozumieć matczynych uczuć.

Wkrótce ów niefortunny dobór przyjaciółek przestał być tematem dnia, na horyzoncie bowiem zaczęli się pojawiać młodzi mężczyźni.

George Harmon, a zwłaszcza ten bardzo nie na miejscu młody Wilmore; jakby nie wystarczyło, że był członkiem konkurencyjnej kancelarii adwokackiej (kancelarii, która podejmowała się prowadzenia co bardziej podejrzanych spraw w mieście), to także za dużo pił, za głośno mówił i za bardzo lubił wyścigi. To właśnie z nim, z młodym Wilmore'em, Barbara znikła z ratusza podczas bożonarodzeniowego balu charytatywnego; zjawiła się ponownie pięć tańców później, posyłając w stronę matki na pół zmieszane, na pół wyzywające spojrzenie.

Okazało się, że siedzieli na dachu. Joan była tym zgorszona. Powiedziała Barbarze, że tak zachowują się tylko bardzo nieprzyzwoite dziewczęta.

– Ależ ty jesteś edwardiańska, mam. Przecież to czysty absurd.

– Wcale nie jestem edwardiańska. I pozwól sobie powiedzieć, Barbaro, że znów wracają do łask stare dobre obyczaje. Dziewczęta nie afiszują się z chłopcami, tak jak to robiły dziesięć lat temu.

– Doprawdy, mam, ktoś by sobie pomyślał, że wyjechałam z Tomem Wilmore'em na weekend.

– Dosyć, Barbaro. O czymś takim nie chcę nawet słyszeć. Podobno widziano cię z George'em Harmonem w pubie Pod Psem i Kaczką.

– Och, robiliśmy małą rundkę po barach.

– No cóż, moja droga, jesteś o wiele za młoda na takie eskapady. Nie podoba mi się sposób, w jaki dzisiejsze młode dziewczęta piją napoje alkoholowe.

– Piłam jedynie piwo. A w ogóle to graliśmy w strzałki.

– To mi się też nie podoba. A co więcej, nie życzę sobie na przyszłość podobnych ekstrawagancji. Nie lubię ani George'a Harmona, ani Toma Wilmore'a, i koniec z ich wizytami w domu. Rozumiesz?

– Okay, mam, to twój dom.

– Tak czy inaczej nie rozumiem, co ty w nich widzisz.

Barbara wzruszyła ramionami.

– Czy ja wiem? Są ekscytujący...

– Nie życzę sobie, byś ich zapraszała, słyszysz? Wkrótce Rodney sam przyprowadził młodego

Harmona na niedzielny obiad, co jeszcze bardziej rozszłościło Joan. Uważała, że to tylko świadczy o słabości ojca do córki. Ona oczywiście była do tego stopnia nieprzystępna i lodowata, że wszelkie przyjacielskie zabiegi Rodneya, aby ośmielić speszzonego nieszczęśliwca, spełzły na niczym. George Harmon na przemian to mówił za głośno i butnie, to mamrotał pod nosem i niemal przeproszał, że żyje. Później tamtego wieczoru zrugowała Rodneya, i to dość ostro.

– Chyba doskonale wiedziałeś, że nie pozwoliłam Barbarze przyprowadzać go do domu?

– Owszem, Joan, ale to był błąd z twojej strony. Barbara nie zna się na ludziach. Bierze ich za takich, za jakich chcą uchodzić. Nie odróżnia pozorów od rzeczywistości. I nic dziwnego: kiedy spotyka się z chłopakiem na obcym gruncie, sama nie jest pewna siebie. Co innego zobaczyć takiego delikwenta we własnym domu. Sądzę, że aż do dzisiaj młody Harmon uchodził w jej oczach za niebezpiecznego, ekscentrycznego zabijakę, ale teraz Barbara już wie, że to zwykły chełpliwy głupiec, który za dużo pije i który nie przepracował porządnie choćby jednego dnia w życiu.

– Przecież sama mogłam jej to powiedzieć! Rodney uśmiechnął się.

– Och, Joan, kochana, na dzisiejszej młodej generacji słowa rodziców nie robią żadnego wrażenia, wierz mi.

Nie minęło wiele czasu, a sama się o tym przekonała. Było to podczas jednej z kolejnych krótkich wizyt Averil.

Właśnie podejmowali obiadem Toma Wilmore'a. No cóż, przy chłodnej, krytycznej Averil, chłopak nie miał żadnych szans...

Potem przypadkiem Joan usłyszała, jak siostry rozmawiały.

– Nie podobał ci się, prawda?

Averil wzruszyła pogardliwie ramionami i rzuciła oschle:

– Uważam, że jest okropny. Jeśli chodzi o mężczyzn, Barbaro, wyraźnie brakuje ci dobrego gustu.

Tak oto Wilmore zniknął ze sceny, a niestała Barbara mruknęła któregoś dnia, jak gdyby nigdy nic:

– Tom Wilmore? Och, on jest okropny.

Pewnego razu Joan miała ochotę urządzić u siebie partię tenisa i zaprosić gości, lecz Barbara zdecydowanie odmówiła wszelkiej pomocy.

– Po co to całe zamieszanie, mam. Nic tylko byś kogoś zapraszała. Ja nie cierpię przyjęć, nie mówiąc już o tym, że przychodzą do nas same safandule.

Joan poczuła się urażona, odpowiedziała oschle: – Już sama nie wiem, czego ty chcesz! – Chcę, byś zostawiła mnie w spokoju. Później Joan powiedziała do Rodneya, że Barbara jest ich najtrudniejszym dzieckiem. Rodney zgodził się, aczkolwiek między jego brwiami pojawiła się jakaś zmarszczka.

– Gdyby przynajmniej powiedziała, czego chce – ciągnęła.

– Ona sama tego nie wie. Jest jeszcze bardzo młoda, Joan.

– I dlatego powinniśmy za nią zdecydować.

– Nie, moja droga, Barbara sama musi sobie radzić. Pozwól, by zapraszała do domu swoich przyjaciół, lecz nie wtykaj przy takiej okazji we wszystko nosa i niczego im nie „organizuj”. To tylko zraża młodych.

Tak, pomyślała rozdrażniona, Rodney zachował się wtedy jak typowy mężczyzna. Przecież to takie wygodne – zostawić sprawy własnemu biegowi i nie podejmować żadnych decyzji. Biedny, kochany Rodney, jakby tak dobrze pomyśleć, to należałoby dojść do wniosku, że on zawsze był dość niezdecydowany. W ich małżeństwie to ona musiała i nadal musi podejmować decyzje i twardo stąpać po ziemi. A przecież wszyscy mówią, że taki z niego bystry i skuteczny prawnik.

Przypomniała sobie pewien wieczór, kiedy Rodney, przerzucając kolejne strony miejscowej gazety, natrafił na zawiadomienie o ślubie George'a Harmona z Primrose Deane. Przeczytał je na głos i dodał z tym swoim niewinnym, drażniącym uśmiechem:

– Twoja stara miłość, co, Babs?

Barbara zaśmiała się, była wyraźnie rozbawiona.

– Och, wiem. Szalałam za nim. Jest beznadziejny, nieprawda? Co ja mówię, jest po prostu okropny.

– Dla mnie zawsze był wyjątkowo niepociągającym młodym człowiekiem. Nie potrafię sobie wyobrazić, co w nim widziałas.

– Teraz to i ja nie potrafię. – Osiemnastoletnia Barbara mówiła niedbałym tonem o szaleństwach Barbary siedemnastoletniej. – Ale wtedy, tatusiu, zdawało mi się, że naprawdę jestem w nim zakochana. Myślałam, że mama chce nas rozdzielić i dlatego nawet byłam gotowa z nim uciec, a gdyby któreś z was nas zatrzymało, miałam włożyć głowę do piecyka gazowego i umrzeć. – Oto i nasza Julia!

– Mówię serio, tatusiu – Barbara obruszyła się. – Jak się czegoś nie potrafi znieść, to trzeba się zabić. Joan nie była w stanie dłużej tego słuchać i zaprotestowała gwałtownie:

– Nie wygaduj takich niegodziwych rzeczy, Barbaro. Sama nie wiesz, o czym mówisz!

– Zapomniałam, mam, że jesteś tutaj. Oczywiście ty nigdy nie popełniłabyś samobójstwa. Ty jesteś oazą spokoju i przybytkiem rozsądku. Bez względu na okoliczności.

– Mam nadzieję, że tak.

Z trudem panowała nad sobą. Kiedy Barbara wyszła z pokoju, powiedziała do Rodneya:

– Nie powinienes zachęcać dziecka do wygadywania takich strasznych rzeczy.

– Może to jej było potrzebne.

– Naturalnie nie zrobiłaby czegoś takiego. Nigdy. Rodney zamilkł. Zaskoczona popatrzyła na niego.

– Chyba nie myślisz...

– Nie, Joan, nie myślę. To znaczy nie teraz, kiedy jest starsza, kiedy dochodzi do jakiejś równowagi. Jednak Barbara podchodzi do wszystkiego dość emocjonalnie i równie dobrze możemy kiedyś stanąć z „czymś takim” twarzą w twarz.

– Ależ to śmieszne!

– Tak, dla nas, którzy mamy właściwe wyczucie proporcji. Ale nie dla niej. Ona zawsze i wszystkim tak szalenie się przejmuje. Zawsze ulega chwilowym nastrojom. Nie jest obiektywna i nie ma poczucia humoru. No i jest nad wiek dojrzała, jako kobieta...

– Ależ Rodneyu! To, co mówisz, brzmi niby jakieś koszarne policyjne przesłuchanie.

– Koszarne policyjne przesłuchania dotyczą ludzkiego życia, pamiętaj.

– Tak, lecz dobrze wychowane dziewczyny, takie jak Barbara, chyba nie...

– No proszę, dokończ!

– Czy musimy rozmawiać w ten sposób?

Rodney westchnął.

– Nie, oczywiście, że nie. Wiesz, tak mi się marzy, by Barbara spotkała jakiegoś przyzwoitego młodego człowieka i zakochała się w nim po uszy.

No i potem, jakby w odpowiedzi na cichą modlitwę Rodneya, przyjechał z Iraku młody William Wray i zamieszkał u swojej ciotki, lady Herriot.

Joan zobaczyła go po raz pierwszy mniej więcej w tydzień po jego przyjeździe. Zaanonsowano go i wprowadzono do salonu, pod nieobecność Barbary. Joan spojrzała zaskoczona sponad swojego biurka i zobaczyła wysokiego, solidnie zbudowanego

młodzieńca o bardzo różowej twarzy, zakończonej wystającą brodą. Patrzył na nią poważnie swymi niebieskimi oczami.

W końcu, rumieniąc się, Bili Wray wymamrotał w swój kołnierzyk, że jest siostrzeńcem lady Herriot i że wstąpił... ehm... aby zwrócić raketę panny Scudamore, tę, którą... ehm... panna Scudamore zostawiła parę dni temu.

Joan szybko zebrała myśli i łaskawie podała mu rękę na powitanie.

Powiedziała, że Barbara jest strasznie roztrzępana. Wszędzie zostawia swoje rzeczy. Powiedziała też, że Barbaiy nie ma w domu, ale zapewne niebawem wróci i że byłoby jej miło, gdyby pan Wray został na herbacie.

Pan Wray, jak się zdawało, nie miał nic przeciwko temu, zatem zadzwoniła na pokojówkę, a pana Wraya zapytała o ciotkę.

Problemy zdrowotne lady Herriot zostały omówione w niecałe pięć minut, a potem rozmowa zaczęła kuleć. Pan Wray nie był zbyt rozmowny. Nadal płonał panińskim rumieńcem, siedział sztywno, jakby kij połknał, i w ogóle wyglądał jak na mękach. Na szczęście podano herbatę i atmosfera trochę się rozluźniła.

Wciąż jeszcze paplała uprzejmie (choć z coraz większym wysiłkiem, a mniejszym zapalem), kiedy szczęśliwie w drzwiach salonu stanął Rodney. Powiedział, że udało mu się wyjść wcześniej z kancelarii. Tak, to prawda, Rodney okazał się bardzo użyteczny. Natychmiast zainteresował się Irakiem, zmusił chłopca do kilku odpowiedzi na parę prostych pytań i w ten sposób już niebawem Bili Wray radził sobie całkiem nieźle. Po jakimś czasie obaj panowie przeszli do gabinetu Rodneya. Kiedy Bili, choć chyba niechętnie, opuszczał ich dom, dochodziła siódma.

– Miły kawaler – powiedział Rodney.

– Tak, sympatyczny, ale raczej nieśmiały.

– Zdecydowanie. – Rodney wyglądał na rozbawionego. – Choć nie sądzę, by był to ktoś, komu brakuje pewności siebie.

– Że też musiał tu siedzieć tak potwornie długo!

– Ponad dwie godziny.

– Jesteś pewnie strasznie zmęczony, Rodneyu.

– Och, nie, to był przyjemny wieczór. Ten chłopiec oprócz tego, że ma bardzo dobrze poukładane w głowie, ma także nietuzinkowe poglądy na życie. To umysł z inklinacjami do filozofii. No i nie brakuje mu charakteru. Tak, Bili Wray zdecydowanie mi się spodobał.

– I nawzajem, jak przypuszczam. Żeby zostać tak długo dla rozmowy z tobą...

Ta uwaga ponownie rozbawiła Rodneya.

– Och, przecież nie dla rozmowy ze mną. Nasz niespodziewany gość liczył na powrót Barbaiy. Moja droga, czyżbyś nie potrafiła rozpoznać objawów choroby zwanej miłością? Nie wiesz, skąd to jego zmieszanie? Nie wiesz, dlaczego był czerwony jak burak? Zebranie się na odwagę i przyjście tutaj na pewno wiele go kosztowało, no a kiedy już przyszedł, dama jego serca nie mignęła mu nawet w przelocie. Tak, to typowy przypadek miłości od pierwszego wejrzenia.

Barbara wpadła do domu właśnie w chwili, kiedy zasiadali do kolacji. – Był tu jeden z twoich młodych znajomych,

Barbaro. Siostrzeniec lady Herriot. Przyniósł ci raketę – powiedziała Joan.

– Och, Bill Wray? A więc ją znalazł? A już myślałam, że zapodziała się gdzieś na dobre.

– Zabawił dość długo.

– Szkoda, że się minęliśmy. Byłam w kinie z Crabbesami. Niesamowicie głupi film. Czy Bili nie zanudził was na śmierć?

– Ależ skąd – odparł Rodney. – Spodobał mi się. Rozmawialiśmy o polityce i o Bliskim Wschodzie. Przypuszczam, że to ty byłabyś znudzona.

– Wcale nie. Lubię słuchać, jak ktoś mówi o dziwnych miejscach na świecie. Chciałabym pojechać gdzieś daleko. Nasze Crayminster całkiem mi się przejadło. W każdym razie Bili jest inny.

– A nie mogłabyś pomyśleć o pójściu do pracy? – zasugerował Rodney.

– Phi! Praca, też mi coś. – Barbara zmarszczyła nos. – Chyba wiesz, tato, jaki ze mnie potworny leń. Nie lubię pracować.

– Prawdopodobnie większość ludzi nie lubi – odparł Rodney.

Barbara podbiegła i objęła ojca. – Ty pracujesz o wiele za ciężko. Zawsze tak uważałam. Tak nie można, tatusiu!

Następnie, uwalniając go ze swych objęć, powiedziała:

– Zadzwoń do Billa. Mówił mi coś o wyjeździe do Marsden, na wyścigi...

Rodney stał i patrzył za nią, jak idzie do telefonu na końcu korytarza. Patrzył dziwnie, pytająco, niepewnie.

Spodobał mu się Bili Wray, tak, niewątpliwie spodobał mu się od razu.

Dlaczego zatem zaniepokoił się, kiedy któregoś dnia Barbara wpadła do domu jak burza i oznajmiła, że ona i Bili zaręczyli się i że chcą się natychmiast pobrać, a później wyjechać do Bagdadu?

Bili był młody, miał rozległe znajomości, pieniądze i widoki na przyszłość. No więc, dlaczego Rodney miał obiekcje i sugerował dłuższy okres zaręczyn? Dlaczego marszczył czoło, robił niewyraźne miny i sprawiał wrażenie zakłopotanego? A potem, tuż przed ślubem, wybuchnął nieoczekiwanie, że Barbara jest za młoda?

No dobrze, Barbara prędko sobie z ojcem poradziła, i za pół roku wyszła za Billa i wyjechała do Bagdadu, a z kolei Averil ogłosiła swoje zaręczyny z maklerem giełdowym, niejakim Edwardem Harrisonem-Wilmottem.

Harrison-Wilmott był spokojnym, sympatycznym mężczyzną, miał około trzydziestu czterech lat i był bardzo dobrze sytuowany.

Joan wydawało się, że wszystko ułożyło się wspaniale. Rodney unikał rozmów na temat zaręczyn Averil, lecz kiedy go wreszcie przycisnęła, powiedział:

– Tak, tak, świetne rozwiązanie. Edward to sympatyczny gość.

Po ślubie Averil, Joan i Rodney zostali w domu sami.

Jeśli chodzi o Tony'ego, ten oblał egzaminy w college'u rolniczym (a w ogóle to przysporzył rodzicom niemało zgrzyzot i był przyczyną ich niepokoju). Ostatecznie wylądował w Afryce, w Rodezji, gdzie pewien klient Rodneya miał dużą farmę i uprawiał pomarańcze.

Tony pisywał do nich entuzjastyczne, chód niezbyt długie listy. Któregoś dnia raczył poinformować rodziców o swoich zaręczynach z pewną dziewczyną z Durbanu. Joan była zaniepokojona nagłą decyzją syna o poślubieniu kobiety, której oni nigdy nie widzieli na oczy.

– Ta panna nie ma żadnych zasobów, to jedno – powiedziała do Rodneya – a drugie, co my o niej wiemy? Nic, w ogóle nic.

Rodney był zdania, że to zmartwienie Tony'ego.

– Nam pozostaje jedynie żywić nadzieję, że wszystko ułoży się jak najlepiej i że panna, przynajmniej na fotografii, sprawia wrażenie milej dziewczyny, a co ważniejsze, chyba jest skłonna zaczynać z Tonym nowe życie prawie od zera – stwierdził.

– Ach, jak nic zostaną tam na zawsze i nawet nie wiadomo, czy nas kiedykolwiek odwiedzą. Tony'ego powinno się zmusić do pracy w kancelarii. Mówiłam to swego czasu!

Rodney uśmiechnął się i stwierdził, że on nie jest zbyt dobry w zmuszaniu ludzi do czegokolwiek.

– Ależ, mój drogi, przynajmniej trzeba było spróbować. Ustatkowałby się jak każdy inny.

Rodney przytaknął, lecz dodał, że bał się ryzyka.

– Ryzyka? Jakiego ryzyka?

– Takiego – usłyszała w odpowiedzi – że chłopiec mógłby być całe życie nieszczęśliwy.

– Nic, tylko te ciągłe rozmowy o szczęściu – zniecierpliwiała się. – W tym domu, jak mi się zdaje, nikt nie myśli o niczym innym. A przecież jest parę rzeczy ważniejszych od szczęścia.

– Jakich? – zapytał Rodney.

– Jakich? – zawahała się przez chwilę, po czym powiedziała: – Choćby obowiązek.

– Co jak co, ale nikt nie ma obowiązku zostawać prawnikiem – odparł Rodney.

Odrobinę poirytowana odparowała, żeby nie wypaczał jej słów.

– Doskonale wiem, o czym mówię. Mówię mianowicie o tym, że obowiązkiem Tony'ego było sprawić radość swojemu ojcu, a nie rozczarowywać go.

– Tony mnie nie rozczarował.

– Ale to – wykrzyknęła – że jedyny syn wynosi się gdzieś na drugi koniec świata i że rodzice prawdopodobnie już nigdy go nie zobaczą, to ojcu na pewno nie powinno się podobać!

– Nie – powiedział Rodney i westchnął. – Nie. To nie tak. Nie ukrywam, że bardzo mi go brakuje. Że nie miałbym nic przeciwko temu, żeby kręciło się po domu takie radosne, pogodne stworzenie jak nasz chłopiec. Tęsknię za nim, to prawda...

– A widzisz? I dlatego powinieneś być stanowczy!

– Zrozum, Joan, ostatecznie to jego życie. Nasze, lepsze czy gorsze, już się skończyło, to znaczy skończyły się lata naszej aktywności.

– Tak... chyba masz rację. – Zamyśliła się, po czym dodała: – Udało nam się. Mieliśmy przyjemne życie. I oczywiście nadal je mamy.

– Cieszę się, że tak uważasz.

Uśmiechnął się do niej. Rodney miał miły uśmiech, choć nieco denerwujący. Czasami nawet odnosiła wrażenie, że on uśmiechając się, patrzy na coś, czego ona nie widzi.

– Bo też to prawda – powiedziała. – Tworzymy bardzo dobraną parę.

– Istotnie, nieczęsto się kłócimy.

– No i powiodło się nam, jeśli chodzi o dzieci. To potworne, mieć dzieci w jakiś sposób nieudane albo nieszczęśliwe czy co tam jeszcze.

– Moja śmieszna mała Joan...

– Och, Rodney, to naprawdę byłoby bardzo denerwujące.

– Nie zdaje mi się, by cokolwiek potrafiło cię na dłuższej wytracić z równowagi.

– No cóż – przyznała – ja po prostu mam taką naturę, jestem zrównowazona. Myślę, że każdy z nas powinien się starać panować nad sytuacją i nie poddawać się złu.

– Godne podziwu i wygodne zapatrywanie!

– To chyba miłe uczucie – powiedziała z uśmiechem – świadomość, że jest się człowiekiem sukcesu?

– Tak – Rodney westchnął. – Przypuszczam, że bardzo miłe.

Ona zaśmiała się i kładąc mu dłoń na ramieniu, lekko nim potrząsnęła.

– Nie bądź zbyt skromny, Rodney. W całej okolicy nie ma adwokata lepszego od ciebie. Już dawno przerosłeś wujka Henry'ego.

– To prawda, kancelaria ma się nieźle.

– Rodney, powiedz mi, czy nowy wspólnik nie oznacza powiększenia kapitału? Nie chcielibyście przyjąć kogoś nowego?

Rodney potrząsnął głową przecząco.

– Nie, raczej kogoś młodego. Obaj z Aldermanem powoli się starzejemy.

Tak, pomyślała, to prawda. W ciemnych włosach Rodney a wciąż przybywało siwych pasemek.

Joan podniosła się i spojrzała na zegarek.

Ranek upłynął jej tak szybko i całkiem miło. Tym razem dała odpór głupim i przygnębiającym myślom.

Pomyślała, że pojęcie „dyscyplina” wcale nie jest czczym frazesem. Powinno się zaprowadzić porządek w myśleniu i przywoływać na pamięć jedynie te wspomnienia, które są miłe i które dają człowiekowi pewną porcję satysfakcji. Tak właśnie postąpiła tego ranka – i proszę, oto jak prędko minął. Jeszcze tylko drobne półtorej godziny, a nadejdzie pora lunchu. Może lepiej zrobi, wychodząc na krótki spacer. Całkiem króciutki, dookoła zajazdu. Trochę ruchu nie zaszkodzi, zwłaszcza że kolejne posiłki będą pewnie ostre i ciężko strawne.

Poszła do sypialni, założyła swój gruby filcowy kapelusz i wyszła na dwór.

Arabski chłopiec klęczał na ziemi, twarzą zwrócony w stronę Mekki, wypowiadał słowa modlitwy, piskliwie zawodząc.

– On odmawiać południową modlitwę – usłyszała za sobą głos Hindusa.

Skinęła głową. Zupełnie niepotrzebna informacja, pomyślała z niechęcią. Przecież sama widzę, co chłopiec robi.

– On mówić, że Allah jest bardzo litościwy, bardzo miłosierny.

– Wiem – odparła Joan i wolnym krokiem ruszyła w stronę zasieków, wyznaczających teren stacji kolejowej.

Przypomniała jej się pewna scena, jak to kilku Arabów, sześciu, może siedmiu, próbując odgrzebać z piasku starego, zdezelowanego forda, pchało go i ciągnęło każdy w inną stronę. William Wray powiedział wówczas, że choć mają dobre intencje, ich zabiegi są daremne. A jednak oni wierzyli, że doprowadzą całą rzecz do pomyślnego końca, albowiem „Allah jest miłosierny”.

Allah, pomyślała wówczas, nie ma tu nic do rzeczy, bo poza cudem nic nie jest w stanie wygrzebać samochodu z piasku tak długo, jak długo będzie się go ciągnąć w przeciwnych kierunkach!

A jednak dziwne – tamci Arabowie sprawiali wrażenie absolutnie szczęśliwych i zadolowanych z siebie. Ich „in sza Allah”, jeśli Bóg zechce, zdawało się zastępować wszelkie rozsądne działania, takie, jakie każdy zdrowo myślący człowiek zwykł podejmować dla osiągnięcia swego celu. Nie, Joan takie postępowanie nie wydawało się słuszne. Człowiek powinien zawsze myśleć i planować. Aczkolwiek, jeśli się trafi do Tell Abu Hamid, czyli w sam środek niczego, to być może ani myślenie, ani planowanie w ogóle nie jest potrzebne.

Jeśli pobędę tu dłużej, to niewątpliwie zapomnę, jaki jest dzień tygodnia...

Dzień tygodnia? Niech no ja zobaczę... dzisiaj jest... dzisiaj jest czwartek? Tak, dzisiaj jest czwartek, a więc zjawiłam się tutaj w poniedziałek wieczorem...

Tymczasem doszła do zasieków i prawie tuż za nimi zobaczyła mężczyznę. Miał karabin, a jego strój przypominał mundur. Chyba spał – wsparty o jakąś wielką skrzynię. Pewnie jakiś strażnik, pomyślała. Pilnuje kolei albo granicy. Lepiej zrobię, nie idąc dalej, bo a nuż się obudzi i strzeli do mnie. W Tell Abu Hamid wszystko jest możliwe...

Wycofała się po swoich śladach i następnie zatoczyła niewielki krąg wokół zajazdu. W ten sposób wydłużyła spacer, jednocześnie nie doznając tego dziwnego uczucia agorafobii (jeśli to w ogóle była agorafobia).

Niewątpliwie, myślała z zadowoleniem, rano upłynął bardzo przyjemnie. Udało mi się przemysleć wszystko to, za co powinienam być wdzięczna opatrznosci. Małżeństwo Averil z drogim Edwardem, takim solidnym i zasługującym na zaufanie człowiekiem, no i tak dobrze sytuowanym, co przecież też się liczy; dom Averil w Londynie był wprost uroczy i znajdował się tuż obok Harrodsa. I małżeństwo Barbary. I Tony'ego. Chociaż tym ostatnim raczej trudno byłoby się pochwalić; w gruncie rzeczy ja i Rodney nic o nim nie wiemy, a sam Tony nie przyniósł nam tyle chluby, ile można by się spodziewać po jedynym synu. Tony powinien był zostać w Crayminster i pracować w kancelarii Alderman, Scudamore & Witney. Powinien był ożenić się z jakąś odpowiednią angielską panną, prowadzić otwarty dom i naśladować swojego ojca.

Biedny Rodney, z włosami naznaczonymi siwizną i bez syna, który mógłby zastąpić go kiedyś w kancelarii.

No cóż, prawdę mówiąc, Rodney nie był surowym ojcem i nie był zbyt stanowczy w stosunku do syna. Niestety, stanowczość, to cecha, której Rodneyowi brakuje. Gdzież by był teraz, gdybym przynajmniej ja nie chodziła twardo po ziemi? Poczula, jak rozgrzewa ją mały płomyczek samozadowolenia. Traciłby prawdopodobnie wszystkie swoje aktywa i usiłował zaciągać pożyczki pod hipotekę jak stary Hoddesdon. Ciekawe, czy on w dostatecznym stopniu docenia to, co dla niego zrobiłam...

Zapatrzyła się w płynną linię horyzontu. Jaki dziwny efekt falowania... Oczywiście, pomyślała, to miraż!

Tak, to tylko miraż... coś w rodzaju oczek wodnych na piasku. Wcale nie to, co człowiek sobie wyobraża, kiedy usłyszy słowo miraż, nic konkretnego, żadne drzewa czy miasta...

Ale nawet te mało widowiskowe, falujące oczka wodne były wystarczająco osobliwe, by zadać sobie pytanie, co tak naprawdę jest rzeczywiste?

Wypowiedziała głośno słowo „miraż”. Zdawało się, że ma ono swoją wagę.

O czym to przed chwilą myślałam? Och, oczywiście, o Tonym i o tym, jak bardzo mój jedyny syn jest samolubny i bezmyślny.

Tony zawsze przysparzał rodzicom kłopotów. Z jednej strony był taki niezdecydowany, taki pozornie grzeczny, a z drugiej, sympatycznie się uśmiechając, robił dokładnie to, co chciał. I nigdy nie był jej tak oddany, jak syn powinien być oddany własnej matce. Co więcej, odnosiła wrażenie, że dla niego od urodzenia liczył się jedynie ojciec.

Pamiętała, jak kiedyś jako siedmioletni chłopczyk otworzył drzwi do pokoju, w którym spał Rodney, i obwieścił całkiem prozaicznie: – Zdaje mi się, tatusiu, że zamiast grzybów jadalnych zjadłem muchomora, ponieważ mam okropne bóle i chyba umieram. Przychodzę więc, żeby umrzeć przy tobie.

Faktycznie w grę nie wchodziły ani grzyby jadalne, ani muchomory. Tony miał ostre zapalenie wyrostka i nim minęły dwadzieścia cztery godziny, już było po operacji. Ale Joan ciągle myślała, że to dziwne, iż wówczas dziecko przyszło do Rodneya, nie do niej. O wiele bardziej naturalne byłoby, gdyby Tony szukał ratunku u matki.

Tak, Tony przysporzył jej wiele zmartwień. Był leniwy w szkole, nie lubił się bawić. I chociaż był bardzo ładnym chłopcem, okazji do pochwalenia się jego urodą miała doprawdy niewiele; po pierwsze chyba nie lubił bywać z nią gdziekolwiek, po drugie miał ten swój irytujący zwyczaj wtapiania się otoczenie właśnie wtedy, kiedy ona się za nim rozglądała.

„Barwy ochronne”, chyba tak to kiedyś nazwała Averil. Jeśli chodzi o przybieranie barw ochronnych, Tony jest najzdolniejszy z nas wszystkich”.

Nie całkiem zrozumiała, co Averil chciała przez to powiedzieć, a jednak poczuła się odrobinę dotknięta...

Popatrzyła na zegarek. Dosyć tego spacerowania w upale. Trzeba wracać do zajazdu. To był wspaniały ranek – spokojny bez nieprzyjemnych myśli, bez obawy przed otwartą przestrzenią...

Doprawdy, zawołał z oburzeniem jej wewnętrzny głos, przemawiasz niczym zawodowa pielęgniarka. Jak ci się zdaje, Joan Scudamore, kim ty jesteś?

Inwalidką? Przypadkiem psychiatrycznym? Nie przesadzasz, myśląc z taką dumą o sobie? I czy jest w tym coś nadzwyczajnego, że ranek upływa komuś w normalnym, przyjemnym nastroju?

Weszła szybko do zajazdu i z przyjemnością zauważyła, że na lunch dla odmiany podano gruszeki.

Po posiłku poszła do siebie i położyła się na łóżku.

Gdybym tak mogła przespać czas aż do podwieczorku...

Niestety, nie chciało jej się spać. Zamknęła oczy, ale sen nie przychodził. Jej umysł nadal był jasny i rozbudzony, a ciało spięte i czujne, jak gdyby na coś czekało... jak gdyby chciało się bronić przed czającym się gdzieś w kacie niebezpieczeństwem.

Muszę się zrelaksować, myślała, muszę się zrelaksować.

Już kiedyś tak się czułam. Ale kiedy i gdzie? Poszperała w pamięci i... tak, to było właściwe porównanie: czuła się tak jak w poczekalni u dentysty.

To uczucie, że masz przed sobą coś nieskończenie nieprzyjemnego, to nakazywanie sobie spokoju, to odwracanie myśli i jednocześnie ta zbijająca z nóg świadomość, że tak czy inaczej trzeba będzie przejść przez ciężkie doświadczenie...

Ale teraz? Przez jakie doświadczenie miałabym przejść właśnie teraz?

Co miało się zdarzyć?

Jaszczurki, pomyślała, pochowały się w swoich norkach... to dlatego, że zbliża się burza... spokój przed burzą... oczekiwanie... oczekiwanie...

O Boże, oto na powrót popadam w jakiś dziwny chaos.

Panna Gilbey... dyscyplina... duchowe rekolekcje...

Rekolekcje! Powinnam oddać się rozważaniom. Mantra... odśpiewywanie mantry... Teozofia? Buddyzm?

Nie, nie, powinnam trwać przy własnej religii. Rozważania o Bogu. O miłości do Boga. Bóg... Ojciec nasz, który jesteś w niebie...

Jej własny ojciec, jego prosto przycięta, ruda marynarska broda, jego głębokie, przenikliwe, niebieskie oczy, jego zamiłowanie do utrzymywania domu we wzorowym porządku. Dobrotliwy pedant, oto kim był jej ojciec, emerytowany admirał. I jej matka, wysoka, szczupła kobieta, wiecznie roztrzepana i nieporządna, beztroska i pełna słodyczy. Na jej matkę nikt się nigdy nie gniewał. Dla jej matki zawsze znalazło się jakieś usprawiedliwienie, choć niejednego potrafiła doprowadzić do białej gorączki.

Jej matka wychodziła na przyjęcia w rękawiczkach nie od pary i w przekrzywionej spódnicy, albo w kapeluszu krzywo przyszpilonym do koka

stalowosiwych włosów, a przy tym absolutnie szczęśliwa i pogodna i absolutnie nieświadoma jakichkolwiek uchybień w swoim wyglądzie. Admirał się złościł, ale nigdy na żonę. Jego złość spadała na córki.

– Dlaczego wy, dziewczęta, nie miałybyście zadbać o waszą matkę? Jak możecie pozwolić, by wyglądała tak, jak wygląda! Nie życzę sobie podobnego niedbalstwa! – ryczał.

One, jego trzy córki, mówiły posłusznie:

– Masz rację, ojczu. – A potem jedna do drugiej: – Wszystko to bardzo piękne, lecz doprawdy mama jest niemożliwa!

Oczywiście Joan bardzo kochała matkę, lecz ta miłość nie czyniła jej ślepa na fakt, że matka, mówiąc bez ogródek, była wyjątkowo nieznośną kobietą. Jej wesołe usposobienie i serdeczność raczej nie równoważyły braku systematyczności i logiki w postępowaniu.

Po śmierci matki przeżyła coś w rodzaju szoku. Porządkując papiery, natknęła się na list od ojca, pisany z okazji dwudziestej rocznicy ślubu.

Żałuję niezmiernie, że w takim dniu nie mogę być z Tobą, moje kochanie. Chciałbym umieć powiedzieć Ci w tym liście, czym jest dla mnie twoja miłość, czym była przez wszystkie nasze wspólne lata i o ile droższa jesteś memu sercu dzisiaj niż kiedykolwiek przedtem. Twoja miłość jest dla mnie błogosławieństwem, ukoronowaniem mego życia i dziękuję za nią Bogu, dziękuję Bogu za Ciebie...

Jakoś nigdy nie zdawała sobie sprawy, że jej ojciec żywił wobec jej matki aż tyle uczucia...

Rodney i ja, pomyślała, w październiku będziemy obchodzić nasze dwudziestopięciolecie. Nasze srebrne gody. Jakie by to było miłe, gdyby napisał do mnie taki list...

Zaczęła ten list sama układać w myślach.

Najdroższa Joan, sądzę, że powinienem napisać, ile Ci zawdzięczam... i ile dla mnie znaczysz... Nie masz pojęcia, to pewne, jak wielkim błogosławieństwem jest dla mnie Twoja miłość...

Taki list, pomyślała, przerywając ćwiczenia z wyobraźni, raczej nie wydaje mi się realny. Niemożliwe, by Rodney coś takiego napisał... chociaż, oczywiście, Rodney bardzo mnie kocha... tak, on mnie bardzo kocha...

Dlaczego powtarzam to sobie z takim wyzwaniem? Dlaczego czuję na skórze taki dziwny zimny dreszczyk...? Więc o czym to myślałam przedtem?

No proszę! Znow to samo. Miałam oddać się duchowym medytacjom, a zamiast tego wdaję się w rozmyślanie o zwykłej codzienności – o ojcu i matce, od dawna już nieżyjących.

Zmarli oboje, zostawiając mnie samą sobie.

Samą na pustyni. Uwięzioną w tym bardzo nieprzyjemnym pokoju.

Nawet nie mam o czym myśleć, poza sobą...

Poderwała się. Żadnego pożytku z leżenia, kiedy nie można zasnąć...

Ach, jakże nienawidzę tych wysokich pokoi z ich małymi oknami zasłoniętymi drucianą siatką. Te pokoje człowieka osaczają. Człowiek czuje się w nich zerem. Potrzebuję powietrza, dużego salonu, przyjemnych kretonowych zasłon, trzaskającego w kominku ognia i ludzi – mnóstwa ludzi, ludzi, do których mogłabym pójść z wizytą, ludzi, którzy mogliby przyjść z wizytą do mnie...

Doprawdy, pociąg musi wkrótce nadejść. Pociąg powinien wkrótce nadejść. Albo samochód... albo w ogóle coś...

– Ja nie mogę tutaj zostać – powiedziała na głos. – Nie mogę tutaj zostać!

Przyszło jej na myśl, że mówienie do samej siebie, to bardzo zła oznaka.

Poprosiła o herbatę, a potem wyszła z zajazdu. Czowała, że nie wytrzymałaby dłużej w zamknięciu, sam na sam z myślami.

Postanowiła przejść się i nie myśleć.

Myślenie, oto, co wyprowadzało ją z równowagi. Popatrz na ludzi, którzy tu mieszkają na stałe, podpowiadał jej wewnętrzny głos, na Hindusa, na arabskiego chłopca, na kucharza. Ci nigdy nie myślą, to pewne.

„Czasami ja siedzieć i myśleć, a czasami tylko siedzieć...”

Kto to powiedział? I jakież to cudowny sposób na życie!

Nie powinna myśleć. Wystarczy, jak będzie spacerować. Na wszelki wypadek nie za daleko od zajazdu. Tak, na wszelki wypadek...

Zatoczyła wielkie koło. Raz, i jeszcze raz, i jeszcze. Jak jakieś zwierzę. To przecież upokarzające. Tak, to upokarzające, ale niech tam. Przecież musi na siebie uważać, bardzo uważać. Bo inaczej...

Inaczej co? Nie wiedziała. Nie miała pojęcia.

Nie wolno mi myśleć o Rodneyu, powtarzała sobie w duchu, nie wolno mi myśleć o Averil, nie wolno mi myśleć o Tonym, nie wolno mi myśleć o Barbarze. Nie wolno mi myśleć o Blanche Haggard. Nie wolno mi myśleć o szkarłatnych kwiatach rododendronu. (Zwłaszcza nie wolno mi myśleć o szkarłatnych kwiatach rododendronu!) Nie wolno mi myśleć o poezji... Nie wolno mi myśleć o Joan Scudamore. Ale przecież to jestem ja! Nie, to nie jestem ja. Tak, jestem... Jeśli nie miałabyś o czym myśleć, tylko o sobie, to czy przypadkiem nie dowiedziałabyś się czegoś na swój temat?

– Nie chcę się niczego dowiadywać – powiedziała głośno.

Zdziwił ją dźwięk własnego głosu. A właściwie dlaczego nie miałaby się czegoś dowiedzieć?

To jest niby bitwa, pomyślała, walczę w przegranej bitwie.

Lecz przeciw komu? Przeciwno czemu?

Nieważne, pomyślała. Nie chcę tego wiedzieć...

Do diabła z tym. Tak, do diabła.

Jakie dziwne uczucie... jakby ktoś szedł obok mnie. Ktoś, kogo znam całkiem nieźle. Jeśli odwrócę głowę... Odwróciła. I co? I nikogo obok nie ma. Nikogo nie ma ani obok, ani trochę dalej. W ogóle nikogo tu nie ma.

Mimo to nie mogła pozbyć się uczucia, że ktoś obok niej idzie. Zaczęła się bać. Rodney, Averil, Tony, Barbara – nikt z nich nie potrafiłby mi pomóc, nikt nie mógłby mi pomóc, nikt nie chciałby mi pomóc. Żadne z nich się mną nie przejmuje.

Powinam wrócić do zajazdu i uwolnić się od tego kogoś, kto mnie szpieguje, bez względu na to, kim ten ktoś jest.

Szła niezbyt zdecydowanym krokiem, a Hindus stał za siatkowymi drzwiami. Nie podobał jej się sposób, w jaki na nią patrzył.

– Co to znaczy? – spytała. – O co chodzi?

– Memsahib nie wyglądać dobrze. Może memsahib mieć gorączkę?

Tak, to jest to. Oczywiście, że to. Mam gorączkę! Jakie to głupie, że nie wpadłam na to wcześniej. Czym prędzej weszła do środka. Powinam zmierzyć sobie temperaturę, poszukać chininy. Przecież mam gdzieś w bagażach chininę.

Włożyła termometr pod język.

Gorączka, oczywiście, chodzi o zwykłą gorączkę! Chaotyczne myśli, bezimienne lęki, obawy, gwałtowne bicie serca, a wszystko razem najzwyczajniej w świecie sprowadza się do czysto fizycznej dolegliwości.

Wyjęła termometr z ust i spojrzała na skalę.

36,6. Nawet mniej niż normalnie.

Jakoś przeżyła wieczór, ale jej stan na dobre ją zaalarmował. To nie było porażenie słoneczne, to nie była gorączka, to na pewno były nerwy.

„To tylko nerwy”, mówią ludzie. Nieraz sama tak mówiłam o innych. W porządku, nie wiedziałam, co to znaczy. Teraz wiem. To tylko nerwy, dobre sobie! Nerwy to piekło! Potrzebny jest mi lekarz, miły, współczujący lekarz, i domowa opieka, i uprzejma, kompetentna pielęgniarka, która nigdy nie opuszcza pokoju. „Pani Scudamore nie powinna zostawać sama”. To, co mam teraz, to pobielana więzienna cela w środku pustyni, niezbyt rozgarnięty Hindus, imbecylny arabski chłopiec i kucharz, który niebawem poda mi miskę ryżu, łososia z puszki, fasolę w sosie pomidorowym (z puszki) i ugotowane na twardo jajka.

Joan czuła się bardzo nieszczęśliwa...

Po kolacji poszła do pokoju i popatrzyła na słoiczek z aspiryną. Zostało tylko sześć tabletek. Lekko myśląco połknęła wszystkie. Na jutro nie zostało nic, ale czuła, że powinna coś zrobić. Pomyślała, że nigdy więcej nie wyruszy w podróż bez czegoś na sen.

Rozebrała się i z lękiem położyła do łóżka.

Dziwne, lecz zasnęła prawie natychmiast.

Tej nocy śniło jej się, że jest w dużym więziennym gmachu pełnym krętych korytarzy. Usiłowała się stamtąd wydostać, lecz nie potrafiła odnaleźć drogi mimo całkowitej pewności, że ją zna...

– Tylko sobie przypomnij – powtarzała żarliwie – tylko sobie przypomnij...

Rano obudziła się całkiem spokojna, choć zmęczona.

– Tylko sobie przypomnij – powiedziała na głos.

Wstała, ubrała się i zjadła śniadanie.

Czuła się całkiem dobrze, tylko trochę się bała, nic poza tym.

Prawdopodobnie niedługo znów wszystko się zacznie, pomyślała w duchu. Trudno, nic na to nie poradzę.

Usiadła apatycznie na krześle. Niebawem wyjdę na dwór, postanowiła, ale jeszcze nie teraz.

Nie próbowała myśleć o niczym szczególnym i nie próbowała nie myśleć w ogóle. I jedno, i drugie było zbyt męczące. Pozwoliła myślom dryfować wedle woli.

Kancelaria adwokacka Alderman, Scudamore & Witney. Segregatory z dokumentami. Na segregatorach białe nalepki. Nieruchmość zmarłego sir Jaspersa Ffoulkesa. Pułkownik Etchingham Williams. Coś w rodzaju rekwizytów scenicznych.

Twarz Petera Sherstona, na jej widok skwapliwie unosząca się znad biurka. Jakże bardzo Peter jest podobny do swojej matki, pomyślała wtedy. No nie, niezupełnie, Peter ma oczy Charlesa Sherstona. Ma to jego szybkie, ukradkowe, uciekające w bok spojrzenie. Gdybym była Rodneyem, nie ufałabym mu zbyt wiele.

Zabawne, że tak właśnie pomyślała! Po śmierci Leslie Charles Sherston zupełnie się załamał. Zapił się na śmierć w rekordowym tempie. Dwójkę dzieci uratowali krewni. Trzecie dziecko, dziewczynka, umarło w sześć miesięcy po urodzeniu.

John, starszy chłopiec, ruszył w świat i wylądował gdzieś w Birmie. Joan przypominała sobie Leslie i te jej ręcznie malowane lniane zasłony. Jeśli John jest do niej podobny i jeśli pragnął, tak jak ona, zobaczyć rośliny, które prędko rosną, to na pewno jest teraz bardzo szczęśliwy. Słyszała, że radzi sobie bardzo dobrze.

Peter Sherston przyszedł do Rodneya i poprosił o pracę w kancelarii.

– Moja matka powiedziała mi kiedyś, że jest pewna, iż pan mi pomoże, proszę pana – powiedział. Przystojny, bezpośredni, uśmiechnięty, zawsze pełen entuzjazmu, zawsze przymilny. Zdaniem Joan bardziej udany od brata. Rodney się ucieszył.

Możliwe, że była to dla niego swoista rekompensata za utratę Tony'ego, który wolał wyjechać za morze. Całkiem możliwe, że z biegiem czasu Rodney zacząłby traktować Petera niemal jak syna. Chłopiec często bywał u nich w domu i wobec Joan zawsze zachowywał się szarmancko. Był sympatyczny, swobodny w obejściu, a przy tym wcale nie był obłudny, jak kiedyś jego ojciec.

A potem, któregoś dnia, Rodney wrócił do domu wyraźnie przybity, niemal chory. Kiedy zagadnęła, co się stało, odparł niecierpliwie, że nic się nie stało, w ogóle nic. Ale jakiś tydzień później powiedział, że Peter odchodzi z kancelarii, że zdecydował się na pracę w zakładach lotniczych.

– Och, Rodneyu, a ty byłeś dla niego taki dobry. No i oboje tak bardzo go lubiliśmy!

– Dał się lubić, przyznaję. A poza tym to interesujący młody człowiek.

– Więc o co chodzi? Jakies kłopoty? Był leniwy?

– Och, nie, Peter ma głowę do rachunków i tego rodzaju rzeczy.

– Jak jego ojciec?

– Tak, jak jego ojciec. Lecz dzisiaj młodych ludzi pociągają nowe odkrycia, latanie, no i cała ta reszta.

Ale ona już nie słuchała. Jej własne słowa naprowadziły ją na pewien trop. Peter Sherston odchodził całkiem nagle.

– Rodneyu, nie stało się nic złego, prawda?

– Złego? Co chcesz przez to powiedzieć? – Chcę powiedzieć... cóż, chyba nie poszedł

w ślady ojca? Usta ma takie jak Leslie, lecz ma też to zabawne, ukradkowe spojrzenie, takie, jakie miał Charles Sherston. Och, Rodney, to prawda, tak? Powiedz, czy coś zrobił?

– Faktycznie, mieliśmy trochę kłopotów – powiedział powoli Rodney.

– Coś z rachunkami? Wziął pieniądze?

– Wolałbym o tym nie mówić, Joan. To nic ważnego.

– Nieuczciwy jak ojciec! Czyż to nie dziwna dziedziczność?

– Bardzo dziwna. Nigdy nie wiadomo, co dziecko odziedziczy po rodzicach.

– Sądzisz, że równie dobrze ma to po Leslie? Rzeczywiście, Leslie nie była jakąś wyjątkowo solidną osobą, prawda?

– Moim zdaniem była bardzo solidna – odparł oschle. – Zawsze wywiązywała się ze swoich obowiązków, i to dobrze.

– Biedne stworzenie.

– Przestań się nad nią rozczulać – rzucił poirytowany. – To mnie drażni.

– Ależ, Rodney, to nieładnie z twojej strony. Ona naprawdę minia smutne życie.

– Wcale tak nie uważam. – A potem ta śmierć...

– Wolałbym, żebyś o tym nie mówiła. Odwrócił się.

Ludzie boją się raka, pomyślała. Wzdragają się na sam dźwięk tego słowa. Zastępują je, czym się da – złośliwy nowotwór, poważna operacja, nieuleczalna choroba, wewnętrzna choroba. Nawet Rodney nie lubi o nim wspominać. To zrozumiałe; ostatecznie nigdy nic nie wiadomo – podobno umiera na niego co dwunasty człowiek. No i wygląda na to, że całkiem często atakuje zupełnie zdrowych ludzi. Ludzi, którym nigdy nic nie dolegało.

Usłyszała tę wiadomość od napotkanej na Market Square pani Lambert.

– Moja droga, słyszała pani? Biedna pani Sherston!

– A co jej się stało?

– Nie żyje! – zawołała z werwą. Po czym zniżyła głos: – Coś w środku... Coś, czego nie dało się operować... Słyszałam, że potwornie cierpiała, choć na dzielności jej nigdy nie zbywało. Pracowała prawie do samego końca, a potem to już naprawdę trzymali ją tylko na morfinie. Żona mojego bratanka widziała ją jakieś sześć tygodni temu. Wyglądała okropnie i była chuda jak szczapa, ale w głowie miała jedno: śmiech i te swoje żarty. Tak sobie myślę, że ludziom trudno uwierzyć we własną chorobę. No cóż, miała smutne życie, biedaczka. Powiedziałabym, że Bóg się nad nią zlitował...

Popędziła do domu, żeby jak najprędzej podzielić się tą niesamowitą wiadomością z Rodneyem, a Rodney przytaknął spokojnie. O wszystkim już wiedział. Był wykonawcą jej ostatniej woli, stąd też rodzina natychmiast się z nim skontaktowała.

Leslie Sherston niewiele po sobie zostawiła, a to, co stanowiło skromny spadek, miało być podzielone między jej dzieci. Ale całe miasteczko ekscytowało się czym innym, mianowicie sprowadzeniem ciała Leslie Sherston do Crayminster. Zgodnie z jej życzeniem: „Ponieważ tam byłam szczęśliwa...”

Tak więc Leslie Adeline Sherston została pochowana na cmentarzu przy kościele St Mary w Crayminster.

Dziwne życzenie, myśleli niektórzy, wspominając fakt, że to właśnie w Crayminster skazano jej męża za sprzeniewierzenie cudzych pieniędzy. Jednak inni uznali całą rzecz za całkiem naturalną. Bo czyż ta Leslie Sherston nie żyła sobie tutaj jak w raju? Ma się rozumieć, zanim spadło na nią to całe nieszczęście.

Biedna Leslie, lecz nie tylko ona. Nieszczęścia prześladowały też innych członków rodziny. Młody Peter po przejściu testów na pilota rozbił samolot i sam zginął.

Rodney się zamartwiał. Dziwne, ale w jakiś sposób chyba obwiniał siebie za jego śmierć.

– Doprawdy, mój drogi, nie rozumiem, jak możesz tak myśleć. Przecież nie miałeś z tym nic wspólnego.

– Leslie przysłała go do mnie. Powiedziała mu, że na pewno go zatrudnię i że się nim zajmę.

– Tak, i miała rację. Przyjąłeś go do swojej kancelarii.

– Wiem.

– Zawiódł cię, a ty nie tylko go nie oskarżyłeś, to jeszcze sam pokryłeś niedobory w kasie. Tak było, prawda?

– Tak, lecz nie o to chodzi. Czy nie rozumiesz, że Leslie przysłała go do mnie dlatego, że był słaby? Że podobnie jak i jego ojciec nie zasługiwał na zaufanie? John był w porządku, Leslie o tym wiedziała, natomiast chciała, bym zaopiekował się Peterem. Miałem go upilnować, miałem go obronić przed nim samym. Peter był dziwnie niejednorodny. Miał w sobie nieuczciwość Charlesa Sherstona i męstwo Leslie. Jego przełożeni napisali mi, że był ich najlepszym pilotem. Absolutnie nieustraszony; czarodziej, jak go nazwano, czarodziej samolotów. Czy wiesz, że ten chłopiec polecał wypróbować nowe tajne urządzenie? Na ochotnika. Wiedział, jak to się może skończyć. Polecał i zginął.

– Przyznaję, to bardzo chlubne. A jakże.

Rodney roześmiał się sucho.

– O tak, Joan, chlubne. Lecz czy to samo i z takim samym samozadowoleniem powiedziałaś o śmierci swojego syna? Czy gdyby Tony zginął w ten sposób, byłabyś zadowolona?

– To coś zupełnie innego – zachnęła się. – Peter nie był naszym synem.

– Myślę o Leslie... Myślę o tym, co ona by czuła...

Joan poruszyła się na krześle.

Dlaczego od kiedy się tu znalazłam, tak nieustannie wracam myślą do Sherstonów? Przecież mam innych przyjaciół, takich, którzy znaczą dla mnie o wiele więcej, niż znaczył którykolwiek z Sherstonów.

Nigdy nie przepadałam za Leslie, żałowałam jej, i to wszystko. Biedna Leslie pod tą swoją marmurową płytą.

Joan otrząsnęła się. Zimno mi, pomyślała. Przenika mnie grobowy chłód.

Ale to Leslie Sherston leży w grobie, nie ja.

Zimno tutaj, zimno i ponuro. Wyjdę na dwór, na słońce. Nie chcę tkwić w tym moim zamknięciu ani chwili dłużej.

Przykościelny cmentarz i grób Leslie Sherston. I nabrzmiały szkarłatem pąk rododendronu, który wypadł z butonierki Rodney a.

„Jeszcze w maju wiatr nieraz mrozem pąk omiata...”

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wypadła na zewnątrz, w słoneczny blask. Rzuciła okiem na stertę brudnych puszek i ruszyła przed siebie szybkim marszem.

Tak jest lepiej. Słońce świeci tak jasno, tak miło grzeje.

Powinam się rozgrzać. Muszę uciec od tego wszystkiego... Właściwie – co to znaczy „uciec od tego wszystkiego”?

Nagle znów znalazł się przy niej duch panny Gilbey i przemówił nakazującym tonem: „Zdyscyplinuj swoje myśli, Joan. Dokładniej przekładaj je na słowa. Powiedz sobie wreszcie, czym jest to, od czego wciąż uciekasz”.

Ale ona tego nie wiedziała. Naprawdę nie wiedziała.

Tak, coś za nią szło. Jakiś lęk... jakieś obawy... groźby...?

Coś, co było wokół, wszędzie, co czekało, a wszystko, co ona mogła zrobić, to chować się, odwracać, nie zauważać...

– Doprawdy, Joan Scudamore – powiedziała do siebie – zachowujesz się nader osobliwie...

Wszystko na nic. Ze mną na pewno dzieje się coś złego. Na pewno. Ale raczej nie powinam wiązać swojego stanu z agorafobią (Czy to jest właściwa nazwa? Bardzo denerwowała się, gdy nie była czegoś pewna), ponieważ tym razem pragnę uciec z zamknięcia tamtych czterech zimnych ścian na otwartą przestrzeń i na słońce.

Wydostać się na zewnątrz! Na słoneczny blask! Uciec od własnych myśli.

Byłam tam wystarczająco długo. W tamtym wysokim pokoju, który kojarzył mi się z mauzoleum.

Grób Leslie Sherston, i Rodney...

Leslie... Rodney...

Uciec...

Słoneczny blask...

Zimny pokój...

Zimny i pusty...

Przyśpieszyła kroku. Wynieść się gdzieś z tego koszmarnego mauzoleum, z tego zajazdu. Tak ponurego, tak... tak osaczającego...

W takim miejscu na pewno nietrudno o duchy.

Co za głupi pomysł, przecież ten budynek został wzniesiony nie dalej jak dwa lata temu. Jest nowy.

Nie może być duchów w nowym budynku, nawet dziecko to wie.

Jeśli w tym zajeździe są duchy, to ja je sprowadziłam.

Bardzo nieprzyjemna myśl...

Przyśpieszyła kroku.

W każdym razie, powiedziała sobie stanowczo, nie ma ze mną nikogo. Jestem absolutnie sama. Co więcej – nawet nie muszę się obawiać, że kogoś spotkam.

Tak jak w przypadku... zaraz, zaraz, kto spotkał i kogo spotkał... Stanley Livingstone? Tak, na pustyni w Afryce.

„Doktor Livingstone, jak przypuszczam”. Tutaj nic z tych rzeczy. Tutaj mogę spotkać jedną jedyną osobę, a tą osobą jest Joan Scudamore.

Spotkać Joan Scudamore! Co za śmieszny pomysł. „Miło mi, że panią spotykam, pani Scudamore”. Doprawdy, całkiem interesujący pomysł... Spotkać siebie... Spotkać samą siebie... O Boże, przeraziła się... Przeraziła się potwornie...

Z szybkiego marszu przeszła w bieg. Biegła przed siebie, potykając się co krok. Jej myśli potykały się również.

...Boję się...

...O Boże, jakże ja się boję...

...Niechby ktoś tu był. Niechby był ze mną...

Blanche, pomyślała. Chciałabym, żeby tu była Blanche.

Tak, potrzebuję kogoś takiego jak Blanche.

Blanche to ani ktoś bliski, ani drogi. Nawet nie przyjaciółka.

Blanche to Blanche...

Blanche, swobodna w obejściu, życzliwa, z sercem jak na dłoni. Blanche nigdy niczemu się nie dziwiła ani nic jej nie gorszyło. Tak czy inaczej, Blanche uważała, że jestem miła i że powiodło mi się w życiu. Blanche mnie lubiła.

I nikt poza Blanche...

To było to... to była myśl, która prześladowała ją od dłuższego czasu, to było to, o czym prawdziwa Joan Scudamore wiedziała. Zawsze wiedziała...

Jaszczurki, wyskakujące ze swoich nerek...

Prawda...

Małe kawałeczki prawdy wyskakujące z zakamarków jej umysłu jak jaszczurki ze swoich nerek z zawołaniem: „Oto jesteśmy. Znasz nas. Znasz nas całkiem dobrze. Nie udawaj, że nie znasz”.

A ona znała je, i właśnie to było najgorsze.

Znała je, kawałeczek po kawałeczku.

Szczerzyły do niej zęby, śmiały się z niej.

Wszystkie te małe kawałeczki i odłamki prawdy. Ukazywały się jej, od kiedy tu przyjechała. To do niej należało złożenie ich w jedną całość.

Cała historia jej życia, prawdziwa historia Joan Scudamore...

Czekała na nią tutaj...

Nigdy przedtem nie interesowała się historią swojego życia. Łatwo jej przyszło wypełnić sobie życie nic nie znaczącymi błahostkami, tak by nie starczyło czasu na poznawanie samej siebie.

Jak to Blanche powiedziała? „Ciekawa jestem, czy rozmyślając dzień za dniem wyłącznie o sobie, można by dowiedzieć się czegoś, czego się dotychczas o sobie nie wiedziało...”

A ona na to, tak głupio i wyniośle: „Sądziś, że tak?”

„Czasami, mam, zdaje mi się, że o nikim niczego nie wiesz...”

To, z kolei, słowa Tony'ego. I ileż w nich racji.

Nie wiedziałam niczego o swoich dzieciach, niczego o Rodneyu. Kochałam ich, lecz ich nie znałam.

A powinnam.

Jeśli się kocha kogoś, powinno się wszystko o nim wiedzieć.

Jeśli się nie wie, to dlatego, że o wiele wygodniej

wierzyć w rzeczy miłe, wierzyć w to, co chce się uważać za prawdę, a nie w to, co nią jest.

Na przykład Averil – Averil i jej cierpienie.

Nie chciałam przyłać do wiadomości, że Averil cierpi...

Averil, która zawsze mną pogardzała...

Averil, która mnie przejrzała, nim zdażyła dorosnąć...

Averil, którą zraniło, którą złamało życie i która być może wciąż ma okaleczoną duszę...

Okaleczoną, lecz mężną...

To było to, czego Joan zawsze brakowało. Brakowało jej męstwa.

„Męstwo to jeszcze nie wszystko”, tak kiedyś powiedziała.

A Rodney na to: „Czyżby?...” Rodney miał rację...

Tony, Averil, Rodney – oni wszyscy mnie oskarżali.

A Barbara?

Co tak naprawdę przydarzyło się Barbarze? Dlaczego jej lekarz był tak powściągliwy? Co oni wszyscy przede mną ukrywali?

Co zrobiło to dziecko – to porywcze, niezdyscyplinowane dziecko, które wyszło za mąż za pierwszego konkurenta, byleby tylko uciec z domu?

Bo to prawda. To był sposób na ucieczkę z domu. Z domu, w którym była nieszczęśliwa. A była nieszczęśliwa, ponieważ ja, matka, nie zdobyłam się na choćby najmniejszy wysiłek, by ten dom uczynić szczęśliwym.

Nie było w moim sercu miłości dla Barbary ani żadnego zrozumienia. Byłam względem niej samolubna. Nie uwzględniałam ani jej upodobań, ani życzeń. Zniechęcałam jej młodych przyjaciół do odwiedzin. Nic zatem dziwnego, że pomysł z Bagdadem wydał się Barbarze wspaniałą perspektywą.

Wyszła za Billa Wraya w wielkim pośpiechu, powodowana impulsem i bez miłości (tak powiedział Rodney). A potem? Co takiego zdarzyło się potem?

Jakiś romans? Nieszczęśliwa miłość? Możliwe, że chodziło o majora Reida. Tak, to by tłumaczyło zakłopotanie obojga, Barbary i Billa, kiedy w rozmowie padło jego nazwisko. Mężczyźni w typie majora Reida zawsze fascynują młode, niezupełnie dojrzałe dziewczęta.

A potem, podczas jednego z tych swoich gwałtownych napadów rozpacz, z których była znana od wczesnego dzieciństwa, usiłowała (tak, na pewno tak było), usiłowała odebrać sobie życie.

I była bardzo, bardzo chora. Niebezpiecznie chora.

Czy Rodney wiedział o tym? Jedno jest pewne: jak mógł, tak się starał wyperswadować mi wyjazd do Bagdadu.

Nie, Rodney nie mógł tego wiedzieć. Powiedziałyby! gdyby wiedział. Na pewno by powiedział? Nie, nie na pewno. Raczej by nie powiedział. Natomiast na pewno robił, co mógł, by zatrzymać mnie w domu.

Joan była absolutnie zdecydowana pojechać. Powiedziała, że nie zniosłaby siedzenia w domu, podczas gdy to biedne chore dziecko jej potrzebuje.

I z pewnością był to właściwy impuls.

Tylko... tylko czy to była cała prawda, czy jedynie jakaś jej część?

Czy nie pociągała mnie idea odbycia podróży, a tym samym odmienienia sobie życia, idea zobaczenia innej części świata? Czy nie cieszyła mnie myśl odgrywania roli oddanej matki? Oto wita ją, czarującą, powodowaną odruchem serca kobietę, wita ją chora córka i bezradny, oszalały ze strachu zięć... Jak to miło z twojej strony, mamó, że jesteś u nas bez chwili zwłoki...”

Doprawdy, ci dwoje w ogóle nie ucieszyli się jej przyjazdem! Byli, mówiąc szczerze, porządnie skonsternowani. Ostrzegli lekarza, uważali na własne słowa, robili wszystko, bylebym nie poznała prawdy. A nie chcieli, bym ją poznała, ponieważ mi nie ufają. Barbara nie ufa. Barbara prawdopodobnie żyje jedną myślą: trzymać tę prawdę jak najdalej ode mnie.

Jak bardzo im ulżyło, kiedy oznajmiłam, że na mnie pora. Ukrywali to całkiem dobrze, niby pytali, dokąd się tak śpieszę, niby mnie zatrzymywali. Lecz na pierwszą wzmiankę, iż gotowam zostać, William zaraz znalazł argumenty, przemawiające za natychmiastową podróżą.

Dziwne, ale zdaje się, że jedyną dobrą stroną mojego pobytu u córki było to, że z konieczności Barbara i William stali się współnikami, bo też tylko wspólnie działając, mogli ukryć przede mną tamtą straszną tajemnicę. Dziwne, ale chyba

prawdziwe. Przecież pamiętam: Barbara spogląda błagalnie na Williama, a William natychmiast przejmując na siebie rozmowę, płacze się w jakichś wyjaśnieniach albo próbuje odpowiadać na moje nietaktowne pytania.

No i Barbara patrzy na niego z wdzięcznością. Patrzy czule...

Przecież pamiętam: odprowadzają mnie, stoją oboje na peronie. William podtrzymuje Barbarę i lekko ściska jej dłoń, jakby chciał powiedzieć: „Odwagi, kochanie. Zaraz będzie po wszystkim. Tylko popatrz, ona odjeżdża...”

Po odjeździe pociągu na pewno wrócili razem do bungalowu w tej swojej Alwijji i na pewno razem bawili się z Mopsy, ponieważ oboje są w niej zakochani.

(Cudowne maleństwo, taka śmieszna karykatura Williama). A Barbarze pewnie się wyrwało: „Dzięki Bogu, wreszcie sobie pojechała i teraz mamy dom dla siebie”.

Biedny, zakochany w Barbarze William. Na pewno bardzo go zraniła, na pewno bardzo cierpiał, a mimo to nadal taki oddany, taki kochający, taki czuły...

„Nie przejmuj się nią!”, powiedziała Blanche. „Wszystko jakoś się ułoży. A poza tym jest dziecko i cała reszta”.

Miła, dobra Blanche. Chciała rozproszyć niepokój, który jeszcze nawet nie zdążył się zagnieździć w moim sercu.

W tym sercu pełnym pyszałkowatej, pogardliwej litości dla dawnej przyjaciółki. Przecież się modliłam do Boga, bym nie była do niej podobna.

Tak, to prawda, ośmieliłam się modlić...

A teraz, w tej chwili, oddałabym wszystko, byleby mieć Blanche obok siebie! Blanche, życzliwą każdemu stworzeniu; tę Blanche, która nie umiała potępiać...

To prawda, modliła się tamtej nocy w zajeździe kolejowym, spowita, niczym w królewski płaszcz, w tę swoją głupią manię wyższości.

Czy mogłaby się modlić teraz? Teraz, kiedy z owego płaszcza nie został jej nawet nędzny łachman?

Zrobiła krok do przodu, potknęła się i opadła na kolana.

...Boże, pomóż mi...

...Boże, ja chyba oszaleję...

...Nie pozwól, bym oszalała...

...Oddal ode mnie wszelkie myśli...

Cisza.

Cisza i słoneczny blask.

I bicie jej serca.

Bóg, pomyślała, odtrącił mnie...

Bóg mi nie pomoże...

Jestem sama, zupełnie sama...

Ta potworna cisza... ta przerażająca samotność...

Mała Joan Scudamore... głupia, próżna, pretensjonalna mała Joan Scudamore...

Zupełnie sama na pustyni.

Chrystus, pomyślała, był sam na pustyni.

Przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy...

...Nie, nie, nikt nie byłby w stanie tego zrobić, nikt by tego nie zniósł...

Cisza, słońce, samotność...

Znów naszedł ją strach, strach przed rozległą, pustą przestrzenią, gdzie człowiek ma za towarzysza jedynie Boga...

Podniosła się chwiejnie na nogi.

Muszę wrócić do zajazdu... wrócić do zajazdu, pomyślała.

Hindus, arabski chłopiec, kury, puszek po konserwach...

Ludzkość.

Rozejrzała się błędnie wokół. Ani śladu po zajeździe, ani śladu po malutkim kopczyku – stacji kolejowej – i ani śladu po wzgórzach.

Pomyślała, że chyba doszła dalej niż w poprzednie dni, tak daleko, że w zasięgu jej wzroku nie było żadnego punktu orientacyjnego.

Co najgorsze, nawet nie wiedziała, w którą stronę powinna iść, by odnaleźć zajazd...

Wzgórza. Tak, majaczące gdzieś na horyzoncie wzgórze nie miały prawa zniknąć, tylko że teraz wokół tego horyzontu wiszą niskie chmury... Chmury? A może wzgórze? A może jednak chmury? Bóg raczy wiedzieć co...

Zgubiłam się, kompletnie się zgubiłam...

Jeśli szłam na północ, o, właśnie, na północ, wówczas słońce...

Słońce świeciło prosto nad jej głową. Nie było sposobu, żeby odnaleźć drogę, kierując się słońcem...

Zgubiłam się... zgubiłam... Już nigdy nie odnajdę drogi powrotnej...

Nagle poderwała się do szaleńczego biegu.

Najpierw w jednym kierunku, potem, ogarnięta paniką, w przeciwnym. Kawałek w jedną stronę... kawałek w drugą... z szaleństwem w oczach... z rozpaczą...

No i zaczęła krzyczeć, zaczęła wołać:

– Pomocy... Pomocy...

Pomocy...

(Oni mnie nigdy nie usłyszą, pomyślała... Jestem za daleko...)

Pustynia podchwyciła jej głos, ale było to niewiele ponad ciche pobekiwanie. Beczę jak owca, pomyślała, jak owca...

Pan odnajduje swoje owieczki... Pan jest moim pasterzem... Rodney... zielone pastwiska i ta jego dolina – w samym środku miasta...

– Rodneyu – zawołała – pomóż mi, pomóż...

Ale Rodney odchodził peronem, z wyprostowanymi ramionami, z odrzuconą do tyłu głową... Rodney cieszył się na myśl o kilku tygodniach wolności... Rodney, w tamtej chwili, czuł się na powrót młody...

On nie mógłby mnie usłyszeć.

Averil... Averil... Może Averil przysłaby mi z pomocą?

Jestem twoją matką, Averil, wszystko, co robiłam, robiłam dla ciebie...

Nie, Averil wysłaby spokojnie z pokoju.

„Nic tu po mnie, mamoo...”, powiedziałaaby...

Tony... Tak, Tony by mi pomógł.

Nie, Tony też by nie pomógł. Tony jest w Afryce Południowej. Daleko stąd...

Barbara... Barbara była zbyt słaba... Barbara zjadła coś zatrutego.

Leslie, pomyślała. Tak, Leslie by mi pomogła, gdyby to było w jej mocy. Ale Leslie nie żyje. Leslie cierpiała, a potem umarła...

Niedobrze. Nie ma nikogo...

Znów zaczęła biec, rozpaczliwie, bezmyślnie, nie kierując się w jakąś szczególną stronę... po prostu biec...

Pot spływał jej po twarzy, po szyi, po całym ciele...

To koniec, pomyślała...

Chryste, pomyślała... Chryste...

Chrystus mógłby przyjść do niej, na pustynię...

Chrystus mógłby pokazać jej drogę do zielonej doliny.

...Mógłby poprowadzić ją razem ze swoimi owieczkami...

...Zagubionymi owieczkami...

...Z grzesznikami, którzy żałują za grzechy...

...Przez cieniastą dolinę...

...(Żadnego cienia, jedynie słońce...)

...Prowadź, światło dobrotliwe...*

...(Ale pustynne słońce nie jest dobrotliwe...)

Zielona dolina... zielona dolina... muszę znaleźć zieloną dolinę...

Zielona dolina roztacza się tuż za High Street, tam, w samym środku Crayminster.

Roztacza się na pustyni...

Czterdzieści dni i czterdzieści nocy.

Minęły zaledwie trzy dni, a zatem Chrystus może tu jeszcze przebywać.

Chryste, pomóż mi...

Chryste...

Co to takiego?

Tam, daleko, po prawej stronie, tamta maleńka plamka na horyzoncie!

To zajazd... Nie zgubiłam się... Jestem ocalona...

Ocalona...

Ugięły się pod nią kolana. Runęła na ziemię..

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przytomniała powoli...

Było jej niedobrze, czuła się chora...

I słaba, słaba jak dziecko.

To nieważne. Przecież ocalałam. Przecież tam, w oddali, majaczy zajazd. Niebawem, nabrawszy trochę sił, pomyślała, podniosę się i pójdę we właściwym kierunku.

Tymczasem mogę tu chwilę zostać i wszystko sobie przemyśleć. Przemyśleć tak jak należy, bez żadnego udawania.

Bóg, mimo wszystko, nie odtrącił mnie... Już nie czuła się tak potwornie samotna jak przedtem...

– Ale za to muszę wszystko przemyśleć – powiedziała na głos. – Muszę wszystko przemyśleć. Muszę wszystko wyprostować. Oto, dlaczego znalazłam się tutaj: aby wszystko wyprostować...

Muszę się dowiedzieć, raz na zawsze, jaką to kobietą była dotychczas Joan Scudamore...

Oto, dlaczego musiałam tutaj przyjść, tu, na pustynię. W tym jasnym, porażającym świetle niczego nie da się ukryć. To światło pokaże całą prawdę o tym wszystkim, o czym dotychczas niczego nie chciałam wiedzieć, o tych wszystkich rzeczach i sprawach, o których, doprawdy, „wiedziałam cały czas.

Wczoraj natrafiłam na pewien ślad i teraz może powinnam zacząć właśnie od niego, od tego śladu. Bo przecież nie kiedy indziej, jak właśnie w chwili, kiedy na niego natrafiłam, po raz pierwszy ogarnął mnie nagły strach. Po raz pierwszy w życiu wpadłam w taką straszną panikę.

Deklamowałam sonety.

Tak to się zaczęło.

„Nie było mnie przy tobie wiosną”.

Właśnie przy tej linijce pomyślałam o Rodneyu i powiedziałam: „Ale teraz jest listopad...”

Powiedziałam tak, jak Rodney tamtego wieczoru: „Ale teraz jest październik...”

Wieczorem tamtego dnia, kiedy zobaczyła go na zboczu Asheldown z Leslie Sherston (oboje siedzieli w kompletnej ciszy, a między nimi były cztery stopy pustej przestrzeni), pomyślałam sobie, że nie wyglądają na zbyt zaprzyjaźnioną parę ludzi.

Ale teraz już wiem, i oczywiście na pewno wiedziałam i wtedy, dlaczego siedzieli z dala od siebie.

Dlatego, że nie odważyli się siedzieć bliżej...

Rodney... i Leslie Sherston...

Nie Myrna Randolph, nie, nie ona. Rozmyślnie stworzyłam sobie mit Myrny Randolph, ponieważ wiedziałam, że ta dziewczyna nic dla Rodneya nie znaczy. Myrna Randolph była niby zasłona dymna, za którą skrywało się to, co istotne.

Poniekąd myślałam tak, ponieważ łatwiej mi było przystać na Myrnę Randolph niż na Leslie Sherston.

Mniej ranił mą dumę fakt, że Rodneya pociągała piękna, uwodzicielska Myrna. Myrna, która, gdyby chciała, potrafiłaby prawdopodobnie uwieść każdego mężczyznę, byleby tylko nie posiadał nadludzkiej odporności na tego rodzaju pokusy.

Ale Leslie Sherston? Leslie? Ani piękna, ani młoda, bez żadnej prezencji? Leslie? Z tą wiecznie zmęczoną twarzą i tym wiecznie krzywym uśmiechem? Dopuszczać do siebie myśl, że Rodney mógłby kochać Leslie, kochać ją z taką namiętnością, że usiadł od niej w odległości czterech stóp, by przypadkiem nie ulec pokusie dotknięcia jej – nie, tego bym nie zniosła.

Rozpaczliwa tęsknota, bolesne, nie spełnione pożądanie, szaleńcza namiętność – to były uczucia, których ona sama nigdy nie zaznała...

To były uczucia, które łączyły i rozdzielały tamtych dwoje tamtego dnia na zboczu Asheldown, a ona to doskonale wyczuła i dlatego w pośpiechu, chyłkiem stamtąd uciekła. Nie chciała poznać prawdy, oczywiście, krzywej prawdy...

Oto Rodney i Leslie, siedzący na tej swojej górze w milczeniu i nawet nie mający odwagi na siebie popatrzeć.

Leslie, kochająca Rodneya tak rozpaczliwie, że chciała być pochowana w mieście, w którym on mieszkał...

Rodney, patrzący na marmurową płytę J mówiący: „Cholernie głupio robi się człowiekowi na myśl o Leslie Sherston, która leży pod czymś takim jak ten zimny kawałek marmuru”. I upadający na tę płytę pak rododendronu, szkarłatna plama.

Jak krwawiące serce", powiedział wtedy Rodney. „Krwawiące serce”.

A zaraz potem powiedział jakoś tak: Jestem zmęczony, Joan. Jestem zmęczony”. I po chwili, tak dziwnie: „Nie wszyscy możemy być dzielni...” Mówiąc to, myślał o Leslie. O Leslie i jej męstwie.

„Męstwo to jeszcze nie wszystko...”, odrzekła wówczas.

„Czyżby?”

I załamanie nerwowe Rodneya. Przyczyna tkwiła w śmierci Leslie.

Leżał tam, w Kornwalii, uśmiechając się spokojnie, wsłuchując się w krzyk mew. Życie go nie interesowało...

Pogardliwy, chłopięcy głos Tony'ego:

„Czy ty niczego nie wiesz o ojcu?”

Nie wiedziałam. Niczego nie wiedziałam! Nie wiedziałam, ponieważ postanowiłam, że nie chcę wiedzieć.

Leslie, wyglądająca przez okno i tłumacząca, dlaczego zamierza urodzić dziecko Sherstona.

Rodney, także wyglądający przez okno: „Leslie nigdy niczego nie robi połowicznie...”

Co też tych dwoje widziało, stojąc w tych swoich oknach? Czy Leslie widziała w ogrodzie jabłoni i anemony? Czy Rodney widział kort tenisowy i staw ze złotymi rybkami? Czy też oboje widzieli zamglony krajobraz i plamę drzew na dalekim, widocznym z wierzchołka Asheldown wzgórzu...

Biedny Rodney, biedny zmęczony Rodney...

Rodney z tym swoim uprzejmym, denerwującym uśmiechem, Rodney z tym swoim „biedna mała Joan”... zawsze miły, zawsze czuły, Rodney, na którym zawsze mogłam polegać...

A dlaczego nie miałabym polegać? Czyż nie byłam dla niego dobrą żoną?

Zawsze stawiała jego sprawy na pierwszym miejscu...

Zaraz, zaraz, czy aby na pewno?

Rodney, błagalnie patrzący... smutnymi oczami. Zawsze smutnymi oczami.

Rodney, mówiący: „Skąd miałem wiedzieć, że aż do tego stopnia będę nienawidził pracy w kancelarii?”

„Skąd wiesz, że będę szczęśliwy?”

Rodney, błagający o życie, jakie mu się marzyło, o życie na wsi.

Rodney, stojący przy oknie swojej kancelarii w dzień targowy i obserwujący bydło.

Rodney, rozmawiający z Leslie Sherston o krowach.

Rodney, mówiący do Averil: „Mężczyzna, który nie może poświęcić się czemuś, do czego stworzyła go natura, jest jedynie w połowie mężczyzną”.

To było to. Teraz to do niej dotarło...

Niespokojnie, gorączkowo, próbowała bronić się przed tą nową wiedzą.

Zrobiłam to w dobrej wierze! Chciałam jak najlepiej! Powinno się mieć praktyczne podejście do życia! Powinno się myśleć o dzieciach. Nie zrobiłam tego z czystego egoizmu.

Czy naprawdę? Powoli zaczęła w niej opadać fala protestu.

Czy naprawdę nie był to z mojej strony czysty egoizm?

Czy nie chodziło o to, że to ja nie chciałam żyć na wsi, żyć z ziemi? To prawda, chciałam dzieciom zgotować jak najlepszą przyszłość, lecz czy wiadomo, co dla kogo jest najlepsze? Czy Rodney nie miał prawa decydować na równi ze mną, o przyszłości swoich dzieci? Albo raczej czy nie jego głos powinien być głosem decydującym? Czy to nie do ojca należy myślenie o przyszłości swoich dzieci, a do matki dbanie o ich dobre samopoczucie i lojalne godzenie się na ojcowskie pomysły na życie?

Rodney powiedział kiedyś, że życie na wsi to dobre życie dla dzieci...

Tony z pewnością byłby z takiego życia zadowolony.

Rodney uważał, że należy zostawić Tony'emu wolną wolę co do wyboru własnej drogi życiowej.

„Nie jestem zbyt dobry w zmuszaniu ludzi do czegokolwiek”.

Ale Joan zmuszała Rodneya bez skrępowań...

I nagle z bolesnym skurczem serca pomyślała, że przecież kochała Rodneya i że kocha go nadal. To wszystko działo się tak, jak się działo, wcale nie dlatego, że go nie kochałam...

I niby objawienie, spłynęła na nią myśl, że właśnie dlatego jej czyny są niewybaczalne.

Kochałam Rodneya, a mimo to postępowałam tak, jak postępowałam.

Gdybym go nienawidziła, tak... gdybym go nienawidziła, to przynajmniej miałabym teraz wygodną wymówkę.

Gdybym była wobec niego obojętna, to wszystko nie miałyby aż tak wielkiego znaczenia.

Ale ja go kochałam, a mimo to odebrałam mu prawo, z którym się rodzi każdy człowiek, prawo do decydowania o własnym życiu.

I dlatego, że bez skrępowań wykorzystywałam swoją kobiecą broń – dziecko w kołysce czy dziecko, które nosiłam w swoim łonie – pozbawiłam go czegoś, czego już nigdy nie odzyskał. Pozbawiłam go części jego męskości.

Dlatego, że był łagodny, że nie walczył ze mną i nie zawojował mnie, tak niewiele zostało w nim męczyzny...

Rodneyu, pomyślała, Rodneyu... A ja nie mogę mu tego zwrócić... Nie mogę mu tego wynagrodzić... Niczego nie mogę zrobić... Ale ja go kocham, naprawdę go kocham... I kocham Averil, i Tony'ego, i Barbarę... Zawsze ich kochałam...

(Ale nie dość – brzmiała odpowiedź – nie dość...) Rodneyu, pomyślała, Rodneyu, czy naprawdę niczego dla ciebie nie mogę zrobić? Niczego? „Nie było mnie przy tobie wiosną”. Tak, pomyślała, nie było mnie już od dawna, już od wiosny... i to od tamtej pierwszej...

Blanche miała rację – zostałam tam, gdzie byłam. Wciąż jestem tą samą dziewczyną, która wyszła z murów St Anne. Wygodne życie, niechęć do myślenia, zadowolenie z samej siebie, lęk przed wszystkim, co mogłoby być bolesne... Żadnego męstwa...

Więc co mogę zrobić? Co ja mogę zrobić? Mogę pójść do niego, pomyślała. Mogę powiedzieć, przepraszam, przebacz mi...

Tak, mogę to powiedzieć... Mogę powiedzieć, przebacz mi. Ja nie wiedziałam. Po prostu nie wiedziałam...

Stanęła. Czowała, że siania się na nogach.

Szła powoli i z trudem niby stara kobieta.

Trzeba iść, iść przed siebie, jedna stopa, potem druga...

Rodneyu, pomyślała, mój Rodneyu...

Jakże się czuła słaba, jakże chora...

To była długa droga, bardzo długa.

Hindus wybiegł z zajazdu na jej spotkanie, twarz miał rozpromienioną uśmiechem. Gorączkowo gestykulował:

– Dobra wiadomość, memsahib, dobra wiadomość!

Wytrzeszczyła na niego oczy.

– Memsahib popatrzeć. Pociąg! Pociąg na stacji. Memsahib wyjechać dzisiaj.

Pociąg? Pociąg zabierze ją do Rodneya.

(Przebacz mi, Rodneyu... przebacz mi...)

Usłyszała swój śmiech, oszalały, nienaturalny. Kiedy Hindus spojrzał na nią zaskoczony, opamiętała się.

– Przyjechał pociąg. To dobrze, w samą porę...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

To było niby sen, pomyślała. Tak, to było niby sen.

Zasieki drutu kolczastego... arabski chłopiec dźwigający jej bagaże i trajkoczący piskliwie po turecku do dużego, tłustego, podejrzanie wyglądającego mężczyzny, który był zawiadowcą tureckiej stacji.

A potem czekający na nią swojski wagon sypialny z wychylającym się z okna konduktorem w czekoladowym uniformie Wagon Lits. I napis na wagonie: Aleppo-Stambuł. Ogniwo, które spinało samotny przystanek na pustyni z cywilizowanym światem!

Uprzejme francuskie słowa powitania, otwarty przedział, przygotowane do spania łóżko, prześcieradła, poduszka.

Na powrót cywilizacja...

Niewątpliwie wyglądała na pewną siebie, doświadczoną podróżną, tę samą panią Scudamore, która wyjechała z Bagdadu niecały tydzień temu. Ale pod maską pozornego spokoju i pewności siebie krył się ktoś inny, ktoś zdumiewająco, wprost przeraźliwie odmieniony.

Pociąg, jak powiedziała do Hindusa, przyjechał w samą porę. Właśnie w momencie, gdy ostatnie z ostatnich barykad, które tak troskliwe wznosiła wokół siebie, runęły porwane falą strachu i samotności.

Doświadczyla wizji. Wizji samej siebie. I choć teraz mogła się wydawać typową Angielką w podróży, zaabsorbowaną niewiele znaczącymi drobiazgami, jej serce i umysł nadal były skute okowami upokarzającego samooczyszczenia, którego dokonała tam, na pustyni, w ciszy i blasku słońca.

Na wszystkie uwagi i pytania Hindusa odpowiadała mechanicznie.

– Dlaczego memsahib nie wracać na lunch? Lunch czekać. Bardzo miły lunch. Teraz piąta. Lunchu nie być. Być herbata.

Odpowiedziała, że chętnie napije się herbaty.

– Gdzie memsahib się podziewać? Ja wyglądać, nie widzieć memsahib nigdzie. Nie wiedzieć, gdzie szukać.

Powiedziała, że poszła dość daleko, dalej niż zwykle.

– Niebezpiecznie. Bardzo niebezpiecznie. Memsahib się zgubić. Memsahib nie wiedzieć, gdzie iść. Iść źle.

Przyznała, że na chwilę zgubiła drogę, lecz szczęśliwie udało jej się pójść we właściwym kierunku. Poprosiła o herbatę i dodała, że chciałyby potem odpocząć. Zapytała, o której godzinie odjeżdża pociąg.

– Pociąg odjeżdżać wpół do dziewiątej. Czasami czekać na konwój. Ale dzisiaj nie przybyć żaden konwój. Wadi niedobrze, dużo wody, woda pędzić, o tak: szuuuu! Skinęła głową.

– Memsahib wyglądać bardzo zmęczona. Gorączka, memsahib?

Odpowiedziała, że nie ma gorączki, teraz na pewno nie.

– Memsahib się zmienić.

To prawda, pomyślała, zmieniłam się. Możliwe, że ta zmiana odbiła się na mojej twarzy. Poszła do pokoju i popatrzyła w popstrzone przez muchy lustro.

Czy widać jakąś różnicę?

Wyglądała starzej, zdecydowanie starzej. Pod oczami miała sine obwódki, a na policzkach strugi potu zmieszanego z ziarenkami żółtego piasku.

Umyła twarz, przeciągnęła grzebieniem po włosach, przypudrowała się, uszminowała i popatrzyła w lustro raz jeszcze.

Tak, zdecydowanie widać różnicę. Coś zniknęło z twarzy, która z takim przejęciem spoglądała na nią z lustra. Coś – czyżby zadowolenie z siebie?

Zadowolenie z siebie, przemożna pycha, oto cechy dotychczasowej Joan Scudamore. Wciąż czuła głęboki wstręt do samej siebie, wstręt, który ogarnął ją tam, na pustyni, wstręt, odrazę, ale i coś jeszcze – pokorę ducha.

Rodney, powtarzała w duchu to jedno imię, Rodney...

Trzymała się go niby nici, po której miała dojść do celu. Powiedzieć mu wszystko. Nie oszczędzać siebie. Powiedzieć mu, bo tylko to się liczy, tylko to ma jakieś znaczenie. Kiedy mu powiem, może uda się nam (jeżeli to możliwe w naszych późnych latach) rozpocząć razem nowe życie. Powinam powiedzieć: Jestem głupia, jestem przegrana. Naucz mnie – w swojej mądrości i dobroci – naucz mnie żyć.

Powiem to wszystko, myślała a on mi przebaczy. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jaki był wspaniałomyślny – mimo wszystko nie znienawidził mnie. Nic dziwnego, że nasze dzieci go uwielbiały (pomyślała, że Averil ta wiecznie zantagonizowana z własnymi rodzicami Averil, nawet ona nigdy nie przestała go kochać), że służba stawała na głowie, byleby mu dogodzić, że garnęli się do niego przyjaciele. Rodney, pomyślała, nigdy wobec nikogo nie był nieuprzejmy...

Westchnęła. Była bardzo zmęczona. Bolało ją wszystko. Ból pulsował w każdym zakamarku jej ciała.

Wypiła herbatę, położyła się na łóżku i leżała tam tak długo, aż nadszedł czas obiadu i udania się do pociągu.

Nie czuła w sobie żadnego niepokoju, żadnego strachu, żadnej tęsknoty za jakimś zajęciem czy rozrywką. Jaszczurki już nie wyskakiwały ze swoich norek.

Spotkała siebie i poznała siebie...

Teraz chciała odpoczywać, jedynie odpoczywać. Leżeć z pustką w głowie, z wyciszonym umysłem i z mglistym wizerunkiem dobrej, ciemnej twarzy Rodneya, wizerunkiem, który zawsze nosiła w sobie, gdzieś na dnie duszy...

A teraz była w pociągu, wysłuchiwała szczegółowej relacji konduktora o awarii na trasie, wręczyła mu paszport i bilety i przyjęła zapewnienie, że on zatelegrafuje do Stambułu w sprawie nowej rezerwacji na Simplon Orient Ekspres, na który miała się przesiąść później. Poprosiła go także o nadanie w jej imieniu telegramu z Aleppo, do Rodneya. Zwłoka w podróży wszystko dobrze uściski Joan.

Miała nadzieję, że Rodney w porę dowie się o przypadkowym opóźnieniu w podróży.

Wszystko załatwione. Nic więcej nie miała do zrobienia, nie miała też o czym myśleć. Mogła odpoczywać niby zmęczone dziecko.

Miała przed sobą perspektywę spędzenia pięciu dni w ekspresie, pędzącym na zachód. Z ulgą myślała o tym, że z każdym dniem jest bliżej Rodneya i... przebaczenia.

Przybyli do Aleppo rankiem następnego dnia. Do tej pory Joan była jedyną pasażerką w pociągu, ale teraz Taurus Ekspres wypełnił się po brzegi wielojęzycznym tłumem. Były jakieś pomyłki w rezerwacjach, było dużo zgiełku, podekscytowanych rozmów, kłótni i wzajemnych pretensji.

Joan podróżowała pierwszą klasą, a pierwsza klasa wagonów sypialnych miała stare dwuosobowe przedziały.

Po chwili drzwi się rozsunęły i do przedziału weszła wysoka kobieta w czerni. Za nią, na korytarzu, wychylony przez okno konduktor odbierał od tragarza nie kończącą się liczbę drogich, znaczonych herbowymi koronami walizek i neserów.

Kobieta i układający bagaże mężczyzna rozmawiali po francusku. W końcu on opuścił przedział, a ona odwróciła się twarzą do Joan i uśmiechnęła się w sposób typowy dla osób doświadczonych i bywałych w szerokim świecie.

– Jest pani Angielką – powiedziała.

Mówiła po angielsku prawie bez akcentu. Miała długą, bladą, niezwykle ruchliwą twarz i osobiwie jasne, szare oczy. Joan pomyślała, że może mieć mniej więcej czterdzieści pięć lat.

– Przepraszam za najście o tej porze. To czyste barbarzyństwo, taka godzina odjazdu, w oczywisty sposób zakłócam pani spokój. No i te ich staromodne wagony; w nowych są jedyneki. Mam jednak nadzieję... – uśmiechnęła się słodko niby rozkoszne dziecko – że nie będziemy sobie działać na nerwy. Do Stambułu jedzie się zaledwie dwa dni, a ja nie jestem zbyt uciążliwa. I proszę mnie upomnieć, gdybym za wiele paliła. A teraz zostawiam panią, proszę spać dalej. Idę do wagonu restauracyjnego, który właśnie dostawiają... – jakby na potwierdzenie jej słów wagon szarpnął, a ona zachwiała się lekko – i tam zaczekam na śniadanie. Jeszcze raz przepraszam, że panią niepokoiłam.

– Och, w porządku – odparła Joan. – W czasie podróży zawsze można się spodziewać podobnych rzeczy.

– Widzę, że mam do czynienia z sympatyczną osobą. To dobra zapowiedź dalszej wspólnej podróży.

Wyszła, a kiedy zasuwiała za sobą drzwi, Joan usłyszała, że ktoś z peronu woła „Sasha, Sasha” i usłyszała też, że jej towarzyszka podróży wdaje się z grupą odprowadzających ją osób w wesołą rozmowę w jakimś dziwnym języku.

Tymczasem zupełnie się rozbudziła. Czowała się wyspana. Zawsze dobrze spała w pociągu. Wstała i przystąpiła do porannej toalety. Kiedy ją kończyła, pociąg właśnie opuszczał Aleppo. Ubrana, uczesana i umalowana wyszła na korytarz, ale najpierw rzuciła okiem na naklejki na bagażu przypadkowej towarzyszki podróży.

Księżna Hohenbach Salm.

W wagonie restauracyjnym księżna Hohenbach Salm jadła śniadanie i prowadziła ożywioną rozmowę z małym, grubym Francuzem. Kiedy zobaczyła Joan, pomachała do niej ręką i wskazała miejsce obok siebie.

– Ależ pani jest energiczną osobą – zawołała. – Ja na pani miejscu jeszcze bym słodko spała. Zatem, monsieur Baudier, proszę mówić dalej. To bardzo zajmująca historia.

Księżna zwracała się po francusku do monsieur Baudiera, po angielsku do Joan, z kelnerem rozmawiała po turecku i od czasu do czasu zagadywała po włosku do siedzącego za przejściem, dość melancholijnie wyglądającego oficera.

Niebawem gruby Francuz skończył swoje śniadanie i skłoniwszy się uprzejmie, odszedł od stolika.

– Jest pani świetną lingwistką – zauważyła Joan.

Tym razem na bladą twarz wypłynął uśmiech pełen melancholii.

– Dlaczego miałabym nią nie być? Jestem Rosjanka, wyszłam za mąż za Niemca, a mieszkam w Italii. Mówię ośmioma lub dziewięcioma językami, niektórymi dobrze, niektórymi tak sobie. Prowadzenie rozmów to przyjemność, zgodzi się pani ze mną, prawda? Nie ma ludzi nieinteresujących, a żyje się na ziemi tak bardzo krótko! Powinno się dzielić doświadczeniami i wymieniać między sobą poglądy. Tu, na ziemskim padole, za mało jest miłości, oto, co ja myślę. Moi przyjaciele mówią, że niektórych ludzi nie sposób kochać, choćby takich Turków, Ormian czy Lewantyńczyków. A ja mówię: nie. Ja kocham ich wszystkich. Garçon, l'addition.

Joan zamrużyła oczami; ostatnie zdanie praktycznie zlewało się z poprzednim.

Kiedy ugrzeczniony kelner wyrósł jak spod ziemi, Joan raczej nie miała wątpliwości, że jej towarzyszka podróży jest wielce znaczącą osobą.

Przez cały ranek i popołudnie pociąg przemierzał rozległe równiny. Pod wieczór zaczął się mozolnie wspinać na górskie przełęcz Taurusu.

Sasha siedziała w rogu, czytała i paliła, a od czasu do czasu rzucała równie nieoczekiwane, co kłopotliwe uwagi. Joan nie mogła nie powiedzieć sobie w duchu, że jest zdecydowanie zafascynowana tą obcą, pochodzącą z innego świata kobietą, kobietą, której umysł i zachodzące w nim procesy były dla niej doświadczeniem absolutnie nowym.

Tak, zdecydowanie była pod nieodpartym urokiem tej kobiety, zdawałoby się, tak bezosobowej, a jednocześnie serdecznej.

W którymś momencie Sasha zauważyła:

– Pani nie czyta, prawda? I pani ręce spoczywają spokojnie. Nie robi pani na drutach. Tak nie zachowuje się typowa Angielka. A przecież wygląda pani na absolutnie angielską Angielkę.

Joan uśmiechnęła się.

– Nie mam nic do czytania. Nieoczekiwana przerwa w ruchu pociągów uwięziła mnie w Tell Abu Hamid, i tam przeczytałam wszystko, co zabrałam ze sobą w podróż.

– Ale chyba się pani tym nie przejmuje, prawda? Przecież nie starała się pani zdobyć jakiejś lektury w Aleppo. Nie, panią zadowala samo siedzenie i patrzenie na przesuwające się za oknem góry, choć, jak mi się zdaje, pani wcale tych gór nie widzi. Pani widzi coś, czego nie widzi nikt inny. Albo pani przeżywa, albo przeżyła jakieś wielkie wzruszenie. Spotkało panią zmartwienie? A może wielkie szczęście?

Joan zawahała się. Ściągnęła brwi.

– No tak – wybuchnęła śmiechem Sasha – to takie angielskie. Pytania, które dla nas, Rosjan, są całkiem naturalne, dla pani brzmią impertynencko. Zastanawiające. Gdybym zapytała, gdzie pani była, w jakich hotelach, wśród jakich krajobrazów, czy ma pani dzieci, co one robią albo czy pani dużo podróżuje, i czy zna pani dobrego fryzjera w Londynie – na to wszystko odpowiedziałaby pani z przyjemnością. Ale kiedy pytam najnormalniej w świecie, czy ma pani kłopoty, czy pani mąż jest wierny, czy sypia pani z mężczyznami, czy doświadczyła pani w życiu czegoś naprawdę pięknego, czy jest pani świadoma bożej miłości, pani od razu chowa się w swoją skorupę. Pani jest po prostu urażona. A przecież te sprawy są o wiele bardziej interesujące niż tamte, poprzednie, nicht wahr?

– Przypuszczam – powiedziała Joan, powoli, z namysłem – przypuszczam, że my, Anglicy, jesteśmy bardzo powściągliwi. Jako naród.

– O tak. Świeżo poślubionej Angielki nie można zapytać nawet o to, czy jest przy nadziei. To znaczy, nie można zapytać przy stole podczas lunchu. Nie, trzeba ją wziąć na bok, trzeba to pytanie wyszeptać. Wyszeptać. A przecież jeśli dziecko jest w drodze, całkiem naturalne byłoby zapytać, jak się czuje, nieprawda?

– Powiedziałabym, że to dość intymne sprawy.

– Nie, wcale tak nie uważam. Parę dni temu spotkałam przyjaciółkę, z którą nie widziałyśmy się kopę lat, Węgierkę. „Mitzi”, mówię do niej, „wyszłaś za męża kilka lat temu. I nie masz dziecka? Dlaczego?” A ona na to, że nie ma pojęcia, dlaczego! „Od pięciu lat ja i mój mąż ciągle nad tym pracujemy”, mówi, „i to ciężko!” I pyta mnie: „Co mogę więcej zrobić?” No a ponieważ byłyśmy na przyjęciu, każdy dorzucił od siebie jakąś radę. Tak, proszę mi wierzyć, zresztą parę z nich było całkiem praktycznych. Kto wie, może okażą się skuteczne.

Joan wyglądała na absolutnie nie przekonaną.

A jednak...?

A jednak jakiś nagły impuls kazał jej się otworzyć przed tą przyjazną, choć tak zupełnie obcą istotą. Nagle zapragnęła podzielić się z kimś doświadczeniem ostatnich dni. Potrzebowała niejako upewnić się co do jego realności.

– To prawda – zaczęła powoli – przeżyłam coś. Coś, co mnie wytraciło z równowagi.

– Ach, tak? Co to było? Mężczyzna?

– Nie. Nie mężczyzna.

– To świetnie. Tak często chodzi o mężczyznę, że w końcu zaczyna to być nudne.

– Byłam całkiem sama... w zajeździe... w Tell Abu Hamid... koszmarne miejsce... muchy, puszki po konserwach, zwoje drutu kolczastego i bardzo posępne i mroczne wnętrza budynku.

– Tak musi być, tam są upały, ale rozumiem, co ma pani na myśli.

– Nie było nikogo, z kim mogłabym porozmawiać, prędko przeczytałam zabrane w podróż książki i... i popadłam w bardzo szczególny stan.

– Tak, tak, to się mogło zdarzyć. To interesujące, co pani opowiada. Proszę mówić dalej.

– Zaczęłam dowiadywać się pewnych rzeczy, o sobie samej. Czegoś, o czym przedtem nie miałam pojęcia. Albo może miałam, ale wolałam udawać, że nie mam. Niezupełnie potrafię to wytłumaczyć...

– Ależ potrafi pani. To całkiem łatwe, proszę mi wierzyć.

W zainteresowaniu Sashy nie było nic z obłudy czy pretensjonalności, toteż nim Joan się zorientowała, już mówiła bez żadnego skrępowania. Ponieważ dla Sashy rozmawianie o ludzkich uczuciach i intymnych związkach było czymś absolutnie naturalnym, także Joan zaczęło się zdawać to całkiem naturalne.

– Przypuszczam, że to wszystko brzmi jak jeden wielki absurd – powiedziała, opisawszy po kolei swój niepokój, swoje lęki, wreszcie końcową panikę – lecz czułam się kompletnie zagubiona, samotna, zdawało mi się, że nawet Bóg mnie opuścił...

– Tak, można czuć coś takiego, takie stany i mnie nie są obce. Ciemność, strach...

– To nie była ciemność, to było światło, oślepiające światło i żadnego miejsca, gdzie można by się schronić, żadnej osłony, najmniejszego cienia...

– Mimo to mówimy o tym samym. Panią, która zbyt długo żyła w ukryciu, w głębokim cieniu, poraziło światło. Natomiast ja nie widziałam przed sobą drogi z powodu ciemności, ja gubiłam się w mroku, w nocy. Jednak obie przeżywałyśmy te same katusze, obie miałyśmy świadomość własnej nicości i tego, że Bóg nas nie kocha.

– A potem – powiedziała powoli Joan – to się stało, naprawdę się stało, jak jakiś cud. Zobaczyłam wszystko. Zobaczyłam siebie taką, jaka byłam. Obnażyłam się przed sobą samą, obnażyłam z tych moich głupich udawań, z mojej hańby. To było tak... to było tak, jakbym się na nowo narodziła... – Spojrzała niespokojnie na tę drugą kobietę. Sasha pochylała głowę. – Wiedziałam, co powinnam zrobić. Powinnam wrócić do domu i zacząć jeszcze raz. Zbudować nowe życie... od fundamentów...

Zapadła cisza. Sasha przyglądała się jej w zamyśleniu z jakimś dziwnym wyrazem twarzy. Joan zaczerwieniła się.

– Chyba używam zbyt melodramatycznych i wyszukanych słów...

– Nie, nie – przerwała jej Sasha. – Pani mnie nie rozumie. Pani doświadczenie było realne... ono zdarzało się wielu ludziom. Świętemu Pawłowi, innym świętym pańskim, a także zwykłym śmiertelnikom i grzesznikom. To nawrócenie. To wizja.

To przyznanie się duszy do własnej zawziętości. Tak, ono było realne. Tak realne jak jedzenie obiadu czy mycie zębów. A jednak mimo wszystko zastanawiam się...

– Wiem teraz, jaka byłam niedobra... wyrządziłam... wyrządziłam krzywdę komuś, kogo kocham...

– Typowe wyrzuty sumienia.

– Ledwo mogę się doczekać powrotu do domu. Tak wiele chciałabym powiedzieć. Powiedzieć jemu. – Jemu? To znaczy komu? Mężowi?

– Tak. On jest taki dobry, tyle w nim cierpliwości, a przecież nigdy nie zasnął szczęścia. Nie uczyniłam go szczęśliwym.

– Sądzi pani, że teraz da się to nadrobić?

– Przynajmniej możemy sobie coś wyjaśnić. Przynajmniej dowie się, jak mi jest przykro. Może mi pomóc w... och, jak to się mówi? – Tu przyszyły jej na myśl słowa, które nieraz słyszała w kościele: – Pomóc, bym od tej pory żyła nowym życiem.

– To jest to, co robili święci pańscy – powiedziała Sasha poważnie. – Rozpoczynali nowe życie.

– Ale ja nie jestem święta.

– Nie, pani nie jest święta. Właśnie to mam na myśli. – Sasha zamilkła, po czym dodała trochę lżejszym tonem: – Proszę mi wybaczyć moje słowa. A poza tym może to nieprawda.

Joan wyglądała na odrobinę zdezorientowaną. Sasha zapaliła kolejnego papierosa i wyglądając przez okno, zaczęła zaciągać się gwałtownie dymem.

– Sama nie wiem – zaczęła Joan niepewnie – dlaczego o tym wszystkim pani mówię...

– Ależ dlatego, że chce pani komuś powiedzieć. Pani chce o tym mówić... pani wciąż o tym myśli i pani chce o tym mówić. To dość naturalne.

– Na ogół odnoszę się do ludzi z rezerwą. Sasha zrobiła rozbawioną minę.

– I na ogół jest pani z tego dumna, prawda? Och, wy Anglicy! Jesteście dziwna rasą, bardzo dziwną. Tyle w was skromności i tak niechętnie przyznajecie się do cnót, a tak ochoczo chełpicie się swoimi słabościami.

– Uważam, że trochę pani przesadza – powiedziała Joan oziębło.

Nagle poczuła się bardzo brytyjska, bardzo odległa od tej egzotycznej, białolicej kobiety z przeciwnego rogu przedziału, kobiety, której zaledwie przed kilkoma minutami zawierzyła najintymniejsze osobiste przeżycie.

– Czy zamierza pani kontynuować podróż Simplon Orient Ekspresem? – zapytała konwencjonalnie.

– Nie, zostaję na noc w Stambule, a potem jadę do Wiednia – odparła Sasha i dodała beztrąsko: – Możliwe, że tam umrę, ale może i nie.

– Czy to znaczy... – Joan zawahała się, zakłopotana – czy pani ma jakieś przeczucie?

– Ach, nie – Sasha wybuchnęła śmiechem – nic podobnego! Jadę na operację. Bardzo poważną. Taką, która niezbyt często kończy się pomyślnie. Ale w Wiedniu są dobrzy chirurdzy, a ten, który będzie mnie operował, jest wyjątkowo zdolny. To Żyd. Zawsze powtarzam, że byłoby głupotą unicestwić wszystkich Żydów w Europie. Żydzi to świetni lekarze, chirurdzy, a także artyści.

– Wielki Boże, tak mi przykro.

– Z tego powodu, że być może umrę? Ale jakie to ma znaczenie? Każdy kiedyś musi umrzeć. A ja może nie umrę. Wie pani, co wtedy zrobię? Jeśli przeżyję, wstąpię do pewnego klasztoru o bardzo ścisłej regule. Tam się nie mówi, nigdy, tam się tylko rozmyśla i modli.

Joan zabrakło wyobraźni, aby przedstawić sobie Saszę jako wiecznie milczącą i medytującą mniszkę. Sasha mówiła dalej:

– Kiedy wybuchnie wojna, świat będzie potrzebował ludzi modlących się żarliwie.

– Wojna? – Joan wpatrzyła się w nią zdumiona.

– Ależ tak, wojna. Za rok, najdalej za dwa lata.

– Niemożliwe. Na pewno jest pani w błędzie.

– Nie. Wiem to od moich bardzo dobrze poinformowanych przyjaciół. Wszystko zostało postanowione.

– Wojna. Coś podobnego. Ale gdzie? I przeciwko komu?

– Wszędzie i przeciwko wszystkim. Zostanie w nią wciągniętych wiele narodów. Moi przyjaciele uważają, że Niemcy zwyciężą łatwo i prędko, ale ja... ja w to nie

wierzę. Chyba że istotnie zwyciężyliby bardzo, ale to bardzo prędko. Widzi pani, znam wielu Anglików i Amerykanów i wiem, jacy oni są.

– Z całą pewnością nikt nie chce wojny.

– A jak pani się zdaje, po co istnieje to całe Hitlerjugend?

– Ale ja mam przyjaciół – powiedziała Joan, z przejęciem – którzy spędzili w Niemczech sporo czasu, i uważają, że dużo dobrego można powiedzieć o ruchu nazistowskim.

– Ba! Proszę zaczekać, czy nie zmienia zdania za trzy lata. – Sasha, poddając się ruchowi hamującego pociągu, pochyliła się do przodu.

– Proszę spojrzeć, dobiliśmy do Wrót Cylicyjskich. Prawda, jak tu pięknie? Wyjdźmy na zewnątrz.

Wysiadły z pociągu, przystanąły i przez wielką przełęcz w łańcuchu górskim popatrzyły w dół na spowite błękitną mgłą doliny...

Zbliżał się zachód słońca i powietrze było niezwykle rześkie.

Jak tu pięknie, pomyślała Joan... Szkoda, że nie ma ze mną Rodneya.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Victoria...

Joan czuła łomoczące w nagłym podnieceniu serce. Jakie to miłe, znów znaleźć się w ojczyźnie...

Przez chwilę zdawało jej się, że nigdy stąd nie wyjeżdżała. Anglia, jej kraj. Mili angielscy bagażowi... i nie tak miły, ale za to bardzo angielski mglisty dzień!

Ani romantyczny, ani piękny, po prostu kochany stary dworzec, taki sam jak zawsze, tak samo jak zawsze wygląda i tak samo pachnie!

Och, pomyślała, jak to dobrze, że wróciłam.

Tyle dni w podróży. Tyle krajów po drodze: Turcja i Bułgaria, i Jugosławia, i Italia, i Francja. Celnicy, odprawy paszportowe, najróżniejsze mundury, najróżniejsze języki... Była zmęczona, tak, była śmiertelnie zmęczona cudzoziemcami. Nawet ta niezwykła Rosjanka, która podróżowała z nią od Aleppo do Stambułu, ostatecznie też ją dość zmęczyła. Na początku była interesująca po prostu z racji swej odmienności. Jednak kiedy znalazły się nad morzem Marmara i dojeżdżały do Haydarpasa, do kresu podróży, Joan nie mogła się doczekać chwili rozstania. Po pierwsze to było krępujące wciąż pamiętać, jak swobodnie rozmawiała z obcą osobą o swoich osobistych sprawach. A po drugie... hm, jakby to powiedzieć... po drugie w tej Rosjance było coś takiego, co sprawiało, że Joan czuła się jak ostatnia prowincjuszka. Niezbyt miłe uczucie. Na nic się zdało wmawianie sobie, że między nią a innymi ludźmi nie ma żadnej różnicy! Wcale tak nie myślała. Wprost przeciwnie. Miała to niepokojące uczucie, że Sasha mimo jej całej życzliwości jest arystokratką, podczas gdy ona jest mało ważną żoną prowincjonalnego adwokata, reprezentującego klasę średnią. Oczywiście to bardzo głupio czuć coś takiego...

Tak czy inaczej, było po wszystkim. Oto znów była w ojczyźnie, na rodzinnym gruncie.

Nikt na nią nie czekał. Nie zawiadomiła Rodneya o dacie przyjazdu.

Miała przemożne uczucie, że zależy jej bardzo na tym, by spotkać go w ich własnym domu. Tylko w ten sposób mogłaby wypowiedzieć się od razu, bez żadnej zwłoki czy niepotrzebnych przerw. Tak powinno być łatwiej, pomyślała.

Nie można zaskakiwać męża prośbą o wybaczenie na Victoria Station!

Z pewnością nie na peronie, pośród kłębiącego się tłumu przyjezdnych czy w trakcie załatwiania niezbędnych formalności w urzędzie celnym.

Nie, powinnam spokojnie spędzić noc w Grosvenor, pomyślała, a jutro ruszyć w dalszą drogę do Crayminster.

A może najpierw zobaczyć się z Averil? Przecież mogłaby zadzwonić do niej z hotelu.

Tak, mogłabym to zrobić.

Miała jedynie podręczny bagaż, a ponieważ sprawdzano go już w Dover, poszła z bagażowym prosto do hotelu.

Wzięła kąpiel, ubrała się i zadzwoniła. Szczęśliwym trafem Averil była w domu.

– To ty, mamó? Kiedy wróciłaś?

– Dziś po południu.

– A ojciec? Jest w Londynie?

– Nie. Nie telegrafowałam do niego. Być może chciałby po mnie wyjechać, a szkoda, żeby się męczył. Na pewno jest bardzo zajęty.

– Tak, chyba masz rację – odpowiedziała Averil, lekko, jak się Joan zdawało, zaskoczonym głosem. – Ostatnio jest bardzo zajęty.

– Często go widywałaś?

– Nie. Wpadł do Londynu na jeden dzień, jakieś trzy tygodnie temu. Zjedliśmy razem lunch. A co robisz wieczorem, mamó? Może wybierzemy się gdzieś na kolację?

– Wolałabym, żebyś przyszła do mnie, kochanie. Jestem trochę zmęczona po podróży.

– Spodziewam się. W porządku, zaraz tam będę.

– A co z Edwardem? Nie przyjdziecie razem?

– Nie, Edward ma spotkanie w interesach. Joan odłożyła słuchawkę. Serce biło jej odrobinę szybciej niż zazwyczaj. Averil, pomyślała, moja Averil...

Jak chłodny i czysty był jej głos... opanowany, obojętny, bezosobowy.

Pół godziny później zatelefonowano z recepcji, że czeka na nią pani Harrison-Wilmott i Joan zeszła na dół.

Matka i córka przywitały się z angielską powściągliwością. Averil dobrze wygląda, już nie taka chuda jak kiedyś, pomyślała Joan i z dreszczykiem dumy przeszła ze swoją córką do hotelowej restauracji. Averil w istocie była śliczna, subtelna i dystygowana.

Usiadły przy stoliku. Joan spojrzała córce w oczy i doznała chwilowego szoku. Były takie zimne i obojętne...

Averil, podobnie jak Victoria Station, nie zmieniła się.

To ja się zmieniłam, pomyślała Joan, ale Averil o tym nie wie.

Averil zapytała o Barbarę i o Bagdad. Joan opowiedziała jej o wszystkim, co ją spotkało w drodze powrotnej. W jakiś sposób ich rozmowa była dość trudna. Nie kleiła się. Pytania Averil o Barbarę ślizgały się po powierzchni. Doprawdy, pomyślała Joan, wygląda to tak, jakby się bała, że zapyta o coś niedyskretnego. Ale Averil nie może znać prawdy... To jej zwykła poza; jest delikatna, nie miesza się do cudzych spraw.

Prawda... Skąd wiem, że to prawda, pomyślała nagle. Może ja po prostu fantazjuję? Ostatecznie, nie natknęłam się na żadne konkretne dowody...

Odrzuciła ten pomysł, ale i tak poczuła się zszokowana faktem, że coś takiego mogło jej przyjść do głowy.

– Edward jest przekonany, że któregoś dnia musi dojść do wojny z Niemcami – usłyszała jak z oddali chłodny głos Averil.

Ożywiła się.

– To samo powiedziała tamta kobieta w pociągu. Była tego całkiem pewna. Wyglądała na dość ważną osobę i myślę, że wiedziała, co mówi. Ale ja i tak nie wierzę. Hitler nigdy nie ośmieliłby się wywołać wojny.

– Czy ja wiem... – rzuciła w zamyśleniu Averil.

– Nikt nie chce wojny, kochanie.

– Ludzie czasami dostają to, czego nie chcą.

– Uważam, że takie rozmowy są po prostu niebezpieczne. Zapładniają ludzkie umysły pewnymi ideami – ucięła Joan.

Averil uśmiechnęła się.

Dalsza rozmowa była dość luźna i chaotyczna. Kiedy po kolacji Joan ziewnęła raz i drugi, Averil zauważyła, że nie powinna jej dłużej zatrzymywać i że po podróży zawsze się jest zmęczonym.

Joan przytaknęła. Przyznała, że marzy o tym, żeby odpocząć.

Rankiem następnego dnia wybrała się na małe zakupy i złapała pociąg do Crayminster o drugiej trzydzieści. Pomyślała, że w ten sposób wyląduje w domu zaraz po czwartej. Zaskoczy Rodneya, kiedy ten przyjdzie na podwieczorek...

Wyglądała z okna pociągu bez zbytniej ekscytacji, raczej ze zrozumieniem. W krajobrazie o tej porze roku nie mogło być nic godnego uwagi – nagie drzewa, mżawka – ale za to jakież ten krajobraz swojski, jaki naturalny... Bagdad ze swymi zatłoczonymi bazarami, lśniącymi błękitem i złotem kopułami meczetów był daleki i nierealny, równie dobrze mogła w nim w ogóle nie być. Tamta długa fantastyczna

podróż: równiny Anatolii, śniegi i górską sceneria Taurusu, wysokie, nagie kotliny, długi zjazd górkami wąwozami do Bosforu, Stambuł i jego minarety, zabawne, zaprzężone w woły wozy na Bałkanach, Italia i Triest nad błękitnym Adriatykiem, Szwajcaria, Alpy w zamierającym świetle dnia, przeróżne widoki i przedziwne sceny, a wszystko to kończyła ta krótka podróż do domu, pośród spokojnego, zimowego krajobrazu...

Być może nigdy nigdzie nie wyjeżdżałam, pomyślała Joan. Być może nigdy nie wyjeżdżałam...

Poczuła się zakłopotana, niezdolna cło zebrania myśli. Spotkanie z Averil, poprzedniego wieczoru, wyprowadziło ją z równowagi – chłodne oczy Averil, patrzące na nią spokojnie, obojętnie. Averil, pomyślała, nie zauważyła we mnie żadnej zmiany. Och, w porządku, niby dlaczego miałyby zauważyć? Przecież zewnętrznie się nie zmieniłam.

– Rodney... – powiedziała cło siebie bardzo miękko, łagodnie.

Na nowo ogarnął ją żar uczucia, a równocześnie smutek, tęsknota za miłością, za przebaczeniem...

To wszystko prawda, pomyślała, naprawdę zaczynam nowe życie...

Na stacji wzięła taksówkę. Agnes otworzyła jej drzwi i zmanifestowała przypochlebne zaskoczenie i radość.

– Gdyby pan wiedział, że pani wróciła, ucieszyłby się – powiedziała.

Poszła cło swojej sypialni, zdjęła kapelusz i znów zeszła na dół. Salon sprawiał wrażenie pustawego, po prostu brakowało w nim kwiatów.

Jutro muszę ściąć trochę wawrzynu i kupić w sklepiku na rogu kilka goździków.

Spacerowała tam i z powrotem po pokoju, podekscytowana i niespokojna.

Czy powinnam powiedzieć Rodneyowi, co myślę o Barbarze? Zakładając, że mimo wszystko...

Nie, to nieprawda! Oczywiście, że nie. Sama wymyśliłam tę całą historię. Wymyśliłam ją sobie wyłącznie na podstawie tego, co powiedziała mi tamta głupia kobieta, Blanche Haggard, nie, nie Haggard-Donovan. Doprawdy, Blanche wyglądała tak potwornie... tak staro i prostacko...

Przyłożyła rękę do czoła. Zdawało jej się, że w jej mózgu obraca się kalejdoskop. Miała kalejdoskop w dzieciństwie. Uwielbiała przyglądać się wirującym kolorowym szkiełkom, nim ułożyły się w jakiś wzór...

Co też się ze mną dzieje?

Tamten koszmarny zajazd i tamto dziwne uczucie, którego doświadczyłam na pustyni... Wyobraziłam sobie całe mnóstwo nieprzyjemnych rzeczy: że rodzone dzieci mnie nie lubią, że Rodney kochał tę biedną Leslie Sherston (oczywiście, że nie kochał, co za głupi pomysł! Biedna Leslie). I nawet ubolewałam nad tym, że swego czasu wybiłam Rodneyowi z głowy ten jego niesamowity pomysł z uprawianiem ziemi. Doprawdy, jedyne, co mogę teraz o sobie powiedzieć, to to, że zawsze kierowałam się rozsądkiem i że byłam przewidująca...

Boże wielki, dlaczego jestem taka zakłopotana? Wszystko, o czym myślałam i w co wierzyłam... te wszystkie nieprzyjemne rzeczy...

Czy rzeczywiście były prawdziwe? A może niebyły? Nie chcę, żeby były prawdziwe.

Muszę postanowić... muszę postanowić...

Co postanowić?

Słońce, pomyślała, tamto słońce tak bardzo przypiekało. To właśnie ono przyprawiło mnie o halucynacje...

Biegnie po pustyni... pacia na dłonie i na kolana... modli się...

Czy to wszystko było prawdziwe?

Obłąd, uwierzenie w coś takiego to czysty obłąd. Jak to przyjemnie i bezpiecznie wrócić do domu, do Anglii i doznać uczucia, że nigdzie się nie wyjeżdżało, że wszystko jest takie, jak się zawsze myślało, że jest...

I oczywiście wszystko jest takie. Takie samo.

Kalejdoskop wciąż wiruje... wiruje...

Szkiełka układają się raz w jeden wzór, to znowu w drugi.

Rodneyu, przebac mi, nie wiedziałam...

Rodneyu, jestem tutaj. Wróciłam do domu!

Który wzór? Który? Muszę dokonać wyboru.

Słyszy odgłos otwieranych frontowych drzwi, dźwięk, który zna tak dobrze, tak bardzo dobrze...

To Rodney wraca.

Który wzór? Który wzór? Prędejj!

Drzwi do salonu otworzyły się. Rodney wszedł. Przystanął, zaskoczony.

Joan podbiegła do niego. Nie od razu spojrzała w jego twarz. Pomyślała, że powinna dać mu choć jedną chwilę, by ochłonął na jej widok, choć jedną chwilę...

A potem powiedziała pogodnie:

– Oto jestem, Rodney... Wróciłam do domu...

EPILOG

Rodney Scudamore siedział w małym, niskim fotelu, podczas gdy jego żona nalewała do filiżanek herbatę, podzwaniała łyżeczkami i pogodnie szczebiotała, jak to miło znaleźć się na powrót w domu i jak uroczo dojść do wniosku, że nic się nie zmieniło i że Rodney nie potrafiłby uwierzyć, jak cudownie jest znów być w Anglii, w Crayminster, we własnym domu!

W oknie, na szybie, zwiedziona niezwykłym ciepłem listopadowego dnia, natrętnie bzyczała wielka mucha plujka.

Bzz, bzz, bzz, powtarzała swoje mucha.

Dzyń, dzyń, dzyń, podzwaniał głos Joan Scudamore.

Rodney siedział, uśmiechał się i kiwał głową.

Hałas, myślał, tyle hałasu...

Tak wiele w nim sensu dla jednych, a żadnego dla innych.

Myliłem się, ustalił ostatecznie, myliłem się, myśląc, zaraz po powrocie Joan, że coś się z nią stało. Nic się z nią nie stało. Jest taka sama jak zawsze. Wszystko jest takie samo jak zawsze.

Wkrótce Joan poszła na górę dopilnować rozpakowania bagażu, a Rodney przeszedł przez hali do gabinetu, gdzie czekało na niego trochę pracy kancelaryjnej.

Jednak najpierw otworzył górną prawą szufladkę w biurku i wyjął z niej list od Barbary. List przyszedł pocztą lotniczą i był nadany kilka dni przed wyjazdem Joan z Bagdadu.

Był długi, gęsto zapisany i Rodney znał go prawie na pamięć. Mimo to przeczytał go raz jeszcze i zatrzymał się chwilę na ostatniej stronie.

...Tak więc powiedziałam Ci wszystko, kochany tato. Przypuszczam, że już wcześniej czegoś się domyślałeś. Nie musisz się już o mnie martwić. Naprawdę zdaję sobie sprawę, jaka byłam występna i głupia. Pamiętaj, mama nie wie o niczym. Nie było łatwo utrzymać ją z dala od tego wszystkiego, lecz doktor McQueen znakomicie zagrał swoją rolę, nie mówiąc o Williamie. William był cudowny. Doprawdy nie wiem, co zrobiłabym bez niego – był zawsze w pobliżu i zawsze gotów bronić mnie przed mamą, jeśli trzeba było. Przyznaję, kiedy zatelegrafowała, że przyjeżdża, byłam zrozpaczona. Wiem, że próbowałeś ją powstrzymać, i wiem, że to było niemożliwe. Cóż, w gruncie rzeczy jej chęć śpieszenia z pomocą byłaby całkiem na miejscu, oczywiście gdyby nie to, że mama, jak to mama, natychmiast poczuła się w obowiązku wyrzucić nasze życie do góry nogami. Mówię Ci, tato, od czegoś takiego po prostu można było zwariować, a ja, ja nie miałam siły, by z nią walczyć! Wreszcie na nowo zaczynam cieszyć się Mopsy! Jest naprawdę urocza. Żałuję, że nie możesz jej zobaczyć. Czy lubiłeś nas, kiedy byliśmy niemowlętami, czy dopiero później? Kochany tatusiu, taksie cieszę, że to Ty jesteś moim ojcem. Jeszcze raz proszę, nie martw się o mnie. Całe zło już minęło.

Twoja kochająca Babs.

Rodney wahał się przez chwilę. Najchętniej zatrzymałby tych kilka kartek na zawsze. Tak wiele dla niego znaczyły – pisemna deklaracja córki o wierze we własnego ojca i o pokładanym w nim zaufaniu.

Jednak Rodney, nauczony zawodowym doświadczeniem, znał niebezpieczeństwo płynące z przechowywania listów. Gdyby nagle umarł, Joan przejrzałaby jego

papiery dokładnie. Coś takiego na pewno sprawiłoby jej niepotrzebny ból. Nie ma sensu ranić jej i rozczarowywać. Niech trwa szczęśliwa i bezpieczna w tym swoim jasnym, spokojnym świecie, który sama dla siebie stworzyła.

Przeszedł przez pokój i wrzucił list Barbary do ognia. Tak, pomyślał, całe zło jest już poza nią. i poza jej najbliższymi. To o Barbarę zawsze bałem się najbardziej, bo to ona – jedyna z trójki moich dzieci – była niezrównoważona emocjonalnie. No cóż, kryzys minął, i Barbara wyszła z niego jeżeli nie bez uszczerbku, to przynajmniej żywa. A teraz już zaczyna rozumieć, że jej prawdziwy świat to Mopsy i Bill. Porządny gość, ten Bili Wray. Należy ufać, że nie cierpiał ponad siły.

Tak, jeśli chodzi o Barbarę, to mogę już być spokojny. O Tony'ego w jego gajach pomarańczowych w Rodezji też się nie martwię. Tony jest daleko, ale z nim jest wszystko w porządku, a jego młoda żona sprawia wrażenie porządnej dziewczyny. Tony'ego nigdy nic nie zraniło do żywego i prawdopodobnie nigdy nie zrani. Ludzie z natury pogodni, a do takich należy Tony, są odporni na przeciwności losu.

Z Averil też wszystko było w porządku. Jak zawsze, kiedy myślał o Averil, tak i teraz poczuł w sercu dumę, nie żal. Averil z jej chłodnym, krytycznym umysłem, ze skłonnością do niedomówień i z tym swoim sarkazmem. Averil solidna jak skała, lojalna, tak dziwnie nie pasująca do imienia, jakim ją obdarzyli.

Walczył z Averil, walczył i pokonał ją jedyną bronią, która jej pogardliwy umysł mógłby uznać, bronią, która nawet jemu samemu zdawała się odpychająca. Beznamiętne, logiczne argumenty, bezlitosne argumenty. Ona je zaakceptowała.

Ale czy mu wybaczyła? Sądził, że nie. Lecz to nie miało znaczenia. Nawet jeśli przestała go kochać, nie przestała szanować, i to bardziej niż przedtem, a w końcu, pomyślał, dla kogoś o takim umyśle i o takiej nieskazitelnej prawości jak Averil, to szacunek jest tym, co się liczy.

„Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa”, powiedział w przeddzień ślubu swojego najukochańszego dziecka, powiedział ponad wielką przepaścią, która teraz ich rozdzielała. A Averil odparła spokojnie: „Spróbuję, ojcze”.

To była ona, Averil – żadnego heroizmu, żadnego rozwodzenia się nad przeszłością, żadnego rozczulania nad sobą. Zgoda na życie takie, jakie jest – i zdolność przejścia przez nie bez pomocy innych.

Pomyślał, że teraz już go nie potrzebują, usamodzielnili się wszyscy troje.

Odepchnął leżące na biurku papiery, podszedł do kominka, usiadł po jego prawej stronie i z lekkim westchnieniem zabrał się do lektury umowy dzierżawnej Massinghama.

„Właściciel oddaje w dzierżawę, a dzierżawca przejmuje budynek mieszkalny, zabudowania gospodarcze, ziemię wraz z przyległościami usytuowane na...” Czytał dalej. Przewrócił stronę. „...nie brać więcej niż dwa korce ziarna z każdego łanu ziemi ornej z wyłączeniem jednorocznego odłogu (plon rzepy i rzepaku wysianych na ziemi przygotowanej pod uprawę i nawożonej, a zjedzony na tym gruncie przez owce, powinien być traktowany na prawach odłogu) i...”

Opuścił dłoń i powędrował wzrokiem ku stojącemu z drugiej strony kominka pustemu fotelowi.

To w nim siedziała Leslie, kiedy spierał się z nią o dzieci i dyskutował na temat ich kontaktów z Sherstonem. Powiedział jej wtedy, że powinna mieć na uwadze przede wszystkim dobro dzieci.

Odparła, że cały czas ma na uwadze ich dobro, a poza tym on jest ich ojcem.

– Ojcem, który siedział w więzieniu – powiedział. – To eks-więzień... no a poza tym opinia publiczna... bojkot towarzyski... wyrzucenie poza nawias miejscowej społeczności... skazanie na niezasłużoną karę. Należy – ciągnął – pomyśleć o tym wszystkim. Dzieci nie powinny mieć chmurnej młodości. Powinny iść przez życie z podniesionym czołem.

– Właśnie – odparła. – On jest ich ojcem, po prostu jest. I nie tyle oni należą do niego, co on należy do nich. Oczywiście, mogę żałować, że nie mają innego ojca, lecz mój żal nic nie zmieni. – A po chwili jeszcze dodała: – Jaki to byłby start do życia, gdyby zaczynało się je od ucieczki?

Wiedział, jaka idea jej przyświeca, oczywiście, że wiedział. Lecz ta idea nie szła w parze z jego ideami. On zawsze pragnął dać dzieciom wszystko, co najlepsze, i, w rzeczy samej, to było to, czego ona i Joan dokonali. Najlepsze

szkoły, najbardziej słoneczne pokoje w domu – po części oczywiście kosztem własnych wyrzeczeń...

To wszystko prawda, tyle że on i Joan wolni byli od wszelkich problemów natury moralnej. Na nich nie spadła żadna hańba ani nie spotkał ich żaden zawód, obce im były rozpacz czy ból; oni nie musieli zadawać sobie pytania: chronić je, a może pozwolić uczestniczyć we wspólnym nieszczęściu?

Uczestnictwo – tak, to była idea Leslie. Ona, mimo całej miłości do swoich dzieci, nie wzdragała się przed złożeniem części swego brzemia na ich małe, niewprawne ramiona. Nie z egoizmu, nie po to, by ulżyć sobie samej, lecz dlatego, że nie chciała ukrywać przed nimi rzeczywistości, choćby miała ona najbardziej podłe oblicze.

Pomyślał wtedy, że nie ma racji. Ale przyznał, jak zresztą zawsze przyznawał, że jest mężna. I to mężna nie na własny użytek. Leslie była mężna, bo jej męstwo, jej odwaga były potrzebne tym, których kochała.

Pamiętał, co powiedziała Joan tamtego jesiennego dnia, kiedy weszła do jego kancelarii. „Męstwo? Ale męstwo to jeszcze nie wszystko!” A on rzucił krótko: „Czyżby?”

Leslie siedziała tam, w jego fotelu, z lewą brwią lekko uniesiona, z lekko skrzywionym prawym kącikiem ust i z głową opartą o wyblakłą, niebieską poduszkę. Jej włosy, na tle tej niebieskiej poduszki zdawały się wyglądać jakoś tak... zielono.

Pamięta swój głos, lekko zaskoczony. Powiedział, że jej włosy wcale nie są brązowe. Są zielone.

To była jedyna osobista uwaga, jaką kiedykolwiek zrobił pod jej adresem. Nigdy specjalnie nie zastanawiał się nad jej wyglądem. Zmęczona, tak, to wiedział, i chora, a jednocześnie silna, fizycznie silna. Pomyślał kiedyś, całkiem niestosownie, że mogłaby zarzucić na ramię worek kartofli, jak mężczyzna.

Nie bardzo romantyczna myśl, choć co prawda nie pamiętał, by sama Leslie była bardzo romantyczna. Prawe ramię wyższe niż lewe, lewa brew uniesiona, lekko skrzywiony prawy kącik ust (kiedy się uśmiechała), brązowe włosy, które wyglądały jak zielone na tle wyblakłej, niebieskiej poduszki.

Pomyślał, że to niewiele, by nakarmić miłość. A czymże ona jest, ta miłość? Na miły Bóg, czym jest miłość? Spokojem ciucha i zadowoleniem, odpowiedział sam sobie, które mnie ogarniały, kiedy widziałem, jak siedzi tam, w moim fotelu, z zieloną głową na tle niebieskiej poduszki; kiedy słyszałem ton jej głosu. Przypomniał sobie, jak kiedyś nagle się odezwała: „Wie pan, właśnie myślałam o Koperniku...”

O Koperniku? Dlaczego, na miły Bóg, o Koperniku? Mnich z przenikliwym umysłem, z odmienną wizją kosmosu, ale mnich na tyle przebiegły i zręczny, by iść na kompromis z możliwymi tego świata i by dać świadectwo swojej wierze w takiej formie, która zdałaby egzamin.

Dlaczego Leslie, ta Leslie, która miała męża w więzieniu i utrzymywała siebie i swoje dzieci z pracy rąk, siedziała w jego fotelu i przeciągając dłonią po włosach, mówiła: „Właśnie myślałam o Koperniku”?

To dlatego już zawsze na każdą wzmiankę o Koperniku jego serce zamierało na chwilę i dlatego powiesił na ścianie stary sztych tamtego mnicha, aby patrząc na niego, mówić: „Leslie”.

Pomyślał, że powinien był jej powiedzieć, że ją kocha. Mogłem to powiedzieć, choć jeden raz.

Czy to było potrzebne? Tamten dzień na stoku Asheldown – ona i on, i październikowe słońce. On i ona razem – razem i osobno. Ból i rozpaczliwe pragnienie. Cztery stopy pustej przestrzeni między nimi – cztery, ponieważ mniej nie dawałoby im poczucia bezpieczeństwa. Ona to rozumiała. Na pewno rozumiała. Pomyślał z zakłopotaniem, że tamta pusta przestrzeń między nimi była niby pole elektryczne naładowane pragnieniem.

Nie patrzyli na siebie. On spoglądał na zaoraną ziemię i na budynki gospodarskie, pośród których odzywało się nikłe pykanie traktora, i na purpurowe odwrócone skiby ziemi. A Leslie patrzyła dalej, na odległe lasy.

Niby dwoje ludzi wypatrujących ziemi obiecanej, do której nie było im dane dotrzeć. Powinienem, powiedzieć jej, że ją kocham, pomyślał.

Jednak żadne z dwojga nie wyrzekło ani słowa, poza wyszeptanym przez Leslie zdaniem: „Lecz twoje wieczne lato nie wie, co jesienie”.

Tyle. Tylko tyle. Jedna banalna linijka z jakiegoś wiersza. A on nawet nie wiedział, co chciała tym wyrazić.

A może wiedział. Tak, prawdopodobnie wiedział.

Poduszka na fotelu straciła już swoją barwę. Twarz Leslie też. Nawet nie pamiętał dokładnie jej rysów, poza tym jednym dziwnym skrzywieniem warg.

A przecież przez ostatnie sześć tygodni siadywała tu każdego wieczoru i mówiła do niego. Zwykła fantazja, oczywiście. Wymyślił sobie tę nieprawdziwą Leslie i sadzał ją w tym fotelu, i wkładał słowa w jej usta. Leslie mówiła to, co on chciał, by mówiła, Leslie była posłuszna, lecz przy każdym słowie kącik jej ust podjeżdżał do góry, jak gdyby śmieszyło ją to, co on z nią robi.

To było, pomyślał, sześć bardzo szczęśliwych tygodni. Mogłem spotkać się z Watkinsem i z Millsem i spędzić miły wieczór u Hargrave'a Taylora w gronie kilku przyjaciół. Jakże przyjemna była ta niedzielna wycieczka przez wzgórza. Służące karmiły mnie wyśmienicie, a ja zjadałem posiłki powoli, tak jak lubię, z książką opartą o syfon wody sodowej. Wprawdzie miałem trochę pracy po kolacji, ale zawsze potem zapalałem fajkę, a wtedy, kiedy mógłbym poczuć się samotny, Leslie mościła się w moim fotelu, aby dotrzymać mi towarzystwa.

Nieprawdziwa Leslie, tak, lecz czy w pobliżu nie było prawdziwej Leslie?

„Lecz twoje wieczne lato nie wie, co jesienie”.

Odnalazł wzrokiem miejsce, w którym przerwał lekturę umowy dzierżawnej.

„...i będzie prowadzić wyżej wzmiankowane gospodarstwo w sposób właściwy i zgodny z powszechnie przyjętymi normami”.

Pomyślał zdziwiony: Jestem naprawdę dobrym prawnikiem.

A następnie bez zdziwienia (i bez większego zainteresowania): Powiodło mi się.

Gospodarowanie na ziemi, pomyślał, jest trudnym, rozdzierającym serce zajęciem.

Mój Boże, ależ jestem zmęczony.

Od dawna nie czuł się tak zmęczony...

Otworzyły się drzwi i weszła Joan.

– Och, Rodneyu, nie możesz czytać po ciemku.

Przeszła za nim, szeleszcząc suknią, i zapaliła światło. On uśmiechnął się i podziękował.

– Jesteś niemądry, kochanie, żeby siedzieć tu i marnować oczy, podczas gdy wystarczyłoby przekręcić kontakt. – Usiadła i dodała czule. – Nie wiem, co byś zrobił beze mnie.

– Nabrałbym złych manier, to jasne.

Jego uśmiech był uprzejmy i odrobinę denerwujący.

– Czy pamiętasz – ciągnęła Joan – jak to kiedyś chciałeś odrzucić ofertę wujka Henry'ego i zająć się gospodarką?

– Tak, pamiętam.

– Nie cieszysz się, że nie pozwoliłam na to? Popatrzył na nią, podziwiając jej skwapliwość w wypowiedaniu sądów, młodzieńczy sposób trzymania głowy, jej gładką, ładną twarz. Pogodna, pewna siebie, czuła. Joan, pomyślał, jest mi bardzo oddaną żoną.

– Tak – powiedział powoli – tak, cieszę się.

– Wszyscy czasami miewamy niepraktyczne pomysły.

– Nawet ty?

Drażnił się z nią zaledwie, stąd też ze zdziwieniem spostrzegł, że ściąga brwi, a jej gładka twarz marszczy się niby tafla spokojnej wody, po której przebiegło tchnienie wiatru.

– Każdego od czasu cło czasu ponoszą niezdrowo nerwy.

Ta odpowiedź zaskoczyła go jeszcze bardziej. Nie mógł wyobrazić sobie Joan, którą ponoszą nerwy, i to niezdrowo. Zmieniając temat, powiedział:

– Wiesz, nawet ci całkiem zazdrościłem tej twojej podróży na Wschód.

– Tak, była interesująca. Lecz nie chciałabym mieszkać w takim miejscu jak Bagdad.

– Ciekaw jestem, jak wygląda pustynia – powiedział Rodney, zamyślony. – Chyba jest cudowna... pustka i jasne, silne światło. Od dawna fascynuje mnie zjawisko światła. Widzieć jasno...

Nie mógł dokończyć, Joan bowiem wybuchnęła:

– To coś nienawistnego... nienawistnego... to taka jałowa nicość!

Obrzuciła pokój ostrym, nerwowym spojrzeniem. Prawie jak zwierzę, które szuka ucieczki, pomyślał.

Uspokoiła się.

– Ta poduszka jest przeraźliwie stara i wyblakła – powiedziała. – Muszę postarać się o nową na ten fotel.

Uczynił gwałtowny gest, lecz się opanował.

Ostatecznie, dlaczego nie? Poduszka wyblakła. Leslie Adeline Sherston leży na cmentarzu, pod marmurową płytą. Kancelaria adwokacka Alderman, Scudamore & Witney rozwija się. Hoddesdon usiłuje zaciągnąć kolejną pożyczkę pod hipotekę.

Joan przechadzała się po pokoju, sprawdzając, czy na meblach nie ma kurzu, przestawiając książki na półkach, przesuwając figurki na gzymsie kominka. To prawda, że przez ostatnie sześć tygodni pokój nabrał zaniedbanego, nieporządnego wyglądu.

– Skończyły się wakacje – mruknął do siebie Rodney.

– Co takiego? – obróciła się czym prędzej w jego stronę. – Co powiedziałaś?

– Ja? – mrugnął do niej rozbrajająco. – Ja miałbym coś powiedzieć?

– Coś w rodzaju „skończyły się wakacje”. Pewnie się zdrzemnałeś i śniło ci się, że dzieci wracają do szkoły.

– Tak – zgodził się. – Chyba coś mi się śniło. Stała, przyglądając mu się powątpiewająco. Następnie wyprostowała obraz na ścianie.

– Nowy? Skąd się tu wziął?

– Natrafiłem na niego na wyprzedzaży u Hartleya.

– Och! – Joan mierzyła go wzrokiem niezdecydowanie. – Kopernik? Czy to coś wartościowego?

– Nie mam pojęcia – odparł i powtórzył w zamyśleniu: – Nie mam najmniejszego pojęcia...

Co jest wartościowe, a co nie? Czy wspomnienie jest czymś wartościowym?

„Wie pan, właśnie myślałam o Koperniku...”

Leslie, z tym jej mężem, pospolitym krętaczem – więzienie, pijaństwo, ubóstwo, choroba, śmierć.

„Biedna pani Sherston, takie smutne życie”.

Tylko że Leslie wcale nie była smutna, pomyślał. Szła przez rozczarowania, ubóstwo i chorobę tak, jak się idzie przez moczary i przez świeżo zaoraną ziemię czy przez rzekę, pogodnie i niecierpliwie, aby w końcu dojść do wytkniętego celu, gdziekolwiek on się znajduje...

Popatrzył w zamyśleniu na żonę zmęczonym, choć łagodnym wzrokiem.

Taka pogodna i kompetentna, i pracowita, taka zadowolona i szczęśliwa. Ona, pomyślał, wygląda na dwadzieścia osiem lat i ani dnia więcej. I nagle ogarnął go beznamiętny żal.

– Biedna mała Joan – powiedział czule. Spojrzała na niego zdziwiona.

– Dlaczego biedna? A poza tym nie jestem mała.

– „Mała Joan sobie skacze, sama sobie skacze. Nikt się ze mną nie chce bawić, mała Joan płacze”.

Zbliżyła się do niego gwałtownie i niemal bez tchu powiedziała:

– Nie jestem sama. Nie jestem sama. Mam ciebie.

– Tak – zgodził się. – Masz mnie.

Wiedział, że mówi nieprawdę. Zawsze byłaś sama, pomyślał, i zawsze będziesz. Lecz, daj Boże, żebyś się nigdy o tym nie dowiedziała.

* Warren Hastings (1732–1818), pierwszy brytyjski gubernator Indii (przyp. tłum.).

* W. Szekspir, Kupiec wenecki, przekład Leona Ulricha.

* W. Szekspir, Cybelin, przekład Leona Ulricha.

* W. Szekspir, Sonet 116, przekład Stanisława Barańczaka.

* W. Szekspir, Sonet 18, przekład Stanisława Barańczaka.

* ibidem

* ibidem

* Apokalipsa św. Jana, 7,17. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Biblia Tysiąclecia, wyd. III, Poznań– Warszawa 1987 (przyp. tłum.).

* Księga Psalmów. Psalm 23, 1– 2. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Biblia Tysiąclecia, wyd. III, Poznań– Warszawa 1987 (przyp. tłum.)

* jw.

* Lead Kindly Light – popularny w Anglii hymn do Boga, napisany w 1833 r. przez pastora anglikańskiego, J. H. Newmana, który z czasem przeszedł na wyznanie rzymskokatolickie. W kościele rzymskokatolickim dosłużył się godności kardynała (przyp. tłum.).